

Najnowsza powieść autora
bestsellerowych
Purpurowych rzek



DZIEŃ, POPIOŁÓW

Jean-Christophe Grangé



Jean-Christophe Grangé

DZIEŃ, POPIOŁÓW

Z języka francuskiego przełożyła
Krystyna Szeżyńska-Maćkowiak



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Le Jour des cendres
© Editions Albin Michel – Paris 2020

Copyright © 2022 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2022 for the Polish translation by Krystyna Szeżyńska-Maćkowiak
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie autora: © Richard Dumas

Redakcja: Malwina Kozłowska
Korekta: Magdalena Mierzejewska, Iwona Wyrwisz, Mariusz Kulan

ISBN: 978-83-8230-423-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadruga.pl
www.soniadruga.pl
www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga
E-wydanie 2022

Po więcej ebooków zapraszam do [JamaNiamy](#)

Spis treści

I. WINNICA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

II. KREW

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

III. OGIENÍ

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

Przypisy

I

WINNICA

Znała podstawowe zasady.

Zawsze nosić tradycyjny strój i modlitewny czepek. Nigdy nie dotykać syntetycznych tkanin. Zrezygnować z telefonu komórkowego, komputera, a może nawet ze wszystkich urządzeń elektrycznych. Nie nosić ani zegarka, ani biżuterii. Nie jeść potraw, które nie pochodzą z Posiadłości. Nigdy nie przechodzić przez cudzy cień.

Pracując tu tylko sezonowo, nie musiała przestrzegać tych reguł. Jej obowiązkiem było jedynie nosić wymagany strój w dni winobrania. O osiemnastej odwożono ją i pozostałych do obozowiska na północnym krańcu Posiadłości, gdzie mogli prowadzić normalne życie, uznawani przez Emisariuszy za „światowych”. Później ciemne terenówki z przydymionymi szybami dostarczały im żywność i wodę, zupełnie jak zadżumionym.

– Ivana, idziesz czy nie?

Poszła za Marcelem do furgonu. O wpół do ósmej rano grupy wyruszały. Było zimno, ciemno, a pojazdy do przewozu pracowników, używane przez Emisariuszy, wyglądały ponuro – zupełnie jak te ciężarówki wywożące deportowanych.

Ivana poprawiła czepek i usiadła obok Marcela na odkrytym tyle. Pojawiła się tu dwa dni temu i jak dotąd udało jej się porozmawiać tylko z kilkoma pracownikami sezonowymi. Marcel był najsympatyczniejszy z nich, chociaż wyglądał jak zbir.

– Chcesz sobie zrobić skręta?

Podsunął jej paczkę tytoniu i małe pudełeczko bibulek. Ivana bez słowa zabrała się do skręcania idealnego papierosa, chociaż samochodem trzęsło na wyboistej drodze.

Tak naprawdę trochę oszukiwała – pod czarną sukienką miała komplet Uniqlo wykonany z tkaniny Heattech – takie sztuczki tolerowano, a Emisariusze nosili pod „mundurami” bieliznę

i rajstopy, które sami robili. W listopadzie temperatura w Alzacji nie przekraczała dziesięciu stopni.

Zapaliła papierosa i zapatrzyła się w krajobraz. Jak okiem sięgnąć rozpościerały się tu winnice, przypominające dready. Zanim wzięła na siebie tę katorgę, zapoznała się z topografią miejsca. Większą część Posiadłości zajmowały winnice. Centrum, czyli „Diecezję”, przeznaczono na ферmy i infrastrukturę Emisariuszy. Cały teren był prywatny i nikt obcy nie miał prawa przekraczać jego granic.

Jedyny wyjątek stanowił czas winobrania, bo anabaptyści nie mieli wyboru – żeby zdążyć z ręcznym zbiorem winogron, zmuszeni byli zatrudniać przez dwa tygodnie pracowników sezonowych.

„Witamy, Ivano...”

Przymknęła oczy, poddając się kołysaniu samochodu. W tej chwili czuła się całkiem nieźle. We Wspólnocie podawano doskonałe śniadania z prostych ekologicznych produktów, tak jak lubiła, a lodowate wiejskie powietrze Alzacji owiewało jej policzki wesoło i czule.

„Otrząśnij się, mała. Nie przyjechałaś tu, żeby bujać w obłokach”. Uniosła powieki i trąciła łokciem Marcela, który też się zdrzemnął.

– Słyszałeś o tym zmarłym?

– O jakim zmarłym? – zapytał Marcel, jakby nagle przypomniał sobie, że trzyma w ręce zapalonego papierosa.

Wyglądał jej na takiego, który ma za sobą odsiadkę. Około trzydziestki, blady, o paskudnych zębach, twarz miał podłużną, zapadniętą, niewzbudzającą zaufania, a jego spojrzenie nicponia zdradzało, że lubi łatwe życie i sporo czasu spędza za kratami.

– Słyszałam, że w jednej z kaplic znaleziono zwłoki...

– Tak, w Saint-Ambroise.

Palił, ledwie się zaciągając, jakby oszczędzał oddech. Połowę twarzy zasłaniał mu regulaminowy kapelusz. Coś w rodzaju słomkowej panamy, pasującej do niego jak czapka Inków do Pabla Escobara.

– Co tam się stało? – spytała Ivana.

– A co cię to obchodzi? Jesteś z policji?

Zaśmiała się nienaturalnie.

– Nie rób sobie jaj... – nie ustępowała.

– Tydzień temu – zaczął wreszcie Marcel – zawaliło się sklepienie starej kaplicy w pobliżu Posiadłości. Ktoś był w środku. Ważny gość ze Wspólnoty.

– Ich szef?

– Oni tu nie mają żadnego szefa, ale Samuel był biskupem. Tym, który odprawia mszę.

– I niczym innym się nie zajmował?

– Coś ci powiem, dziewczyno. Zadajesz za dużo pytań.

Ciężarówka wjechała na polną drogę, wzbijając obłoki pyłu. Ciągące się po obu stronach równe rzędy winorośli przypominały Ivana krzyże na cmentarzu amerykańskim w Suresnes. Przerzucana z miejsca na miejsce przez opiekę społeczną, spędziła w tamtym regionie kilka lat.

– W kaplicy trwają prace remontowe – odezwał się nagle Marcel. Mówił teraz głośniej, żeby przekrzyczeć hałas, z jakim ciężarówka toczyła się po wybojach. – Pewnie rusztowania się rozwały i wszystko runęło. Samuela przygniotły kamienie.

– To był wypadek?

Marcel nie zdążył odpowiedzieć – samochody już się zatrzymywały. Robotnicy wysiadali w milczeniu i szli gęsiego, pojedynczo. Ivana dokładnie ich nie policzyła, ale szacowała, że jest ich około sześćdziesięciu. Łącznie z anabaptystami ponad setka ludzi była więc gotowa całymi dniami zginać się wpół nad winoroślą.

Marcel z pewnością nie był ważnym źródłem informacji, ale raczej skrzynią rezonansową. Od niego mogła się przynajmniej dowiedzieć, co o tej tragedii mówili robotnicy sezonowi. Od czegoś musiała przecież zacząć.

Ivana oczywiście zapoznała się z aktami. Żandarmi z Colmar niewiele wiedzieli. Na razie skłaniali się ku hipotezie wypadku, czekali jednak na wyniki ekspertyz budowlanych. Przesłuchali członków Wspólnoty. To była czysta strata czasu. W dodatku Emisariusze posługiwali się tajemniczym żargonem, pompatycznym, a zarazem uspokajającym obawy.

Toteż prokurator Philippe Schnitzler z Colmar zwrócił się do nich: do Pierre'a Niémansa i Ivany Bogdanović z jedyne go w swoim rodzaju OCCS – Centralnego Biura do Walki ze Zbrodniami. Ich

specjalnością były zdumiewające przypadki morderstw i niesłychane motywy zbrodni. Pracowali jako konsultanci. Tym razem postanowili podzielić się zadaniami – ona miała przeniknąć do środowiska, on działać na zewnątrz.

Emisariusze i pracownicy sezonowi zajmowali miejsca, czyli ustawiali się w szeregu przed rzędami winorośli, by wysłuchać porannej modlitwy. Mężczyźni nosili czarne garnitury, białe koszule, słomkowe kapelusze i gumiaki. Kobiety miały sukienki z grubego materiału, szare fartuchy i czepki z organdy. Z daleka Emisariusze wyglądali jak amerykańscy amisy. Z bliska też.

Ivana podrapała się po głowie – irytował ją ten czepek – i jeszcze raz przyjrzała się krajobrazowi, coraz wyraźniej widocznemu w świetle wschodzącego słońca: za winnicami rozpościerały się alzackie równiny i lasy, co było dość miłą niespodzianką. Dwa miesiące wcześniej obowiązki zawodowe (dość ponure) rzuciły ich kilka kilometrów stąd, za Ren, do Schwarzwald. Dlatego Ivana spodziewała się także tu mrocznych lasów iglastych i stalowych jezior, których widok mrozi krew w żyłach.

Ale nic z tych rzeczy – ujrzała typowo francuskie, pogodne, przyjazne wsie. Jesienią drzewa mieniły się czerwienią, miedzią albo były już całkowicie bezlistne, ale łąki (Emisariusze zajmowali się także hodowlą) trzymały się dzielnie, nadal zielone, bujne, jedwabiste.

Przede wszystkim jednak pięknem zachwyciły winnice. Liście przybrały jaskrawożółtą barwę i zdawały się wyrysowane przez światło, a jasne kiście winogron błyszcząły jak złote plamy. Można by pomyśleć, że skórki owoców, choć pomarszczone, z trudem utrzymują sok, który już zaczyna fermentować.

Nagle stanął przed nimi brodacz i zabrał głos, zwracając się jednocześnie do Boga, do ziemi i do ich pokornych sług – obecnych tu robotników sezonowych.

Podziękujmy Bogu za ziemię i za niebo,
 Za słońce i za deszcz,
 Za pory roku, które następują po sobie...”

Ivana mówiła po niemiecku, ale Emisariusz posługiwał się dialektem z XVI wieku, który nie miał już nic wspólnego z językiem używanym w berlińskich klubach.

Jak zawsze usłudźni, gospodarze tego miejsca dostarczyli im przekład modlitw odmawianych w ciągu dnia pracy. W książeczce zaznaczono też, kiedy i które zdania należy powtarzać chórem – i po francusku.

Nie była to żadna forma indoktrynacji. Naprawdę nie. Emisariusze pragnęli tylko, by każdy poznał tę prawdę: owoce ich pracy były nade wszystko darem Bożym. Zbiory winogron tworzyły rodzaj więzi między niebem a ziemią.

Wszyscy powtórzyli chórem:

„W Tobie, Panie, nasza nadzieja!”.

Co rano modły odmawiał kto inny. We Wspólnocie nie istniała żadna hierarchia. Emisariusze godzili się nawet, by w razie potrzeby uczynił to robotnik sezonowy.

„Chwalmy Boga i dziękujmy Mu za nadzieję, którą nas wypełnia,

Gdy siejemy i sadzimy,

I gdy czekamy na zbiory”.

A zgromadzeni odpowiedzieli znowu:

„W Tobie, Panie, nasza nadzieja!”.

Ivana grała swoją rolę z pokorą, kątem oka obserwując wiernych trzymających się na uboczu, na prawo od grupy.

Bardziej niż stroje o przynależności do Wspólnoty zdawał się świadczyć ich wygląd. Właściwie wszyscy byli do siebie uderzająco podobni. Błada cera i delikatnie nakreślone rysy u kobiet, okrągłe oblicza okolone brodą u większości rudych mężczyzn.

Wydawało się, że przybyli z innego stulecia, epoki pionierów Dzikiego Zachodu, pielgrzymów ze Wschodu, tych, którzy przemierzali ocean, pustynie, góry z Biblią w jednej, a motyką w drugiej ręce.

„Prosimy Boga, aby pobłogosławił naszą pracę
W polu, w winnicy, w warzywniku, w ogrodzie,
Aby ich płody dały nowe siły
Nam, jego sługom”.

Ivana szepnęła:

„W Tobie, Panie, nasza nadzieja!”.

Nad nimi dzień budził się na dobre. Jeszcze chwila, a niebo rozjaśni się promiennym błękitem, a światło zaleje ziemię pomiędzy szpalerami winorośli. Ivana, która miała skórę delikatną jak welin, musiała przez cały dzień smarować się kremem z wysokim filtrem.

Może nie było to zbyt tradycyjne, ale na pewno skuteczne.

Uświadomiła sobie, że przegapiła kilka wersetów. Nic wielkiego. U boku Emisariuszy czuła swoiste upojenie, które nie potrzebowało słów. Fascynowała ją ich wiara. To głębokie, niezłomne przekonanie łączące ich we wspólnym losie... Wyobrażała sobie, że na dłoni każdego z nich wryta jest identyczna linia życia.

Przyjeżdżając tu, spodziewała się dziwacznej sekty, nad którą unosi się woń prania mózgu i religijnego oszustwa. Tymczasem poznała ludzi pełnych cichego zapału, silnych, z obojętnością odnoszących się do obcych.

Ivana nie wierzyła w Boga, chociaż po tym, jak przeżyła napady wściekłości ojca, serbskie bombardowania, uniknęła przedawkowania w piwnicy i wyroku za morderstwo („dzięki, Niémans”), miała wszelkie podstawy, żeby uwierzyć w siłę wyższą, która mimo tych wszystkich cierpień czuwała nad nią.

Dotąd wystarczało jej jednak, że przetrwała, i nie miała ochoty rozmyślać nad tym, jak i dlaczego.

„Prośmy Boga, by błogosławił trudowi
Wszystkich, którzy pragną podzielić
Dobra tej ziemi...”

Tak, patrzyła na nich z zazdrością. Na ich pogodne twarze, na oczy wpatrzone we własne dusze, na ich pokorną wiarę. Chciałaby tak

żyć – wolna od wątpliwości, nie zbacząc z drogi... Chciałaby czuć w głębi to szczęście, jakie daje wspólna sprawa i bycie zarazem jej przykładem i sumieniem...

„W Tobie, Boże, nasza nadzieja!”

„Morderstwo”, powiedziała sobie nagle. „Samuel Wending został zamordowany w kaplicy, a ja to udowodnię”. Tak sobie postanowiła, nie mając żadnych dowodów ani nawet poszlak, ale powtarzała to z gniewem i goryczą.

– Co z tobą, śpisz? – usłyszała głos Marcela. – Idziemy, stara.

Poprawiła czepek, starannie wygładziła sukienkę i podniosła wiklinowy kosz.

Oto kim naprawdę była – zagubioną policjantką, która nie potrafi bronić się przed rozczuleniem inaczej, niż udowadniając sobie, że na Ziemi dominuje Zło.

– Morderstwo – szepnęła jeszcze bezgłośnie, nie poruszając ustami. – Bez cienia wątpliwości.

3

Na rozmowę kwalifikacyjną zaproszono ją do stodoły. Powiedziała im prosto z mostu – nie ma doświadczenia i ani trochę nie zna się na winorośli.

Emisariusze, słusznie słynący z cierpliwości i szlachetności, zatrudnili ją bez wahania. Przecież i tak zostało już tylko kilka dni winobrania, a po tej nowicjuszcze widać było determinację i dobre chęci...

Wyjaśnili jej, na czym polega praca. Powiedzieli, że tu prowadzi się różne winobrania, czeka się, by winogrona były przejrzałe czy też, jak się to inaczej mówi, „szlachetnie nadpsute”. Świetnie. Te konające owoce, zebrane w odpowiednim momencie, dawały prawdziwy nektar, mocny i słodki gewürztraminer.

Ivana nie piła wina, ale uwierzyła im na słowo. Pokazali jej, jak zbierać grona, odcinając szypułkę, pęd winorośli. Ciach-ciach, nic prostszego, tyle że trzeba było starannie wybierać kiście do ścięcia. Tajemnica tkwiła w kolorze... Winogrona, które zbierała od dwóch dni, przypominały rodzyнки, małe i pomarszczone, a najlepsze były najciemniejsze.

Szybko wczuła się w tę rolę w grupie mężczyzn i kobiet ubranych na czarno, raz pracujących w kłębach pary, którą wydychali, raz prażonych przez lodowate słońce. Na kolanach albo zgięci w pół, nieustannie powtarzali te same gesty, odurzeni wonią winogron, równie intensywną jak zapach farby olejnej.

Pierwszego wieczoru kładła się spać przekonana, że nazajutrz nie zdoła wstać z łóżka. Najgorsza była pozycja, w której musiała pracować: pochylona nad liśćmi, zgięta, w spadającym czepku, z obolałymi kolanami.

Ale drugiego dnia już przywykła. Świeże, przejrzyste powietrze pomogło jej uporać się z bólem, a każda żyłka na liściach szeptała, że musi być cierpliwa. Przyjechała tu, żeby zbierać informacje. Na razie mogła zbierać winogrona...

Od czasu do czasu unosiła głowę i zerkała na Posłańców (to była inna ich nazwa) zrywających winogrona nieco dalej. Unikali zbliżania się do robotników sezonowych, a gdy do nich mówili, to z nienaturalną łagodnością, w wyniosłym roztargnieniu. Mogli sobie udawać pokornych. Ivana wyczuwała ich skrywane przekonanie o własnej wyższości. Inni, wszyscy inni, „światowi”, byli zwykłą duchową pomyłką, obrazą Bożą.

– Kto zajmie miejsce tego zmarłego? – zagadnęła Marcela.

– O czym ty mówisz?

– Powiedziałaś, że był tu szefem, ktoś przecież musi stanąć na czele grupy, nie?

Marcel zastygł w pół gestu – klęczał na jednym kolanie, drugą nogę miał zgiętą i na niej oparł rękę, spuściwszy sekator jak broń – do pozycji bezpiecznej.

– Przede wszystkim wcale nie mówiłem, że Samuel był ich szefem. Wręcz przeciwnie, powiedziałem ci, że w tej wspólnocie nie ma przywódcy.

Ivana wybrała pomiędzy liści kiść, ścięła ją i rzuciła do kosza.

– W takim razie coś poplątałam.

– Właśnie. Poza tym już ci mówiłem, że zadajesz za dużo pytań.

Uznała, że to okazja do kontrataku:

– A może ty nie zadajesz sobie żadnych pytań? Uważasz, że panująca tu atmosfera jest normalna? Te kostiumy? Zasady? Modlitwy? To, że trzymają nas jak zadżumionych, w najdalszej części Posiadłości?

Marcel wzruszył ramionami i zabrał się za ścinanie kiści. Teraz to on przeszedł do obrony:

– Pracuję tu już piąty rok. Późne winobranie to świetna okazja. Dobry sposób, żeby zarobić jeszcze trochę grosza przed zimą.

– I nie dziwi cię, jak oni tu żyją?

Delikatnie włożył kiść do kosza.

– Zbieram winogrona i biorę pieniądze. Tyle.

Popatrzyła na swoją sukienkę.

– Ale te ciuchy...

– Dbają o skromność. Nie mogę mieć im tego za złe. W winnicach ludzie często pracują z prawie gołym tyłkiem.

- Chyba nie w listopadzie?
- Zawsze jesteś taka upierdliwa?

Rzucił to pytanie bez mrugnięcia okiem, tonem faceta, który wie, że na świecie są takie dziewczyny, ale mało go to obchodzi, bo nie zadaje się z nimi.

- Czyli nie ma tu szefa?
- Nie ma.
- A kto kieruje produkcją?
- Nazywa się Jakob.
- To ten, który pojawił się wczoraj rano?

Niski, pulchny mężczyzna przyszedł sprawdzić, jak pracują. Wszystko szło zgodnie z planem, ale nie mogli teraz marnować ani chwili – zostały już tylko trzy dni do zakończenia Wielkiego Dzieła!

– Tak. To on nadzoruje proces produkcji wina, od zbiorów po napełnienie beczek przed leżakowaniem.

Ivana już go nie wypytywała. Zamyśliła się: ten niski grubas o słodkim głosie i przylepionym do ust uśmiechu doskonale pasował do profilu wyrachowanego dyktatora.

Rywal Samuela?

Podejrzany?

Przy obozowisku pracowników sezonowych zauważyła dziurę w ogrodzeniu. Postanowiła, że najbliższej nocy pójdzie rozejrzeć się w kościele.

Po wyjeździe Ivany Pierre Niémans w samotności ślęczał nad papierami i analizował akta przy swoim paryskim biurku. Nie cierpiał tego: czuł się jak dekontnik, kiedy inni ruszali na front.

Teraz, w środowe popołudnie czternastego listopada, podróżował samotnie TGV. Istna katorga. Fotele cuchnące jak wykładzina dywanowa, pasażerowie o twarzach bez wyrazu, nonszalancy kontrolerzy, którzy opierali się o fotele jak podrywacze w klubie...

Jeden z nich poprosił go właśnie o okazanie biletu. Niémans podał mu go, nie racząc nawet zerknąć, a potem wtulił się w fotel – na szczęście dobrze odizolowany od innych miejsc.

W posępny nastrój wprowadził go przede wszystkim cel podróży – Alzacja. Po prostu nie mógł pojąć, dlaczego ich nowa brygada, która mogła wysłać ich w każdy zakątek Francji, na dwie sprawy, dwa razy z rzędu, kierowała ich w niemal to samo miejsce. Po Czarnym Lesie i świerkach przyszła kolej na dolinę Florival i winnice. Boże! To tylko kilka kilometrów od chałupy jego dziadków! Trudniej było uznać to za pech niż za klątwę.

Teraz pech miał imię i nazwisko: Philippe Schnitzler, prokurator z Colmar, a przy okazji przyjaciel z dzieciństwa. Powiedzmy sobie szczerze: raczej kolega, z którym Pierre przez ileś lat cierpiał w jednej ławce. Nie utrzymywali ze sobą bliższych kontaktów. Każdy podążał własną drogą.

Aż tu nagle Schnitzler przypomniał sobie o kumplu przy okazji tej podejrzanej śmierci w kaplicy. Wypadek? Sabotaż? Morderstwo? Zapytajmy poczciwego, starego Niémansa, co o tym sądzi...

Zerknął na krajobraz przesuwany się za szybą, myśląc o Ivanie, która na ochotnika zatrudniła się do pracy przy winobraniu. Nie liczył za bardzo na tę błyskawiczną infiltrację. Pracowników sezonowych na pewno trzymano z dala od Wspólnoty, więc jego partnerka miała niewielkie szanse na pociągnięcie za język któregoś z Emisariuszy, choć teoretycznie była tak blisko nich. A gorączkowa

atmosfera ostatnich trzech dni winobrania dodatkowo utrudniała jej zadanie.

Nie mając nic lepszego do roboty, znów skupił się na dokumentach. Między wierszami wyczytał, że Wspólnota zyskała w dolinie wyjątkowy status. Jej wino słynęło w całym regionie i pośrednio stanowiło źródło dochodu wielu miejscowych.

Toteż przesłuchujący Emisariuszy starali się robić to w białych rękawiczkach. A Emisariusze odpłacili im, nie godząc się na autopsję. Nie pozwolili też nikomu wejść na swój teren. Kaplica znajdowała się poza Posiadłością, więc żandarmi nie mieli żadnych uprawnień do myszkowania w ich królestwie. Schnitzler zdołał jednak doprowadzić do sekcji, ale... na tym koniec.

Już pięć dni minęło od śmierci Samuela, a akta żandarmerii były cienkie jak karta dań w wagonie restauracyjnym. Dlatego z urzędu przedłużono dochodzenie, licząc na to, że jeśli Niémans będzie miał swobodę działania, potrząśnie całym tym światkiem, zanim do akcji wkroczy krępujący każdy jego ruch sędzia śledczy.

Policjant wyczuwał także inną prawdę, można powiedzieć – podprogową. Skoro Schnitzler go wezwał, to sam musiał wywęszyć w Posiadłości coś nieczystego. Śmierć Samuela była okazją, żeby poznać prawdę o tym anachronicznym świecie – dzięki Niémansowi i jego legendarnej delikatności.

Trudny do zrozumienia komunikat uprzedzał pasażerów, że pociąg zbliża się do stacji w Colmar. Niémans zdrętwiał, słysząc głos kolejarza. *Welcome back home.*

Wziął walizkę i zmobilizował wewnętrzną dobrą wolę. Było to swoiste przegrupowanie sił. Musiał wziąć się w garść, żeby wytrzymać ten drugi pobyt na zbyt dobrze znanej ziemi...

– Cholera.

Przekleństwo wyrwało mu się z ust, gdy stanąwszy na stopniu wagonu, ujrzał oficera żandarmerii, który czekał na niego na peronie. Kapitan Stéphane Desnos był, na co nie wskazywało imię, kobietą.

Co więcej: całkiem atrakcyjną kobietą.

Plotki o jego relacjach z kobietami krążyły od dawna. Albo o tym, że ich nie tolerował, albo o tym, że miał do nich nadmierną słabość. Ponoć był mizoginem. Albo wręcz przeciwnie – był kochliwy i niestały. Wszystko było prawdą i nieprawdą zarazem. Po prostu czasami bywało tak, czasami inaczej.

Natomiast jedno nie ulegało zmianie – Niémans unikał współpracy z osobami płci żeńskiej. Taka obecność kobiet przeszkadzała mu, ponieważ był na nie zbyt uwrażliwiony. Podczas śledztwa trzeba mieć wolną głowę. I chłodną. Mózg gliniarza jest jak biblioteka. Należy kontrolować jego temperaturę i wilgotność.

– Komendant Pierre Niémans?

Lekko przytaknął. Pani żandarm stanowczym gestem przechwyciła jego walizkę na kółkach, jakby chciała jasno pokazać, że jako współpracownicy będą równoprawni.

Kilka razy powtórzyła swoje nazwisko i ruszyła. Niémans szedł za nią, trzymając się nieco z tyłu i przypatrując się jej sylwetce. Trzydziestolatka, o bujnych kształtach, bardzo zmysłowa. Skupił się na biodrach obwieszonych żelastwem – mundurowy pas, kabura z cordury, spluwa, pałka teleskopowa, rękawiczki, kajdanki, zapasowe magazynki.

A pod tą galerią brutalnej siły krągłe pośladki przemawiały zupełnie innym językiem. Niémans znowu zaklął pod nosem. Mógł zapomnieć o chłodnej refleksji i bibliotecznej atmosferze...

Desnos od czasu do czasu zerknęła na niego przez ramię. Chyba trochę zbił ją z tropu ten wysoki facet w czarnym płaszczu, przydających mu surowości okularach i z fryzurą na jeża. Wcale nie starał się być miły.

Dotarli na parking, gdzie czekał na nich nowiuteńki samochód, renault mégane. Napis na drzwiach głosił: „ZANDARMERIA. NASZE ODDANIE, WASZE BEZPIECZEŃSTWO”. Uznał to hasło za kiepskie.

Lepiej nie głosić takich, kiedy przyjeżdża się na miejsce zbrodni, gdzie w roli klienta czekają już zimne zwłoki.

Stéphane Desnos włożyła walizkę Niémansa do bagażnika. „Gorzej, niż myślałem”. Miała doskonale umięśnione ciało, bardzo proporcjonalne, a do tego odrobinę rozczulającej delikatności, która była niezwykle pociągająca. Piersi miała pełne, ciężkie, magnetyczne. A twarz, choć banalna, ale o regularnych rysach i niewinna, była jak zawlecza granatu.

Niémans miał swoją teorię na temat pociągu seksualnego – może prostą, ale sprawdzoną na własnym podwórku. Pożądanie, jak każda naturalna energia, nabiera mocy, jeśli się je hamuje. Nauczycielka podnieca, bo uosabia autorytet i moralność. Mundur ekscytuje, bo staje na drodze pożądliwości. Czasem wystarczą nawet okulary, żeby podnieść atrakcyjność... Toteż uzbrojona pani żandarm, której piersi wychylają się z częściowo rozpiętej bluzy, jest – by tak to ująć – podręcznikowym przykładem.

– Słucha pan czy nie?

Jej głos wyrwał Niémansa z zadumy.

– Tak, oczywiście, mówiła pani o...

– Wyjaśniałam panu, gdzie leży Brason.

– Znam tę okolicę.

Desnos obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem. Oparła rękę na pasie i zdawała się śledzić jego sprośne myśli.

– Chce pan poprowadzić? – spytała, wiedząc już zapewne, z jakiego typu macho ma do czynienia.

– Nie. To pani wóz.

– Dokąd chce pan jechać? Na posterunek?

– Nie. Do kaplicy.

– Natychmiast?

Skinął głową i usiadł na miejscu pasażera.

– Powiedziano mi, że przyjadą dwie osoby – odezwała się, wsiadając.

– Jak widać, jestem sam.

Zanim Stéphane uruchomiła silnik, ściągnęła jeszcze bluzę, wyginając się już na fotelu. Przy tej okazji zobaczył pod rozchyłoną

bluzką ramiączko białego biustonosza, a potem pół miseczki, która właśnie ocierała się o jej brzuch niczym sierp.

Żeby odwrócić od niej uwagę, także stoczył krótką batalię z pasem bezpieczeństwa.

Kiedy Desnos ruszała – a temperatura w kabinie zaczynała spadać – uświadomił sobie, że jako zaciekły mizogin nigdy nie trafił na partnera lepszego od pewnej kobiety: Ivany Bogdanović, swojej aktualnej zastępczyni, małej Słowianki, jego wiewióreczki...

Ta myśl rozgrzała mu serce, toteż podjął już neutralnym tonem:

– Proszę powiedzieć mi więcej o tym śledztwie. Na jakim etapie jesteście?

Niestety, nie mamy nic nowego. Emisariusze milczą. Analizy przeprowadzone na miejscu nic nie dały i wciąż czekamy na ekspertów.

A ponieważ to było wszystko, Desnos zaczęła długą opowieść o Wspólnocie.

W XVI wieku prześladowani w Szwajcarii i Niemczech anabaptyści schronili się w Alzacji. Spośród różnych odłamów – menonitów, huterytów, amiszów – tylko Emisariusze pozostali na miejscu, uważając, że Bóg powierzył im swój cudowny dar, tę ziemię, która rodziła niezwykle winogrona.

W rzeczywistości to miejscowy pan, wzruszony ich wiarą, oficjalnie podarował im w XVII wieku ponad trzysta hektarów pól. Od tego czasu wciąż tam byli. Zwykła wspólnota ubranych w biel i czerń ludzi, którzy przed nikim nie musieli się tłumaczyć i wytwarzali swoje wino – gewürztraminer – regularnie jak w zegarku.

Jechali teraz w stronę doliny Florival, którą płynie Lauch. Sprawdzili na mapie, że ziemie Emisariuszy leżą dziesięć kilometrów na wschód od Brason, u stóp Grand Ballon, najwyższego szczytu w masywie Wogezów.

Dzień był piękny, Niémans nie mógł temu zaprzeczyć, ale skąpane w słońcu późne popołudnie jakoś go nie cieszyło.

– Proszę opowiedzieć mi nieco dokładniej o tym morderstwie – przerwał jej nagle.

– Hola! Nic nie świadczy o tym, że to było morderstwo!

– Czytałem, że stemple podtrzymujące sklepienie nie wytrzymały.

W raporcie mówi się o sabotażu.

– Na razie nie ma co do tego pewności.

– A kiedy będzie?

– Trudno powiedzieć. Eksperci wyznaczeni przez...

Śledztwo w stylu francuskim! Prawie tydzień po zdarzeniu wciąż siedzieli z założonymi rękami, jak człowiek, który czeka w domu na hydraulika, brodząc po kostki w wodzie.

Teraz Niémans rozpoznawał okolice – minęli wzgórze otaczające Guebwiller, gdzie powstaje wiele najszlachetniejszych win alzackich. Tak często przemierzał te drogi na rowerze... W tamtych czasach o Emisariuszach mówiło się tylko szeptem. Uważało się ich za tajemniczy lud o dziwacznych obyczajach.

Nagle zobaczył ogrodzenie i wiszące na nim tablice z napisem „Teren prywatny”.

– Dojeżdżamy do Posiadłości – poinformowała go Desnos.

– Nie wygląda na gościnną.

– Emisariusze nikogo nie niepokoją, a sami też nie chcą być niepokojeni.

Policjant wyczuł w głosie Desnos lekką agresję. Domyślił się, po czyjej stoi stronie.

– Dlaczego początkowo nie godzili się na sekcję zwłok?

– Bo jest spreczna z ich zasadami. Chronią nienaruszalność ludzkiego ciała. Nie godzą się również na transfuzję krwi.

– W aktach jest niewiele protokołów przesłuchań. Nie rozmawialiście z sąsiadami?

– Z jakimi sąsiadami? Kaplica przylega do posiadłości Emisariuszy, a wszyscy, których chcieliśmy przesłuchać, odmówili rozmowy albo odpowiadali wymijająco. Zresztą i tak nie mogli podpisać protokołu.

– Dlaczego?

– „Niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie. A co nadto jest, od Złego pochodzi”, powiedział Chrystus w Ewangelii według Świętego Mateusza^[1]. Te słowa zakazują im składania przysięgi.

Albo Desnos naprawdę zgłębiła temat, albo dobrze znała Emisariuszy.

– A co pani wie o Samuelu? Czytałem, że był biskupem Wspólnoty.

– Odprawiał msze, to wszystko.

– Nie był ich guru?

– Jedyńm guru uznawanym przez anabaptystów jest Chrystus.

Desnos naprawdę doskonale grała rolę ambasadora. Tymczasem za oknem przesuwają się winnice ogrodzone drutem kolczastym i oznakowane kolejnymi tablicami „Teren prywatny”.

– Jak pani zdaniem przeżywają śmierć Samuela?

– Z pokorą. To nie są ludzie, którzy jawnie rozpaczają. W tej chwili ich jedyną troską jest zakończenie winobrania na czas.

Niémans, ulegając policyjnemu stereotypowi, jednoznacznie skojarzył winobranie z najszlachetniejszymi szczepami winorośli i z pieniędzmi – tym majątkiem, który Posłańcy zgromadzili przez stulecia.

– Przypuszczam, że gardzą dobrami materialnymi?

– Oczywiście. Nic nie jest niczyją własnością. Funkcjonowaniem winnicy zarządza kooperatywa, a dochodami zajmuje się fundacja.

– Seks?

Funkcjonariuszka spojrzała na niego z oburzeniem.

– Co to za pytania?

– Darujmy sobie tę dziecinadę. W Posiadłości nigdy nie zdarzają się tego rodzaju problemy? Wykorzystywanie małoletnich? Oskarżenia o gwałt?

– Nie.

Odpowiedziała mu, zniżając głos, tonem zdradzającym rozczarowanie, jakby chciała szepnąć: „Jeśli to ma być ten sławny gliniarz z Paryża...”.

Niémans zignorował jej reakcję. Jeśli w grę nie wchodziła walka o władzę ani sprawy finansowe, a w dodatku trzeba było wykluczyć sprawę obyczajową, to ustalenie motywu zbrodni zaczynało wyglądać jak szukanie wiatru w polu.

– Po co Samuel poszedł tego wieczoru do kaplicy?

– Nadzorował renowację. Bywał tam codziennie.

– Kto znalazł zwłoki?

– Emisariusze, nocą. Zaniepokoił się, bo długo nie wracał do piwnic. Podczas winobrania pracują dniem i nocą.

– Czy w kaplicy było coś wartego kradzieży?

– Nie.

– Kościół znajduje się poza terenem Posiadłości, to świątynia katolicka. Dlaczego finansują renowację?

– Kupili ten kościół na początku dwudziestego wieku. Dla nich to miejsce jest symbolem. Od stuleci, gdy dochodziło do prześladowań, znajdowali tam schronienie.

Niémans zamierzał to wszystko sprawdzić.

– Nie otrzymałem protokołu sekcji.

– Dopiero go nam przesłano.

Mówiąc to, wsunęła rękę pomiędzy fotele i przez chwilę szperała w stojącej z tyłu teczce. Niémansowi znów mignął przed oczyma półksiężyc stanika bielutkiego jak pieluszka niemowlaka.

Natychmiast skupił się na tekście. Kolejne rozczarowanie: nigdy w życiu nie widział tak lakonicznego protokołu sekcji. A przecież obrażenia były liczne. Samuel doznał złamania podstawy czaszki i wytrzewienia narządów jamy brzusznej. Żebra przebiły mu płuca, mostek wbił się w mięsień sercowy, jelito cienkie i okrężnica wysunęły się przez mięśnie brzucha, a trzustka i śledziona pękły.

Dokument nie zawierał żadnych innych informacji. Nie wspomniano o badaniach toksykologicznych, nie przeanalizowano charakteru obrażeń.

– Kto napisał to gównno? – spytał, podnosząc oczy.

– Patrick Zimmermann.

– Chyba nieczęsto pisuje takie raporty.

– Na pewno nie, jest pediatrą. Ma dyplom medycyny sądowej, ale nigdy nie praktykował.

– Co to za cyrk?

– Emisariusze zgodzili się na autopsję pod warunkiem, że ciało Samuela pozostanie w okolicy.

– W okolicy?

– Doktor Zimmermann pracuje w przychodni w Brason. To tam przeprowadził oględziny zwłok. Emisariusze go znają. Czasami zasięgają jego porady, kiedy chorują ich dzieci. Mają do niego zaufanie.

To wszystko brzmiało jak jakiś absurd, ale Niémans domyślał się, że Schnitzler przystał na takie warunki, żeby nie hamować dochodzenia i uciąć wszelkie dyskusje.

Postanowił się nie patyczkować.

– Czy nazwałaby ich pani sektą?

– Wiedziałam, że pan zapyta.
Stéphane wyszeptała to zdanie z sarkastycznym uśmiechem.
– Niech pani odpowie.
– Absolutnie nie. Ta wspólnota istnieje od ponad pięciuset lat.
– Czas nie ma z tym nic wspólnego.
– Chciałam przez to powiedzieć, że można ich uznać po prostu za marginalny odłam chrześcijaństwa. Taka jest przynajmniej opinia Miviludes.

Międzyministerialna Grupa Zapobiegania i Zwalczenia Sekt miała na oku wszystkie grupki, jakie skupiały się wokół wierzeń lub przesądów powstające we Francji. Należeli do niej ludzie, którzy znali się na swojej robocie.

– Gdyby oceniać Emisariuszy wedle kryteriów stosowanych wobec sekt – podjęła Desnos – to nie spełniają żadnego z nich.

– Na przykład którego?

– Każda sekta ma swojego przywódcę. Emisariusze go nie mają. W ich wspólnocie nie liczą się ani pieniądze, ani władza. Żyją skupieni na sobie, w zgodzie, oddając się pracy.

– Żadnego prozelityzmu?

– Nigdy. Mnożą się między sobą, produkują swoje wino, przestrzegają własnych zasad, z dala od życia „światowych”.

To było bardzo wymowne określenie: Emisariusze poznawali głębię i prawdę, tamci żyli powierzchownie i bładzili.

– Nie można tak żyć we Francji w dwa tysiące dwudziestym roku – odparł Niémans. – To kraj równości wobec prawa, jednakowego dla wszystkich.

Desnos się uśmiechnęła – znowu spodziewała się takiej repliki.

– Ma pan rację. Udają, że stosują się do obowiązujących zasad. Oficjalnie mają nazwiska, pensje, płacą podatki. W rzeczywistości wszystko dzieje się w biurach kooperatywy. Nic nie wychodzi poza granice Diecezji. Mają skarbnika, który się tym zajmuje.

– Wie pani, jak się nazywa?

– Jakob.

Niémans zamierzał zadać kolejne pytanie, ale zauważył wśród winorośli coś, co go wzburzyło.

– Proszę zwolnić.

- Słucham?
- Powiedziałem, żeby pani zwolniła!

Byli tam, pracowali w świetle zmierzchu. Setka kobiet i mężczyzn pochylonych nad winoroślą, niczym grupa baletowa. Na tle czerni, w którą wszyscy byli ubrani, tu i ówdzie lśniły białe plamy – słomkowe kapelusze i koszule mężczyzn, czepki i kołnierze kobiet. O tej porze kontrast barw nabierał szczególnego piękna – czerń zdawała się skrzyć, biel była delikatna jak kryształki śniegu.

Po lewej, choć identycznie ubrani, pracownicy sezonowi wyglądali inaczej niż ich sąsiedzi. W większości jeszcze młodzi, różnili się między sobą posturą, karnacją, gestykulacją. Niektórzy mieli tatuaże – tę prawdziwą plagę XXI wieku.

Niémans skupił się na Emisariuszach. To był obraz piękny jak sen, a zarazem dokładny jak haft maszynowy. Właściwie nie wiedział, dlaczego ten widok skojarzył mu się z malowidłem z Muzeum d’Orsay – zatytułowanym Przyjęcie (Une Soirée), płótnem Jeana Bérauda. Elegancka feta u schyłku XIX wieku, towarzystwo we frakach i sukniach wieczorowych... Dlaczego przyszedł mu na myśl ten „raut” – coś, co Emisariusze odrzucali?

Odpowiedź nasunęła mu się nagle. Ta jakże spokojna scena, jej choreografia, wyrażała ducha obrazu. Atmosferę spokojnego świętowania, dyskretnej, zgodnej z rytuałem ceremonii, powściągliwej radości...

Niémans widział kilka zdjęć Emisariuszy, ale szczypta realizmu uwydatniała to, co obraz pozwalał tylko wyczuwać – ich świat był inny, wydawał się zbudowany z innej materii, ożywiony innym duchem. Liście, młode pędy winorośli, a nawet gleba wyglądały bardziej świeżo, żyły. Tkaniny były grubsze, bardziej szorstkie. Nawet brody i włosy wyglądały jak z innej epoki.

Zaparło mu dech w piersi.

Zauważył Ivanę klęczącą pośród winorośli. Pracowała w grupie robotników sezonowych, ale z cerą rudzielca o kasztanowych włosach mogłaby z łatwością wtopić się w społeczność Emisariuszy.

Zazwyczaj policjantka stawiała na wizerunek dzikuski, chodziła w kurtce, dzinsach, botkach, a kiedy próbowała coś zmienić, przestawała być sobą. Ale strój anabaptystki idealnie do niej pasował. To skromne, proste ubranie wydobywało jej czystość, jej subtelność.

Niémans patrzył na nią jak na nawróconą grzesznicę, jak na jedną z tych, którzy podźwignęli się cudem, mimo obciążającej przeszłości, wybieleni dzięki spotkaniu z Bogiem. Ćpała jak opętana. Porzuciła dziecko. Ale była Marią Magdaleną i wyczekiwała okazji wybawienia.

Przez sekundę, tyle, ile trwa odbezpieczenie broni, czuł strach. Może cały ten folklor z innej epoki był tylko kłamstwem, fasadą, za którą kryły się mordercze zamiary albo dobrze chronione sekrety... Gdyby Iwanie coś się stało, nie darowałyby sobie.

Poczuł dreszcz i znów popadł w posepny nastrój. Jakby wszystkie jego neurony niosły teraz ładunki ujemne.

– Niech pani przyspieszy – burknął. – Nie będziemy tu przecież nocować.

Robotnicy sezonowi jako pierwsi opuszczali winnicę, wsiadając jak jeden mąż na tył odkrytych ciężarówek. Emisariusze szli na końcu i wracali ostatnimi samochodami.

Kiedy ich przywoływano, Ivana ukryła się wśród winorośli i czekała. Nadzorcy objeżdżali winnicę konno, ale w ciemnościach Słowianka bez problemu zniknęła za liśćmi. Patrzyła, jak jej grupa wsiada, i znów nasunęło się jej skojarzenie z konwojem śmierci.

Usłyszawszy warkot silników, podeszła bliżej. Wkrótce na terenie winnicy zostały tylko bydłące wozy przeznaczone dla Emisariuszy. Wtedy wbiegła w krąg światła reflektorów, udając, że obciąża spódnicę – widzicie, ja tylko poszłam się wysuszyć, za bardzo się oddaliłam!

– Zaczekajcie na mnie!

Ostatni samochód się zatrzymał. Podbiegła, wdrapała się na platformę. Kiedy przechodziła, wszyscy się odsunęli. Wszelki kontakt fizyczny ze „światowymi” był zakazany. Może Emisariusze traktowali ich jak materię nieorganiczną, na równi z plastikiem i kevlarem.

Ciężarówka nabierała prędkości, ale wszystkie oczy wciąż wpatrywały się w Iwanę, która usiadła na jednej z ławek. Wydukała coś w rodzaju przeprosin i ścisnęła kolana jak zawstydzona dziewczynka.

– Nie przejmuj się – usłyszała szept.

Zobaczyła uśmiech na twarzy sąsiadki. Kobieta wyglądała na najwyżej dwadzieścia lat i doskonale odpowiadała kryteriom Wspólnoty: szatynka o jasnych brwiach, bladych i czujnych żrenicach... Okrągła buzia czyniła ją jeszcze bardziej dziewczęcą.

Ivana była trochę zdyszana. Położyła dłonie na kolanach. Dopiero teraz poczuła, jak jest zmęczona. Bolały ją mięśnie nóg, palce miała zdrętwiałe, plecy napięte...

– Nic ci nie jest? Wytrzymasz? – zaniepokoiła się dwudziestolatka, dostrzegając jej wyczerpanie.

– Wszystko mnie boli – odpowiedziała Ivana. – Sama już nie wiem, gdzie mam ręce, a gdzie nogi...

– Po pewnym czasie to przechodzi, zobaczysz. Ale tym razem nie zdążysz się tak naprawdę przyzwyczaić.

– Szkoda.

Ivana zaskoczyła sama siebie tą reakcją, ale powiedziała to szczerze.

– Masz ogień? – spytała kobieta, wsuwając papierosa do ust.

Ivana zawsze nosiła w kieszeni zapalniczkę Zippo, którą jej zostawiono, ponieważ była mechaniczna. Płomień błysnął tuż przy twarzy Emisariuszki.

W tym świetle Ivana wyraźnie zobaczyła swoją sąsiadkę. Brwi układały się w łuk, jakby wygięte z gniewu albo w przesadnej dumie, nos był mały, a pięknie zarysowane usta zmysłowe. Rysy dwudziestolatki były włoskie, ale kasztanowe włosy i porcelanowa cera – duńskie. Jakby Morze Śródziemne spotkało się z Bałtykiem.

– Jak ci na imię?

– Ivana.

Nie miała powodu kłamać. Po przyjeździe wypełniła dokumenty, używając prawdziwego nazwiska. Wiedziała, że to czysta formalność, bo Emisariuszy nie obchodziła ani francuska administracja, ani sieci społecznościowe, dobre dla „światowych”, którzy tak trwonią czas.

– A tobie?

– Rachel.

Głos miała dźwięczny, pobrzmiewający śmiechem. Jego tembr brzmiał jak strumyczek, który szybko i po cichu przemyka pomiędzy kamieniami i mchem w lesie.

– Mogę sobie jednego zwinąć?

Ivana zauważyła, że papieros Rachel był własnej roboty. Emisariuszka sięgnęła do kieszeni fartucha i wyjęła tytoń oraz bibułki – bez nazwy i opakowania, przechowywane w płóciennej sakiewce.

– Co to za tytoń?

– Alzacki. Uprawiamy go tu.

– Naprawdę?

Na twarzy Rachel pojawił się przelotny uśmiech – muśnięcie pędzla na białej kartce.

– Staramy się być samowystarczalni.

Ivana zwinęła papierosa w ciągu kilku sekund. Tytoń był jasny, jedwabisty – trochę jak Rachel. Zapaliła i siedziała w milczeniu, wystawiając twarz na wiatr. To była szczególna pora – chłodna wieczorna bryza przyjemnie muskała jej skórę, ale przede wszystkim Ivana gratulowała sobie, że tu jest. Otoczona przez Emisariuszy, pożerana wzrokiem przez tę otwartą młodą kobietę, uczyniła milowy krok.

– Dziwię się, że przyjęli cię tylko na kilka dni – zauważyła Rachel.

– Ci, z którymi rozmawiałam, byli bardzo sympatyczni. Wytłumaczyłam im, w jakiej jestem sytuacji.

– A w jakiej?

Zaciągnęła się, a potem skłamała:

– Bez pracy, bez mieszkania, bez kasy.

Rachel potrząsnęła lokami na znak zrozumienia i wyprostowała się, przybierając taką pozę, jakby chciała utrzymać nieruchomo okrągłą głowę w czepku modlitewnym. Ujęła Ivanę za lewą rękę – tę bez papierosa. Policjantka drgnęła – Rachel złamała jedną z zasad – zakaz kontaktu fizycznego.

– Sądząc po palcach, raczej nie masz doświadczenia.

– Ani trochę! – przyznała. – Tym miłsze z ich strony, że mnie zatrudnili.

– Nasz kolejny dobry uczynek!

– Nie boicie się nawet desperatów!

Obie parsknęły śmiechem i Ivana zrozumiała coś jeszcze: gdy Rachel się śmiała, to jakby ujawniała sekret. Wydawało się, że jej twarz wlatuje, traci wszelki ciężar. Usta rozchyłały się, odsłaniając lekko wypukłe śnieżnobiałe zęby, które sprawiały, że miała tak wydatne wargi.

– Nie wiedziałam, co robić – ciągnęła już z powagą Ivana, która dała się ponieść własnym kłamstwom. – Próbowałam znaleźć coś

w okolicznych kafejkach, ale nie potrzebowali pracowników. Dlatego spróbowałam szczęścia tutaj.

– Ale co robisz w tej dziurze? Wyglądasz raczej na dziewczynę z miasta.

– To prawda, jestem z Paryża. Miałam powód, żeby tu przyjechać. Osobisty...

– Jaki?

Ivana zamilkła, jakby się wahając. Rachel trąciła ją łokciem. Najwyraźniej nie bała się dotykać tej obcej.

– To przez faceta... – szepnęła Słowianka, kładąc palec na ustach.

Rachel znów się uśmiechnęła, tym razem zawstydzona. Czy Ivana posunęła się za daleko? Obie w milczeniu paliły papierosy, a inni już się nimi nie interesowali. Ivanę ogarnęło potworne znużenie. Miała ochotę osunąć się na ramię sąsiadki i zasnąć.

Po raz pierwszy traciła czujność. Dotąd starała się być miła, ale zachowywała ostrożność i była podejrzliwa.

– Niedługo będziesz musiała wysiąść – szepnęła Rachel.

Ivana drgnęła – zasnęła z głową na jej ramieniu. Popatrzyła na sąsiadkę z zaciekawieniem: w kilka minut Rachel przełamała wszystkie zapory, jakimi otoczyła się policjantka. Taki urok był wręcz... groźny.

– A wy gdzie nocujecie? – spytała, przecierając oczy.

– Bardziej na wschód, w Diecezji.

– Nadłożyliście drogi, żeby mnie podwieźć?

– Jesteśmy usłużni, jeszcze nie zauważyłaś?

Ivanę dziwiło, że nie widziała, by któryś z Emisariuszy pukał do kabiny kierowcy czy choćby coś do niego krzyknął.

Światła obozowiska rozpraszały mrok.

– Zobaczymy się jutro – powiedziała po cichu Rachel.

– Dziękuję za podwiezienie.

Anabaptystka znów wzięła ją za rękę.

– Wydawało mi się, że nie wolno wam dotykać robotników sezonowych?

– Są reguły, ale jest i chwila. Zależnie od czasu, odczuć i zaufania można odchodzić od zasad.

Te słowa ją wzburzyły. Ale jeszcze bardziej ta twarz – niewinna, bezbronna i... rozbijająca. Wyzierało z niej coś obnażonego, szczerego, coś, co wyrażało skrywaną za determinacją głęboką wrażliwość.

Kaplica Saint-Ambroise znajdowała się na wzniesieniu, niespełna kilometr na północny wschód od Posiadłości. Polny dukt prowadził do budowli, która w nocy wyglądała jak czarna plama na ciemnej tkaninie. A może odwrotnie. Gra odcieniami.

Ten posępny zakątek obudził wiele wspomnień. Po tylu latach gdzieś na dnie pamięci pozostały te przejażdżki rowerowe z bratem; tkwiły tam jak drobne odłamki szkła pod skórą. Szybkie powroty przed zapadnięciem nocy, przed godziną duchów, ze ściśniętym ze strachu żołądkiem. Pedalowali ostro, podnieceni, ale i spanikowani. Jeszcze nie wiedział, że prawdziwe zagrożenie jest tuż obok niego. Brat schizofrenik miał wkrótce pokazać prawdziwą twarz...

– Wszystko w porządku?

Desnos chyba zauważyła, że Niémans pogrążył się w zadumie, skupiony na sobie.

– Tak, tak – odparł, spokojnie wysiadając z samochodu.

Zwrócona na wschód, długa na trzydzieści metrów kaplica zbudowana była z gresu z Wogezów, jak większość tutejszych kościołów. Nie miała dzwonnicy ani witraży. Gdyby nie dwie nadające gmachowi kształt masywnego krzyża przypory w górnej części (zapewne nad transeptem), można by pomyśleć, że to zwykły dom na fermie.

Niémans popatrzył w górę. Nawet nocą widać było, że dach jest w opłakanym stanie. Nic dziwnego, że coś tu się rozwaliło.

Okrzyżył budynek i doszedł do wniosku, że w żaden sposób nie zabezpieczono tego miejsca. Kościoła nie otoczono taśmą, nie zapieczętowano drzwi. Wolał to przemilczeć – już i tak za dużo skrytykował. Zresztą nic nie świadczyło o tym, że jest to miejsce zbrodni. Przynajmniej na razie.

Wewnątrz nie znajdowały się żadne przedmioty kultu poza kamiennym ołtarzem w głębi. Przestrzeń wypełniały głównie dwa potężne rusztowania, pomiędzy którymi pozostawiono przejście

przez nawę. Po lewej osłonięte plastikowymi płachtami, kończyły się jakiś metr od plafonu. Natomiast po prawej ich struktura służyła podparciu szczątków dachu, który runął, a przez deski i belki widać było ogromną dziurę, nad nią zaś niebo.

Niémans przeszedł kilka kroków. Czuł się już lepiej. Ten mały kościół go wzruszył. Jego prostota, może nawet zniszczenie, współgrały z jego koncepcją kultu chrześcijańskiego. Uważał, że wierzyć w Chrystusa to nade wszystko być skromnym i szczodrym. W sumie było mu bliskie credo anabaptystów.

Zauważył, że dokładnie tu posprzątało. Nie było ani śladu po elementach, które uległy uszkodzeniu.

- Gdzie gruz i szczątki dachu? – zapytał.
- Przenieśli je w bezpieczne miejsce.
- W bezpieczne miejsce?

Desnos milczała, Niémans spojrzał w górę. Jeszcze nietknięte freski (czytał, że pochodziły z XVIII wieku), raczej nieporadne, ukazywały Świętego Krzysztofa niosącego na niesymetrycznych ramionach małego Jezusa, też kiepsko namalowanego. Dalej znalazł się przeszyty strzałami Święty Sebastian, ale ani jego pozycja, ani twarz nie wyrażały prawdziwego cierpienia – ten męczennik wyglądał tak, jakby to wszystko nic go nie obchodziło. Inne motywy, poprzecinane ramkami z aluminium, zdawały się skrywać za kredowym pyłem.

– Te malowidła nie mają większej wartości – potwierdziła kapitan Desnos. – Robiono je w pośpiechu podczas rekonstrukcji kaplicy w roku tysiąc siedemset dwudziestym pierwszym. A potem przyszła rewolucja francuska. To nie mogło być już miejsce kultu. Przez ponad sto lat budynek służył okolicznym chłopom jako stajnia.

Niémans znów przypatrywał się dziurze w dachu. Maszty teleskopowe wspierały jej brzegi, a plastikowa płachta chroniła wnętrze przed deszczem. Pomyślał o ekspertach, na których wciąż czekano – zastanawiał się, na czym będzie się opierała ich analiza „wypadku”.

– Zniszczony fresk ukazywał narodziny Jezusa i kazanie do ptaków. Pokażę panu zdjęcia.

- Już je widziałem.

W głębi, pod kopułą wieńczącą chór, Chrystus przeprowadzał sąd ostateczny. Otaczali go Matka Boska, apostołowie i kilku męczenników. Po jego prawicy stał archanioł Michał, który ważył dusze, kładąc je na szali...

Niémans popatrzył na otwory w ścianach, gdzie kiedyś zapewne wprawiono witraże. Tymczasowo osłonięto je przezroczystymi płachtami.

– Wiadomo, co przedstawiały te witraże?

– Nie. Kościół był opuszczony.

Niémans odwrócił głowę. Desnos zatrzymała się w nawie głównej, w pozie, która chyba była jej ulubioną: w lekkim rozkroku, pewnie stojąca na ziemi, z rękami zaciśniętymi na pasie.

– Nie za bardzo rozumiem – podjął, zbliżając się do niej. – Emisariusze są przeciwnikami obrazów religijnych, a msze odprawiają w szopach.

– To prawda.

– Po co więc ta renowacja? Po co zajmować się budowlą, która nawet nie odpowiada wymogom ich religii?

– Już panu mówiłam, że ten kościół wielokrotnie był dla nich ocaleniem. Na początku ubiegłego stulecia kupili go i podjęli niezbędne prace. Dziś postanowili kontynuować remont. Wydaje mi się, że chcą urządzić tu muzeum.

– Jakiego rodzaju?

– Opowiadające o ich historii w Alzacji, przede wszystkim o prześladowaniach, których padli ofiarą. Emisariusze wybaczą, ale nigdy nie zapominają. Obok Biblii każdy z nich trzyma na stoliku nocnym księgę męczenników opisującą wszystkie ich cierpienia.

– Świetna lektura przed snem.

Stéphane Desnos podeszła o krok bliżej, rozdeptując odłamki gipsu.

– Komendancie... Czy mogę zapytać, jak zamierza się pan do tego zabrać? Mam na myśli... kontynuację śledztwa.

– Nie odniosłem wrażenia, by dotąd ktoś tu podjął jakiegokolwiek śledztwo. Kto zezwolił na otwarcie kaplicy?

– Prokurator.

Jeśli pamięć go nie myliła, osobowość Schnitzlera można było podsumować krótko: „Odwagi, nogi za pas!”. Wedle jego koncepcji funkcjonariusza państwowego najważniejsze było unikanie kłopotów, dopóki tylko się da. Zwłaszcza jeśli przyczyną tych kłopotów miałby być gość w słomkowym kapeluszu, mówiący niemiecką, jakiej już nikt nie pamiętał.

– Przypuszczam, że roboty budowlane wkrótce znów ruszą?

– Kiedy tylko nasi biegli przeprowadzą badania.

Niémans klasnął w dłonie – w końcu lepiej było załatwić to na wesoło.

– Dobra. Jak najszybciej sprowadzi mi tu pani oddział żandarmów do zabezpieczenia terenu. Od tej chwili nie chcę tu widzieć żadnych włóczęgów.

– Słucham?!

– Doskonale pani słyszała. Nikt nie ma prawa wstępu do tego budynku, dopóki nie ustalimy, czy jest to miejsce zbrodni, czy nie.

– Ale prokurator...

– Prokurator dał nam czas na dochodzenie. Mamy tydzień na przesłuchania, wezwania, przeszukania zarówno u Emisariuszy, jak poza ich Posiadłością, i nikogo nie musimy prosić o pozwolenie.

– Mimo to będziemy musieli poinformować Jakoba.

– Może pani sobie informować, kogo pani chce, ale teraz najpilniejsze jest ściągnięcie ludzi z Colmar albo z Miluzy. A przy okazji: proszę zadzwonić do Strasburga, niech przyślą tu techników.

– Ale... nic nie wskazuje na to, żeby popełniono tu morderstwo!

– Nie zamierzam grać przed panią starego i doświadczonego gliny, ale podczas śledztwa najpierw stawia się pytanie, a dopiero potem udziela odpowiedzi. Przestaniemy dreptać w miejscu i zabierzemy się do tej sprawy po mojemu.

Wciąż trzymając ręce na pasie, Desnos podeszła jeszcze o krok bliżej.

– To znaczy jak?

– Wyjdziemy z założenia, że doszło do morderstwa. Doświadczenie uczy, że jeśli zaczyna się od najgorszej możliwości, to szanse pomyłki są niewielkie. Dlatego ekipa z kryminalistyki, zebranie śladów, odcisków palców, śladów stóp, próbki, wypytanie

sąsiadów i tym podobne to podstawa. Wie pani, jak to działa. Mam przynajmniej nadzieję, że pani wie...

Chociaż był pełen dobrej woli, długo nie wytrwał w postanowieniu, by załatwić to na spokojnie. Ani z łagodnością, ani z dobrym humorem nie było mu do twarzy. Owszem, zaczął działać w jego stylu. Nękać ludzi, nie licząc się z ich mentalnością. Będą drażnić, grzebać i babrać się w gównie, dopóki czegoś się nie doszukają. A jeśli nic nie znajdą – naprawdę nic – to odejdzie wpatrzony w nowe sprawy, coraz mroczniejsze.

– I jeszcze jedno – powiedział, opierając się o belkę. – Nie chcę widzieć w pobliżu żadnych dziennikarzy.

– Dziennikarze robią, co im się podoba.

– Może u was. U mnie nie. Pierwszego, który się tu pojawi, wyrzucę na kopach. A jeśli spróbuje wrócić, przymknę go.

– Jest pan taki...

– Co? Z lat osiemdziesiątych? Siedemdziesiątych?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, przeszedł z nią na ty:

– Zobaczysz, jeszcze docenisz mój stary styl.

W tym momencie drzwi kaplicy zaskrzypiały. Niémans odruchowo się odwrócił. W półmroku ujrzał skrzata ogrodowego.

Rzecz jasna, był to Emisariusz. I wcale nie taki niski. Ubrany w spodnie z grubego czarnego materiału, nieskazitelnie białą koszulę przeciętą szerokim szelkami, które wysuwały się spod marynarki uszytej z tak sztywnej tkaniny, że dałoby się postawić ją w kącie. Stroju dopełniał kapelusz.

Członek Wspólnoty, prawdziwy, miał w sobie jeszcze coś. Niczym aureola otaczała go aura spokoju i swoistego czaru.

– Dzień dobry, Jakobie – powiedziała Desnos, uśmiechając się do niego.

Wyszła mu na spotkanie i wskazała Niémansa (każdy gest, który wykonywała w jego obecności, wyrażał ogromny szacunek).

– Pozwoli pan, że przedstawię komendanta...

– Wiem, kim jest nasz gość – przerwał jej mężczyzna, a na jego twarzy pojawił się sztuczny słodki uśmiech. – Już nas powiadomiono.

Niémans powstrzymał się od pytania, kto tak skwapliwie informuje o wszystkim Radio Winnica. Uścisnął rękę przybysza i poczuł się tak, jakby dotknął staroświeckiego hebla.

Jakob lekko się cofnął i przybrał pozę skupienia – złączył stopy, dłonie splótł na pasie spodni, spuścił głowę. Wyglądał, jakby uśmiechał się pod wąsem. Cerę miał zaczerwienioną, włosy rude i był barczysty, toteż sprawiał wrażenie silnego. Tę wewnętrzną i fizyczną siłę starannie ukrywał pod maską poczciwości i za napuszonymi manierami.

Ile mógł mieć lat? Trudno powiedzieć. Pewnie przybrał taki wygląd koło trzydziestki i niczego już nie zmieniał. Taki już umrze – w niezmiennym wieku, z taką twarzą, w takim samym kapeluszu.

– Komendancie – odezwał się w końcu – obawiam się, że przyjechał tu pan na próżno.

Otrząsnąwszy się ze zdumienia, w jakie wprowadził go akcent Jakoba (mówił po francusku i brzmiało to tak, jakby uderzał kilofem

w zmrożoną ziemię), Niémans zerknął na Stéphane. Co zamierza im powiedzieć ta karykatura człowieka?

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni plik papierów i wolno je rozłożył.

– Dziś rano otrzymałem ekspertyzę rzeczoznawców. Stwierdzili, że do zaważenia się sklepienia przyczyniły się wyziewy winorośli. Wchodziły w reakcję chemiczną ze stiukiem i gresem, czy coś takiego... Nie bardzo to rozumiem. Tak czy inaczej, nie było w tym ani złej woli, ani zaniedbań ze strony ludzi.

Niémans wziął od niego dokument i przeczytał kilka linijek – techniczny żargon dla wtajemniczonych.

– O jakich rzeczoznawcach pan mówi? – spytał, patrząc na Jakoba.

– Z naszego towarzystwa ubezpieczeniowego. Musieliśmy działać jak najszybciej. Przyjechali, zanim posprzątałyśmy rumowisko i ustawiliśmy na nowo rusztowania. Uznaliśmy, że lepiej będzie powierzyć to...

Niémans obrzucił Desnos gniewnym spojrzeniem.

– Co ma znaczyć ten bajzel?

Pani kapitan wytrzeszczyła oczy, jakby właśnie spadła z obłoków.

– Komendancie, proszę się uspokoić – doradził Jakob. – To jedni z najlepszych rzeczoznawców. Właśnie oni zatwierdzali naszą technikę prac remontowych i...

Niémans spojrział na niego, nie kryjąc, że świerzbiał go ręce. Co warte uwagi, nabożny mąż nawet nie drgnął. Gliniarz w ułamku sekundy zrozumiał, że ci pacyfiści potrafią wznieść się ponad strach. Nie było już chyba prześladowań, tortur i przemocy, których ich społeczność nie zaznałaby na własnej skórze. Uodparniali się od wieków.

– Niech pan uważnie posłucha – rzucił, starając się panować nad głosem. – Przyjechałem z Paryża, żeby przeprowadzić dochodzenie kryminalne, i wypełnię to zadanie bez względu na wyniki analiz pańskich specjalistów.

Jakob pokiwał głową. Nie sięgał mu do ramienia, toteż Niémans mimowolnie pomyślał o hobbitach z Władcy Pierścieni.

– Rozumiem pańskie skrupuły zawodowe, ale zasięgnąłem informacji. Ta opinia ma wartość opinii wydanej przez biegłego

sądowego, więc wydaje mi się, że możemy zaoszczędzić dużo czasu i pieniędzy, uznając...

– Chyba coś do pana nie dociera. Tu zginął człowiek, a ja przyjechałem wyjaśnić tę sprawę. Zapewniam pana, że żaden ubezpieczeniowiec nie zamknie jej za mnie!

– No cóż – powiedział zrezygnowanym tonem Jakob. – W takim razie będę zmuszony zadzwonić do prokuratora i...

– Ależ proszę. Dopóki jednak nie zajdą zmiany, nie chcę widzieć w kaplicy żadnego z pańskich ludzi.

Anabaptysta po raz pierwszy zmarszczył brwi – ta mina nie pasowała do twarzy rozanielonego pasterza z betlejemskiej stajenki.

– Naprawdę?

– Nie mam zwyczaju rzucać słów na wiatr.

Jakob zwrócił się do Stéphane Desnos:

– To dla nas bardzo kłopotliwe. Przygotowaliśmy już wszystko do wznowienia remontu. Zamierzaliśmy zacząć...

Niémans przyjaznym gestem położył mu dłoń na ramieniu, przywołując na usta dyplomatyczny uśmiech.

– Proszę zapomnieć o tych planach, Jakobie, i dziękować niebu, że nie kazałem zaplombować całej waszej Posiadłości.

Policzki Emisariusza stały się czerwone jak burak.

– Niech pan nie bluźni, komendancie. Uczynimy, co w naszej mocy, aby pomóc wymiarowi sprawiedliwości, w zamian jednak proszę, by nie opóźniał pan winobrania. Mamy tylko...

– Zobaczymy.

Niémans wyminął go i ruszył w stronę wyjścia, nie racząc się z nim pożegnać. Wiedział, że odtąd ma w „tamnym świecie” wroga, ale był pewien, że jakoś to przeboleje.

Idąc szybkim krokiem do samochodu, rzucił do podążającej za nim truchtem Stéphane:

– Muszę się zobaczyć z lekarzem sądowym.

– Z lekarzem sądowym? Ale po co?

– Czy wie pani przynajmniej, gdzie go znaleźć?

– Przypuszczam, że w Brason.

– W takim razie jedziemy.

Niémans zachował mgliste wspomnienia z Brason. Tu też bywał na rowerze. Miasto zlało się w jego pamięci z pobliskimi miejscowościami. Centrum tylko dla pieszych, alzacki styl, różowe domy, a na dachach bocianie gniazda, dalej nowocześniejsze przedmieście z poszarzałymi domkami i przytłaczającymi blokami.

– Popełnił pan błąd, zachowując się tak nieuprzejmie.

Niémans nie czuł się zobowiązany odpowiedzieć na tę uwagę.

– Są trochę dziwni – ciągnęła Desnos – ale lojalni. Zgodziliby się na wszystko, ale pod warunkiem, że uszanowałyby pan ich zasady.

– A ja – odparł, pochylając się ku niej – powiem ci tylko, że ci ludzie coś ukrywają.

Za każdym razem, gdy zwracał się do niej per ty, Stéphanie patrzyła na niego zdziwiona, ale jej reakcja była niejednoznaczna, jakby ta poufałość zarazem oburzała ją i jej schlebiała.

– Ale co? – spytała.

Niémans tylko się uśmiechnął tym złowieszczym uśmiechem gliny, którego nie da się wywieść w pole.

– Zaufaj mi – szepnął.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparła, z uporem trzymając się oficjalnych form.

– Ilu dokładnie jest Emisariuszy?

– Trudno powiedzieć. Chyba około czterystu.

– Dlaczego nie ma dokładnych danych? Przed chwilą tłumaczyłaś mi, że przynajmniej na pozór przestrzegają nakazów prawa, mają dokumenty stanu cywilnego i ubezpieczenie zdrowotne.

– To prawda. Ale w rzeczywistości mogą mówić, co chcą. Na przykład kobiety rodzą w domu, toteż stan urodzeń pozostaje wyłącznie pod ich kontrolą.

Kiedy Niémans tego słuchał, ogarniała go coraz większa chęć, żeby się tam rozejrzeć. Ale na miejscu była już Ivana, ona łatwiej zdobędzie przydatne informacje.

– Słyszałaś może o napięciach wewnętrznych w Posiadłości?
– Nie, ale powtarzam: oni żyją w autarchii. Nikt się nie dowie, co dzieje się za ogrodzeniem. Mogę tylko powiedzieć, że ich życie wydaje się spokojne i uporządkowane. Taka jest zresztą ich dewiza „Ordnung i Gelassenheit”.

– Co to znaczy?

– Porządek i posłuszeństwo. Oni wszyscy tworzą jedno ciało. Jednakowo się ubierają, jednakowo żyją, jednakowo oddychają. Trudno obrazić się na siebie samego...

– A co to takiego? – przerwał Niémans.

Na drugim końcu głównej ulicy ujrzał dziwny budynek.

– Szpital w Brason – wyjaśniła Desnos, zatrzymując się na parkingu. – Zamknięto go w latach osiemdziesiątych, ale nadal działa tam przychodnia. Zimmermann jest jej kierownikiem.

Budynek pochodził najprawdopodobniej z lat trzydziestych. Miał fasadę z beżowego gresu z kwadratowymi kolumnami i tarasem na dachu. Freski wokół wejścia przypominały nieco te z pałacu Porte Dorée w Paryżu.

Skierowali się do wejścia. Żwir, po którym szli, chrzęścił pod ciężarem ich kroków. Światła w budynku były wygaszone, ale nie tak jak w miejscu porzuconym, lecz raczej takim, które wypełnia pustka.

– Zimmermann jeszcze tam jest? – spytał Niémans, kiedy wchodzili po schodach. – Przeprowadza kolejną sekcję?

– Chyba mieszka w tym budynku.

Kute w żelazie drzwi były otwarte. W holu panował półmrok. Podłogi, ściany i kolumny wyłożone były drobnymi kafelkami w cielistym kolorze. Sprawiało to wrażenie, jakby wchodziło się w splekane, bliskie omdlenia ciało.

Przyspieszyli kroku na wewnętrznym dziedzińcu otoczonym krużgankami. I znów pełna symetria, kolumny, fajanse... Środkiem biegł długi basen, trudno jednak było powiedzieć, czy niegdyś wypełniała go woda, czy może trawnik. Teraz pozostało tylko zagłębienie wyłożone niebieską ceramiką noszącą ślady wilgoci.

– Naprawdę dziwne miejsce.

Te słowa wymknęły się Niémansowi, a Desnos tylko potwierdziła jego odczucia skinieniem głowy. Szli lewym krużgankiem

w lodowatym półmroku.

Desnos zatrzymała się przed kutymi drzwiami i zapukała. Na tabliczce widniał napis „Ośrodek Medyczno-Społeczny Opieki Społecznej Brason”. Czekali.

Już miała ponownie zapukać, gdy za ich plecami ktoś powiedział:

– Pojawiliście się w samą porę.

Wysoki pięćdziesięciolatek stał oparty o kolumnę. Palił papierosa, unosząc rękę tak, jakby trzymał w niej megafon.

– Za chwilę już by mnie tu nie było – dodał.

– Dokąd się pan wybierał? – spytał Niémans.

– Po prostu odchodzę.

Mam powyżej dziurek w nosie tego nędznego ambulatorium. Od dwudziestu lat zwalają na mnie, co się da, a teraz jeszcze każą mi robić sekcje!

Doktor Patrick Zimmermann zaprowadził ich do dużego pomieszczenia w prawym skrzydle szpitala, gdzie, co było widać, pakował swoje rzeczy. Miejsce wyglądało na dużą wojskową kantinę, w której zgromadził swój dobytek – książki, bibeloty, narzędzia medyczne ułożone na odwróconej skrzynce. Kręcąc się i nie przestając narzekać i jęczeć, mówił o tym miejscu, które popadało w ruinę.

On sam wart był chwili uwagi: wysmukły, nosił biały fartuch przewiązany miękkim paskiem, jak szlafrok. Pociągła, wyrazista twarz zdawała się genialną pułapką na kobiety, a już na pewno – na wielbicielki poetów przeklętych. Wizerunku dopełniał długi pukiel siwych włosów opadający na lewe oko niczym zasłona. Wyglądał trochę jak romantyczny pirat.

Najdziwaczniejszy jednak był sposób, w jaki palił. Trzymał papierosa między palcem serdecznym i małym, zasłaniając twarz przy każdym zaciągnięciu. A kiedy się nie zaciągał, pokaszliwał. Typ skazańca, który postanowił umrzeć pięknie. O dziwo, dawało mu to pewną przewagę, a przynajmniej czyniło heroicznym, przypominającym postawą kapitana, który stoi wyprostowany na dziobie tonącego statku.

– Będzie pan praktykował gdzieś indziej?

– Co to, to nie! Przechodzę na emeryturę.

I znów zaczął opowieść o dwudziestu latach spędzonych w tej obskurnej przychodni, gdzie pracował za grosze, nie mogąc liczyć nawet na wdzięczność mieszkańców... Kipiąc gniewem, nie przestawał starannie układać rzeczy na dnie walizki.

– Czas na młodych! – zakończył ponuro.

Sala, w której się znajdowali, również była osobliwa. Zalegające w kątach nosze, kufry pełne rdzewiejących przyborów, apteczne pudła, na których wyblakły już czerwone krzyże, poplamione serwety operacyjne.

Ale najdziwniejsza była zgromadzona pod ścianą po lewej kolekcja tropikalnych roślin, ogrzewanych przez stare lampy kreślarskie i aluminiowe reflektory. To dlatego było tu tak ciepło – nie jak w zimnej kostnicy.

– Prawdę mówiąc, nie zrozumiałem, czy jest pan lekarzem sądowym, czy pediatrą.

– Ani jednym, ani drugim. Jestem internistą. Ale okoliczni mieszkańcy przychodzą do mnie z dziećmi, a kiedyś uzyskałem dyplom z zakresu medycyny sądowej, który gdzieś tu się poniewiera. Zgodziłem się zając Samuelem, żeby wyświadczyć przysługę.

Niémans rozumiał teraz, dlaczego ten protokół zrobił na nim wrażenie amatorszczyzny. To wszystko było po prostu dziwaczne – wysprzątane miejsce zbrodni, autopsja przeprowadzona przez niedzielnego anatomopatologa. Zastanawiał się tylko, co on tu robi.

– Uważnie przeczytałem pański raport – podjął, kłamiąc, bo ledwie przejrzał go w samochodzie. – Nie wypowiedział się pan precyzyjnie co do przyczyny zgonu.

– Jak to?

Zimmermann poderwał się z miejsca.

– Po tym, co się na niego zważyło, zamienił się w bezkształtną masę. Trudno o dokładniejsze określenie faktycznej przyczyny zgonu, kłopot tylko w tym, co wskazać na pierwszym miejscu!

Niémans powiedział to, żeby podrażnić lekarza.

– Wspomniał pan o kamieniu w ustach denata.

– Zgadza się.

– Uznał pan, że to fragment okładziny sklepienia.

– A cóż innego?

– Widziałem zdjęcia umytych zwłok. Na twarzy było tylko kilka siniaków. Jak wyjaśni pan, że nie doszło do uszkodzenia kości czaszki?

Lekarz wzruszył ramionami. Zdążył już usiąść i pakował książki z serii La Pléiade.

– Jestem lekarzem – burknął – a nie specjalistą od katastrof budowlanych. Może w sypiącym się gruzie powstała nisza, która ochroniła twarz denata.

– Dlaczego w takim razie miał kamień w ustach?

Lekarz spojrzał na niego, skonsternowany. Łatwo było odgadnąć, co sobie myśli: „Kolejny gliniarz, który uważa się za lekarza”.

– Nie wiem – rzucił lekceważącym tonem. – Może to odłamek większej bryły, który odprysnął, kiedy ta uderzyła o ziemię.

– To jedna z możliwości, ale w takim razie uszkodzone byłyby dziąsła i zęby. Tymczasem zgodnie z pańskim protokołem jama ustna była nienaruszona.

– To prawda.

Lekarz znowu wstał i zapalił papierosa.

– A co pan o tym myśli? – zapytał w końcu, pozornie zaintrygowany.

– Możliwe, że ktoś najpierw zabił Samuela i umieścił kamień w jego ustach, a potem spowodował zawalenie się sklepienia, żeby upozorować wypadek.

Zimmermann wypuścił kłęb dymu i zakaszłał.

– To po co ten kamień? Przecież demaskuje charakter śmierci.

– Może to wiadomość, ostrzeżenie.

Lekarz tylko się zaśmiał. Odpowiedź Niémansa nie eliminowała sprzeczności – po co maskować morderstwo, a równocześnie podpisywać się pod nim?

– Co pan zrobił z tym kamieniem?

– Oczywiście... wyrzuciłem go! – odparł szczerze zdumiony lekarz.

Niémans posłał wymowne spojrzenie Desnos, która zachowywała stoicki spokój i pociła się jak mysz, stojąc w kurtce w przegrzanym pomieszczeniu.

– Zniszczył pan tak istotny materiał dowodowy?

– Ciało było zasypane gruzem. Umyto je i wyrzucono kawałki gresu. Kiedy ja i mój asystent znaleźliśmy jeszcze jeden, po prostu go wyrzuciliśmy i kropka. W tym kamieniu nie było nic szczególnego.

– Decyzja w tej sprawie należała do technika kryminalistyki.

– O czym pan mówi?

Policjant zlekceważył to pytanie.

– Czy na tym kawałku gresu było coś namalowane, na przykład fragment fresku?

– Nie. To był pylący kamień długości najwyżej pięciu centymetrów...

Niémans przez chwilę milczał. Ten facet kłamał, nie miał jednak pojęcia, z jakiego powodu.

– Podobno Emisariusze w końcu zgodzili się na sekcję, ponieważ to pan miał ją przeprowadzić.

– Naprawdę?

Ta sprawa zaczynała go irytować i wcale tego nie ukrywał. Lekarz podszedł do kwiatów, wziął zraszacz i zaczął je zwilżać, wypuszczając obłoczki dymu. Z papierosem w zębach, w fartuchu-szlafroku wyglądał jak zrujnowany arystokrata wierny starym nawykom.

– Zna ich pan, prawda? – nalegał Niémans.

– Czasami przywożą do mnie dzieci. Przychodnia odpowiada ich kryteriom.

– To znaczy?

– Jest darmowa. Serdeczny uścisk dłoni i wychodzisz z receptą.

– Jakiego rodzaju choroby ich tu sprowadzają?

– Nic szczególnego. Zapalenie oskrzeli, angina... Zwykle radzą sobie sami, stosują zioła i nie wiem co jeszcze, ale czasami ich domowe leki nie działają.

– Zdarzało się panu jeździć do Diecezji?

– Owszem, raz czy dwa. Do bardzo małych dzieci.

– I jak to wyglądało?

– Bardzo dziwnie. Przyjmowali mnie w ogromnej, pustej szopie. Matka nie odstępowała dziecka nawet podczas badania.

– Czy w takich sytuacjach płacili panu?

– Nie.

– Dlaczego pan tego nie wymagał?

– Niesprzyjająca atmosfera. Trudno to wytłumaczyć, ale... Kiedy człowiek wchodzi na ich terytorium, czuje, że wartości, które są mu bliskie, tam nie obowiązują...

Stéphane Desnos żywo pokiwała głową. Oboje patrzyli na niego jak ludzie, którzy przeżyli doświadczenie bliskie śmierci: „Nie zdoła pan tego zrozumieć”.

Niémans wolał nie drążyć. Męczyło go ciepło tej pseudoszkłarni, ten bezmyślny człowiek, jego protokół – ani niezrobiony, ani nie do zrobienia... Nagle poczuł, że ma tego dość, i pożegnał się, jak zwykli to robić policjanci:

– Na razie to wszystko. Proszę pana o pozostanie do naszej dyspozycji.

– Donikąd się nie wybieram.

– Przecież pan stąd odchodzi?

– Złożyłem wypowiedzenie, ale zostanę tu jeszcze przez jakiś czas. Jestem jak winorośl, w końcu zapuściłem korzenie.

Niémans skwitował te słowa grzecznościowym uśmiechem. Z tą kozacką grzywką i ręką zasłaniającą twarz lekarz naprawdę nie sprawiał wrażenia człowieka, na którym można polegać.

Z ulgą odetchnęli zimnym powietrzem na dziedzińcu.

– Nie zwróciłam uwagi na ten szczegół. Mam na myśli kamień.

Niémans przystanął i popatrzył na Desnos. W ciemnościach, ubrana w ocieplaną kurtkę i uzbrojona jak żołnierz idący na wojnę, traciła część czaru. Trudno. Może to jeszcze wróci – albo nie. Teraz nie to było ważne.

– Ten kamień – odparł – to początek śledztwa. Prawdziwego, policyjnego.

Chciała coś powiedzieć, lecz Niémans wsiadał już do samochodu. Znów nie zdobył się na uprzejmość. Ale to też nie było ważne.

Może dana mu będzie inna okazja – albo nie.

Flamenco było czymś, co naprawdę ją przerastało. Te chrapliwe akordy, te rozdzierające głosy sprawiały, że czuła się tak, jakby ostre pazury szarpały jej serce. W dodatku po kilku sekundach w jej oczach stawały łzy, a gorzka melancholia paliła żołądek jak wrzód.

Wśród robotników sezonowych było sporo pocziwych starych Cyganów, którzy jakby przybyli tu wprost z Saintes-Maries-de-la-Mer. Co wieczór odgrywali sobie Carmen przy ognisku i wcale nie wyglądali na zmęczonych.

Ivana ledwie się ruszała. Ręce i nogi miała bezwładne, plecy zeszywniałe, oddech tak ciężki, że nawet palenie sprawiało jej problem. No i ten ból... Ból ogarniający wszystko, a zarazem niezlokalizowany w żadnym konkretnym miejscu. Przeszywał, tańczył, krążył po jej ciele, czasami zatrzymując się tu czy tam, potem nieoczekiwanie przeskakiwał gdzie indziej, nie dając jej chwili spokoju.

Odłączyła się od grupy i podreptała w stronę już posprzątanых długich stołów. Widok robotników sezonowych w mroku był prawie komiczny, a w każdym razie zdumiewający: kobiety i mężczyźni, którzy spędzili dzień w przebraniu amiszów, teraz nosili stare dresy, podniszczone ciepłe kurtki i czapki nasunięte na czoło.

Ivana zauważyła Marcela, który wyciągnął się na drewnianej ławie przy stole. Nad jego twarzą wirował różowy świetlik – mężczyzna palił skręta, wpatrując się w niebo.

– Dasz macha?

Marcel uniósł głowę i szybko podał jej skręta. Pierwsze zaciągnięcie, najlepsze, uniosło ją ku gwiazdom, tak się przynajmniej poczuła. Od niepamiętnych czasów nie sięgała po trawkę, ale zawsze, kiedy do niej wracała – pozwalała sobie już wyłącznie na ten narkotyk – zaznawiała głębokiej rozkoszy, w której kryła się jasna przestroga.

– Trudno cię rozgryźć – powiedział Marcel, podnosząc się, żeby przejąć skręta.

– W jakim sensie?

Oboje usiedli na ławce. Byli jak dwójka gimnazjalistów, którzy wymknęli się ze szkolnej zabawy.

– Nigdy w życiu nie widziałaś sadzonki winorośli, to jasne. A jeśli chcesz przekonać najemnego robotnika, że jesteś kelnerką czy kimś takim, to zmień sobie ręce.

Spuściła oczy, patrząc na swoje palce, które tutaj stały się istnym przekleństwem. Chciała przełknąć ślinę, ale joint całkowicie wysuszył jej usta.

Decyzja – blefować czy się zwierzać. Albo jeszcze lepiej – pół na pół. Półkłamstwo to przecież półprawda.

– Nie jestem pracownicą sezonową. Jestem dziennikarką.

Znów się zaciągnął. Czerwone iskry wiły się wokół jego palców jak niesforne maleńkie węże.

– Dobra – powiedział, nie wypuszczając dymu z ust. – Teraz wszystko jasne.

– Zbieram materiały o Emisariuszach. Moja redakcja chce dostać porządny artykuł o tej sekcji, a jedyna okazja, żeby się tu dostać, jest właśnie teraz.

– Trochę za późno się pojawiłaś.

Parsknęła śmiechem. Smugi dymu czule ją otulały. Była już wyluzowana.

– W moim brukowcu nikt nie przejmuje się terminami winobrania. Całe szczęście, że Emisariusze zabierają się do tego w ostatniej chwili.

– Masz rację. A co to za gazeta?

Oparła splecione dłonie na zaciśniętych kolanach i pokiwała głową, uśmiechając się, niby to zakłopotana. Wyglądało to raczej na chichot ćpunka, która już odleciała.

– Tego akurat nie mogę ci powiedzieć.

Marcel cmoknął. Pomyślała o tym, jak wyglądają teraz razem, wijąc się i śmiejąc na tej ławce. Dwa niesamowite ludzkie typy.

Spoza kręgu światła bijącego od ogniska i ledowych lamp obserwowali ich konni Emisariusze.

– To ma coś wspólnego ze śmiercią Samuela? – spytał półgłosem Marcel.

– Nie. Zdecydowaliśmy się na ten temat już wcześniej.

– Ale to dodatkowa atrakcja, co?

Tembr jego głosu stał się ostrzejszy, jakby w jego ustach były tylko kości i zęby.

– I tak, i nie. Przede wszystkim pisały o tym wszystkie media, a to raczej minus. Ale gdybym trafiła na jakąś sensację...

– Niczego się nie dowiesz.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo pracuję tu od sześciu lat i wiem, że jeśli spodziewasz się czegoś wstrząsającego, morderstwa upozorowanego na wypadek albo innego podobnego draństwa, to się gorzko rozczarujesz.

Ivana otrząsnęła się z oparów trawki i błyskawicznie odzyskała kontrolę nad sobą.

– Uważasz, że zbrodnia jest wykluczona?

– Emisariusze nie uznają przemocy, to nie są puste słowa. Żaden z nich nigdy nie podniósłby ręki na innego.

– A ktoś z zewnątrz, spoza Wspólnoty?

Marcel parsknął śmiechem. Zęby miał w takim stanie, że Ivana bała się, by przy śmiechu nie stracił jednego albo nawet kilku.

– Masz na myśli kogoś z nas?

Wskazał ręką sylwetki szykujących się do snu. Romowie wreszcie skończyli zabawę.

– Dlaczego nie?

– Znam większość tych ludzi. Nie ma tu zabójców. Co najwyżej mogłoby dojść do bijatyki, gdyby ktoś się upił, do awantury o jakąś laskę, ale żeby zabić Samuela? Po co? Mówię ci, zapomnij o tym.

– Może poszło o pieniądze, o jakiś dług?

Głos Marcela brzmiał gardłowo.

– Tu nie ma pieniędzy. To jak wczasy all inclusive. Ich marynarki nawet nie mają kieszeni.

Zaśmiał się z własnego żartu: położył rękę na przedramieniu Ivany – nie próbował jej podrywać, w tej chwili nie byłby zresztą w stanie, poskręcany jak pnącze, przybrał pozycję charakterystyczną dla ćpuna bliskiego utraty świadomości.

– Zajmij się tym materiałem, który masz przygotować, i zapomnij o Samuelu – wybełkotał. – Dobrze ci radzę. Za kilka dni podadzą oficjalną wersję i wszystko okaże się banalną historią rusztowania, które...

Nie dokończył zdania. Zwalił się na ławkę, pokonany przez sen.

Ivana otrząsnęła się – ona też nie mogła spójnie myśleć... Zostawiła chrapiącego kompana i zataczając się, ruszyła w stronę namiotu.

Aż trudno uwierzyć, że rano planowała dyskretną wyprawę do Saint-Ambroise... Teraz nie doszłaby nawet do ogrodzenia. W połowie drogi osunęła się na trawę i położyła na plecach, wspierając się łokciami.

Kiedy obserwowała anabaptystów, którzy sprząтали po śpiących już robotnikach, pozazdrościła im tej samodyscypliny, pogody ducha, zapału.

Była sierotą i nigdy nie zaznała życia w takim świecie. Gdy nie ma się rodziców, trzeba dostosowywać się do okoliczności. Raz jest się w licznej rodzinie, raz w ośrodku podobnym do poprawczaka, raz u pary starych dewotów...

Tak kształtowała się jej osobowość, klecona z kawałków, a edukacja przypominała cerowane palto, przez które przedziera się wiatr... Tylko zawód policjantki wytyczył jej prostą drogę, którą nigdy nie podążała.

Te refleksje przypomniały jej o Niémansie. Miał tu dzisiaj przyjechać. W zasadzie powinna do niego zadzwonić. Ukryła telefon w zagajniku, kilkaset metrów od Posiadłości.

Ale na samą myśl o przeciskaniu się przez dziurę w płocie, o wędrówce przez pola w środku nocy, zaśmiała się szyderczo. Zresztą i tak nie miała mu nic do powiedzenia.

Lepiej było iść spać i nabrać sił.

Do dyspozycji kobiet i mężczyzn oddano wiele dużych namiotów, rozstawionych w sporych odległościach, i – niczym w wojskowych obozowiskach – umieszczono w nich materace w dwóch rzędach, na wprost siebie. Żeby zapewnić lokatorom odrobinę prywatności, posłania oddzielono płóciennymi parawanami.

Większość robotnic już spała – podczas winobrania nikomu nie groziła bezsenność. Wszędzie królował porządek, ponieważ panował surowy zakaz rozrzucania rzeczy osobistych. Po dniu pracy obowiązkowy był także prysznic w modułowych łaźniach, jakie widuje się na budowach. Emisariusze zabierali stamtąd ubrania robotników, żeby je uprać. Nie nazywali tego „dezynfekcją”, ale taki był prawdziwy cel. Nazajutrz dawali wszystkim świeżą odzież, idealnie czystą i wyprasowaną.

Nocą wszyscy powracali do naturalnych dla siebie zachowań, chrapiąc w rozciągniętych bluzach. Ivana dotarła do swojego materaca i dosłownie padła. Czuła, jak jej kości rozsypują się po pościeli. Przez krótką chwilę leżała na plecach, wpatrzona w ogrzewanie na podczerwień, które Emisariusze zainstalowali w przejściu między rzędami łóżek. Przypominało lampki alarmu, a może diabelskie oczy...

Przymknęła powieki i wtedy pojawiła się Rachel. Jej okrągła buzia, jej brwi – tak mocno zarysowane, a jednak eteryczne, splecione z ucieczki i marzeń, jej jasne źrenice, w których odbijała się postać rozmówcy. Ta dziewczyna nie była bliska natury, ona była samą naturą. Ekologiczne poglądy Ivany były ciasne, zgorzkniałe, agresywne, podczas gdy Rachel uosabiała troskę o te wartości. Młoda, łagodna kobieta dorastała zgodnie z zasadami zrównoważonego rolnictwa. Ivana uśmiechnęła się do tych myśli, które zatracały logikę, w miarę jak ogarniał ją sen.

Potem wszystko się rozpadło.

Najpierw usłyszała szepty podobne do pajęczej sieci. Otworzyła oczy i zobaczyła gromadę rudobrodych Emisariuszy w białych koszulach i słomkowych kapeluszach. Pochylali się nad nią.

Głosy wciąż rozbrzmiewały, ale usta mężczyźni się nie poruszały. Ręce zbliżyły się do niej, muskały jej skórę. Ivana próbowała się poruszyć, ale jej kończyny nawet nie drgnęły – to nie było już zmęczenie, tylko paraliż. Palce, głosy... Teraz miała pewność, że to jakieś modły, jakieś nieznanne jej psalmy...

I wtedy pojawił się mistrz ceremonii.

Zwierzę o brunatnym pysku, jak wyrzeźbione z terakoty, najeżone zębami, które nie były w paszczy, ale okalały ją. Kłami rozdierającymi ciało i sterczącymi wokół nozdrzy, niczym broda z kości słoniowej.

Nagle zrozumiała słowo, które powtarzali Emisariusze:

– Das Biest... das Biest... das Biest...

Obudziła się, gwałtownie się prężąc, i usiadła na posłaniu jak Regan, opętana dziewczynka z Egzorcysty. Najpierw zaczęła kaszleć, potem już myślała, że zwymiotuje. Twarz miała spoconą tym gorzkim, ostrym potem dawnej ćpunkki. Kurwa, wszystko przez tego skręta. Była już za stara na takie wygłupy...

Powoli docierało do niej, że w namiocie panuje spokój: pochrapywania, westchnienia, szelest pościeli... Ale nie wszystko, co działo się we śnie, zniknęło. Pozostały szepty.

Ivana gniewnie podrapała się po głowie, jakby chciała odpędzić resztki snu... Nic z tego. Wciąż je słyszała. Nie w namiocie, ale na zewnątrz. Uniosła się na posłaniu i nasłuchiwała. Głosy były przytłumione przez grube płótno. Zdołała tylko stwierdzić, że dwaj mężczyźni – bo głosy były męskie – mówili po niemiecku. Tym trudnym do zrozumienia starym językiem, który Emisariusze pielęgowali.

Skupiła się i wychwyciła kilka urywków zdań:

– Bestia tu jest...

– Jeszcze nie...

– Doskonale wiesz... jej powrót... zapowiedziany...

Wiatr porywał całe słowa, Ivana nic nie rozumiała, ale usłyszała najważniejsze: „das Biest”. Jak we śnie.

Odczekała kilka minut, zanim zdecydowała się wyjść. Znalazła się sam na sam z przejmującym chłodem i dźwiękami nocy, jakby zduszonymi przez zimno i brzęczącymi jej w uszach.

Skradając się, okrążyła namiot i popatrzyła w lewo, tam, gdzie dwaj mężczyźni szeptem wyjawiali sobie sekrety. Ani żywego ducha. Zapamiętała, że te głosy zdradzały przerażenie...

Das Biest... O kim mówili? O postaci biblijnej? O starym wierzeniu? O mordercy Samuela?

Odwróciła się gwałtownie, wyczuwając czyjąś obecność. Zmrużyła oczy, starając się wypatrzyć cień w mroku. Nic. Jak popychana przez irracjonalną siłę, przyklękła na jednym kolanie i położyła dłoń płasko na ziemi.

Tam, w głębi, była bestia.

Wstała, potarła ramiona i żywo potrząsnęła głową.

Była tu tylko trzy dni, a już niemal zwariowała.

Przemykała wzdłuż namiotu, gdy jej uwagę przykuła pewna scena. Kobiety ubrane dokładnie jak za dnia – w czarne suknie i białe czepki – szły gęsiego przez obozowisko. Niosły sterty sukienek, czepków i fartuchów, starannie wypranych i wyprasowanych, gotowych na jutro. Kierowały się w stronę łaźni, żeby zostawić ten przyodziewek w dużym koszu przeznaczonym na czystą garderobę.

Ivana ukryła się i obserwowała je jeszcze przez uchylone płótno namiotu. Te panie nocy niosły nie tylko stroje, ale także pewną koncepcję świata, czystości nowego dnia, piękna oczekującej pracy.

Niewinne istoty powodowane wyłącznie Dobrem.

Czy naprawdę niewinne?

Cichy głosik szeptał jej w głowie: „Oby Bóg cię wysłuchał”.

Niémans nie jadł kolacji. Przyniosło mu to drobną satysfakcję osobistą – każdy pominięty posiłek, każde zwycięstwo w zakresie diety wypełniały go chwilową dumą. Z wiekiem utył i ubolewał nad tym, uznając takie folgowanie sobie za poniżające. Marzył, by być jak sadhu^[2], któremu starcza miska ryżu dziennie. Ze stoickim spokojem odrzucać pokusę obżarstwa. Niestety...

Zadzwoił telefon komórkowy: Desnos.

– Czekamy na pana na dole.

Udało jej się zebrać oddział. Niémans wstał z łóżka, nie zwracając szczególnej uwagi na dwunastometrowy pokój ani na pożółkłą tapetę, której wzór był już ledwie widoczny.

Kiedy powstawało OCCS, Centralne Biuro do Walki ze Zbrodniami, prefekt powiedział: „Szczęściarz z pana, będzie pan podróżował po całej Francji”. Jak dotąd zwiedzał tylko prowincjonalne kostnice. Wycieczki gastronomiczne kończyły się w barach, gdzie kupował kanapki, żeby jeść je w samochodzie. Co do urokliwych miasteczek, widywał w nich tylko obskurne pokoje hotelowe i trupy znalezione w wąwozach.

Prawdę mówiąc, odpowiadało mu to, ponieważ nie interesowało go nic poza złem i śmiercią. Drugi brzeg rzeki zostawiał zwykłym ludziom, tym, którzy cieszą się życiem i chcą zapomnieć o śmierci. Tym, których chronił, choć tak naprawdę ich nie znosił w realnym świecie.

Garstka żandarmów czekała na niego w sali restauracyjnej. Faceci w obcisłych granatowych kurtkach mundurowych na tle pergaminowych ścian ozdobionych muszkietami z XVII wieku, w świetle małych abażurów w woskowożółtym kolorze.

Stéphane kolejno przedstawiała mu swoich cruchotów^[3], ale kto zapamiętałby takie nazwiska. Każde z nich brzmiało jak marka fortepianu.

W grupie znalazło się dwóch z wyraźną nadwagą. Dwaj inni wyglądali tak, jakby właśnie zakończyli staż albo dopiero go zaczęli. Kolejny wyraźnie zbliżał się do wieku, kiedy czas przekazać pałeczkę młodszemu. Właściwie tylko jeden wydał mu się pomocny w pracy: posępny wąsacz o standardowych wymiarach, około czterdziestki.

– Usiądźcie. – Niémans rzucił to tonem komendy: „Spocznij”.

Żandarmi zdjęli kurtki i przysunęli krzesła do największego stołu.

– Kwestia pierwsza – zaczął policjant – ekipa kryminalistyki.

– Przyjedzie jutro rano.

– Dobrze. Niech dokładnie przeczeszą kaplicę.

– Ale przecież...

– Jakie „ale”?

– Widział pan to miejsce. I wie pan równie dobrze jak ja, że zostało wysprzątane, zdeptane, że było tam mnóstwo ludzi. Nie wiem, co jeszcze...

– Desnos, już ci mówiłem, byś przestała udzielać odpowiedzi, nim postawisz pytanie. Chcę mieć odciski palców, próbki, odlewy. Chcę, żeby to trafiło do laboratorium w Strasburgu. Może analizy coś dadzą.

Stéphane robiła notatki. Żandarmi ukradkiem zerkali na siebie, siedząc ze spuszczoneymi głowami.

– Kwestia druga: wywiad w sąsiedztwie.

– Sąsiedztwie czego? – zapytał wąsacz.

– Kaplicy. Nie można wykluczyć hipotezy, że ten „wypadek” był w rzeczywistości morderstwem i że ktoś celowo uszkodził rusztowania.

Wpatrywały się w niego wytrzeszczone oczy, a to powszechne zdumienie nie wróżyło dobrej współpracy. Nikt tu nawet nie ukrywał sceptycyzmu.

– Jedno z dwojga: ten, kogo szukamy, jest albo Emisariuszem, albo obcym, pracownikiem sezonowym lub kimś z okolicy. Tak czy inaczej, musiał jakoś dotrzeć na miejsce: piechotą, na rowerze, samochodem, motocyklem. Chcę, żebyście przesłuchali rolników, ludzi, którzy mieszkają wzdłuż dróg, tych, którzy jeżdżą departamentalną w interesującym nas przedziale czasowym. Może ktoś coś widział.

– To już zrobiliśmy – odparła urażona Stéphane.

– W takim razie zróbcie to jeszcze raz. Akta tego śledztwa są cieńsze niż zeznanie podatkowe.

Po tych słowach zapadła grobowa cisza. Niémans czuł, że otacza go już nie skrępowanie, ale rodząca się wrogość. I zaczynał mieć tego dość.

– I trzecia sprawa: chciałbym, żebyśmy poważnie skupili się na pracownikach sezonowych. Sprawdźcie ich profil, pochodzenie, to, czy byli notowani.

– To stygmatyzacja.

– Nie, to tylko rozsądek. Wmawia mi się tu, że Emisariusze nie są agresywni i że nie mają żadnego motywu, by popełnić morderstwo. Okej, tak założmy. Kto nam zostaje? Najbliżej miejsca śmierci są robotnicy sezonowi, którzy nocują w obozie niespełna pięćset metrów od kaplicy. Warto bliżej się im przyjrzeć.

Wąsacz znów się odezwał:

– Mamy ich wszystkich przesłuchać?

– Zdecydowanie. Sprawdźcie ich alibi i ocenić. A poza tym zwrócić się do kooperatywy z prośbą o dokumenty, które ci pracownicy wypełniali, zatrudniając się.

Żandarmi wiercili się na krzesłach, Desnos chrząkała.

– Co znowu? – zniecierpliwiał się Niémans.

– Będzie z tym problem, bo takie żądanie mogłoby doprowadzić do opóźnienia winobrania.

– Dziękuję za poruszenie tej kwestii. Wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze: zginął człowiek, a to nie jest błahostka. Nie chcę więcej słyszeć tych bzdur o winobranii. Priorytetem jest nasze śledztwo.

Jeden z dwóch brzuchaczy odważył się zabrać głos. O dziwo, nie miał cienia lokalnego akcentu.

– Założmy, że któryś z robotników sezonowych uszkodził rusztowania w kaplicy, ale po co miałyby to robić? Żeby zabić Samuela? Z jakiego powodu?

– Potrząśnijmy ludźmi, a zobaczymy, czego się dowiemy.

Niémans uniósł dłoń i zgiął kciuk. Przechodził do punktu czwartego.

– A skoro już o tym mowa, przyciśnijcie też robotników z budowy. Nikt o nich nie wspomniał, a przecież to im byłoby najłatwiej celowo uszkodzić dowolne struktury w kaplicy.

Desnos już chciała odpowiedzieć – a Niémans jakby czytał w jej myślach – że tych ludzi też przesłuchiowano, ale się powstrzymała.

– Piąty etap będzie najtrudniejszy...

Zniżył głos, jakby chciał łagodnością przekonać ich do swojej idei:

– Trzeba wrócić źródła i przesłuchać Emisariuszy.

– Powtarzam, że...

– Że nie podpisują zeznań? To mówcie im, że to zwyczajna rozmowa.

– I tak nic nie powiedzą. A zresztą nie mają nic do powiedzenia. Już...

– Zwróćcie się do najbliższych Samuela. Jeżeli nawet wszyscy Emisariusze należą do jednego typu ludzi, to każdy z nich musi mieć własną osobowość. A ja chcę poznać osobowość ofiary.

– Zmarłego – poprawiła Desnos.

– Zmarłego – zgodził się Niémans.

Prawdę mówiąc, podzielał obawy Stéphane: ci ludzie nic nie powiedzą, a jeśli zaczną mówić, będzie jeszcze gorzej. Ale dowódca musi wierzyć w sukces – za siebie i za innych.

Ten tuż przed emeryturą podniósł rękę.

– Wiem, że przyjechał pan, żeby pomóc w śledztwie – powiedział.

– Wiem, że to pańska praca i tak dalej, ale czy mogę zadać panu pytanie?

– Słucham.

– Skąd przekonanie, że doszło do zabójstwa?

Niémans pomyślał o kamieniu w ustach. Nie była to mocna podstawa, jednak instynkt podpowiadał mu, że to ziarenko piasku, przez które maszyna zgrzyta.

Popatrzył na Desnos, jakby zamierzał powierzyć jej ważne zadanie.

– Kapitan panu wyjaśni.

A potem podjął:

– Chcę też odebrać rusztowania, które runęły.

– Po co? – spytał ktoś.

– Ponieważ rzeczoznawcy i tak o to poproszą. A przynajmniej mam taką nadzieję... Jeśli zostały celowo uszkodzone, to są narzędziem zbrodni. Chcę też, żeby odnaleziono szczątki fresku.

– Przecież nikt ich nie ukrył!

– Więc gdzie są?

– Oni na pewno przechowują je w bezpiecznym miejscu. Te malowidła są dla nich bardzo ważne.

– No właśnie. Chcę też wiedzieć, dlaczego tak wiejskie malowidła mają wartość dla chrześcijan, którzy są przeciwnikami sztuki sakralnej.

Niémans położył dłonie na stole – wszystko im już przekazał.

– To tyle. A... nie zapominajcie też o rutynowych czynnościach, jak na przykład sprawdzenie, czy w tym regionie zdarzały się podobne przypadki.

Stéphane wsunęła notes do kieszeni spodni.

– Czyli mamy sporo roboty... Jutro rano rozdzielę zadania i...

– Nie. Zaczniecie natychmiast.

Siedem par brwi uniosło się równocześnie. Niémans popatrzył na żandarmów z uśmiechem, który miał wyrażać współczucie.

– Przykro mi, panowie, ale teraz musimy spróbować nadrobić stracony czas.

– Twierdzi pan, że zawaliliśmy robotę? – rzuciła Desnos, której policzki rozpały się jak światła stopu.

– Nie, ale byliście przekonani, że nie ma czego szukać. Właśnie po to mnie wezwano: żeby zacząć wszystko od zera.

Na znak solidarności odprowadził ich do wyjścia z hotelu. Ciemna ulica Brason, lodowaty wiatr, latarnie drżące w dali... Wszystko to utwierdzało go w przekonaniu, które dawno sobie wyrobił: prowincja po zapadnięciu zmroku wytwarza swoisty koncentrat lęku.

Żandarmi wrócili do samochodu, została tylko Desnos, którą zatrzymał Niémans.

– Chciałbym, żebyś przyjrzała się bliżej kwestii tego kamienia w ustach Samuela. To może mieć charakter rytualny. Musimy się dowiedzieć, czy były podobne przypadki... Ostatnio, ale i na przestrzeni wieków.

– Chce pan, żebyśmy wzięła się za to natychmiast?

Niémans milczał – to było oczywiste.

– Komendancie... – podjęła, patrząc na niego ostro. – Tłumaczył nam pan, jak przeprowadzić śledztwo, więc czy i ja mogę udzielić panu rady?

– Be my guest^[4].

– Gdyby pan mógł się powstrzymać od tych zachowań sierżanta i nie okazywać pogardy paryżanina wobec prowincjuszy, łatwiej by nam było się zmobilizować i chyba działalibyśmy sprawniej.

– Ale ja...

– Zawsze kiedy pan na nas patrzy albo mówi o naszej pracy, sprawia pan wrażenie człowieka, który ze wstrętem przesuwa głównie patykiem.

– Ale...

Podeszła bliżej, zaciskając palce na policyjnym pasie.

– Coś panu powiem. Chociaż urodziłam się w Guebwiller, a żandarmem jestem dopiero osiem lat i w dodatku dwa razy w tygodniu jadam tartę flambée, nie jestem głupsza od innych i jeżeli Samuel naprawdę został zamordowany, to stanę na głowie, żeby dopaść tego, kto to zrobił.

Niémans wybuchnął śmiechem.

– Kiedy już go znajdziemy, zaprosi mnie pani na porcyjkę.

– Ale czego?

– Tarty flambée.

– A popijemy ją winem z Posiadłości – dodała, uśmiechając się od ucha do ucha.

Po powrocie do pokoju Niémans zauważył, że ma nieodebrane połączenie od Zimmermanna. A komórka nawet nie zadzwoniła. Z jakichś niepojętych przyczyn zasięg odzyskiwał dopiero na parterze hotelu.

Natychmiast oddzwonił do lekarza, bo skoro ten próbował się z nim skontaktować o tak późnej porze, sprawa musiała być ważna.

– Przejrzałem notatki – zaczęła lekarz. – Jestem pewien, że Samuel nie żył, kiedy zawalił się strop.

– Na czym opiera pan ten wniosek?

– Zastanowiłem się nad tym i krwawienie było zbyt małe. Mimo że kamienie mocno uszkodziły klatkę piersiową, nie znalazłem śladu krwotoku wewnętrznego.

– I dopiero teraz mi pan o tym mówi?

– Przepraszam... Kiedy przeprowadzałem oględziny zwłok, miałem przed sobą mielonkę pokrytą pyłem. Gruz zmasakrował ciało tak bardzo, że nawet nie zaświtało mi w głowie, że śmierć mogła nastąpić przed katastrofą.

– Domyśla się pan, co mogło być rzeczywistą przyczyną śmierci?

– Szczerze? Nie mam pojęcia.

Nie warto było naciskać na tego niedzielnego patologa.

– Może mi pan przygotować raport?

– To równałoby się kwestionowaniu moich kompetencji.

– Owszem.

Zapadła cisza – lekarz analizował chyba wszystkie za i przeciw.

– Dobrze. Napiszę raport.

– Bardzo proszę zrobić to jak najszybciej.

Niémans zakończył połączenie. To pierwsze zwycięstwo nie dało mu satysfakcji. Sprawdzały się jego przewidywania, ale nie była to dobra wiadomość. Morderstwo. Rytuał. I ta dziwna sprzeczność – dlaczego sprawca równocześnie sygnował zbrodnię i próbował upozorować wypadek?

Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego nie zjadł kolacji i dlaczego miał tak koszmary humor. Nie zadzwoniła do niego. Ivana, jego zastępczyni, jego mała Słowianka... Wprawdzie nie uzgodnili dokładnie, jak i kiedy będą się kontaktować, ale przecież wiedziała, że dziś przyjedzie, więc myślał...

Sięgnął po akta, które przygotowano mu w Paryżu. Nie chciało mu się spać, uznał więc, że lepiej nie próbować, a wykorzystać czas na dopracowanie niektórych wątków i doksztalcenie się.

Właściwie znał już historię anabaptystów. Przeszedł kiedyś fazę protestantyzmu – przynajmniej próbował – i dużo czytał o reformacji. W cieniu tego nurtu ukuły się inne przekonania. Zreformować Kościół tak, aby powrócić do biblijnych zasad – oczywiście. Przede wszystkim jednak powrócić do praktyki wiary z czasów Chrystusa, czyli przyjmować chrzest w dojrzałym wieku, z pełną świadomością znaczenia tego sakramentu.

Tak narodzili się anabaptyści. Wkrótce zaczęto ich prześladować, torturować, wybijać. Większość uciekła. Menonici, amisze, husyci wyruszyli do Europy Wschodniej i do Nowego Świata. Emisariusze, którym pewną ochronę zapewniało wytwarzane przez nich wino, zostali.

Przez pięć stuleci trzymali się z dala od świata ulotnych wartości i od ludzi nieżyjących w zgodzie ze słowem Chrystusa. Wybrali Meidung, dobrowolną izolację, której celem jest życie w czystości, z dala od państwa, polityki, a nawet Kościoła skorumpowanego przez świecką władzę.

Wieki mijały w Posiadłości, podobne do siebie. Wino, prześladowania, niezmienny tryb życia. Lecz w XX wieku na czele wspólnoty stanął człowiek, choć przez poprzednie cztery stulecia nie było tu przywódców.

Otto Lanz nie był prawdziwym przywódcą, ale raczej reformatorem, postacią kontrowersyjną. Po pierwsze, nie wywodził się z historycznego rodu anabaptystów. Był intruzem, „światowym”. Po drugie, był malarzem, co musiało wydawać się nonsensem w społeczności odrzucającej malowidła i wszelkie formy ukazywania postaci ludzkich w sztuce. I wreszcie – był agresywny.

Lanz nie nawoływał do wojny, ale do ścisłego zamknięcia. To on ogroził Posiadłość i stworzył „policję”, która strzegła granic ich świata. To także on, analizując francuskie prawo, zbudował prawdziwą i legalną fortecę, chroniącą Emisariuszy przed ingerencją świata zewnętrznego.

Niémans musiał jeszcze trochę poszperać, żeby zebrać więcej informacji o Emisariuszu, ale o tej porze nie miał już energii, by brać się do pracy. Popatrzył na zegarek: minęła północ, a Ivana wciąż się nie odzywała. Czy powinien się niepokoić? Od trzech dni tyrała przy winobraniu, więc pewnie po prostu była wykończona.

Uznał, że i on powinien się już położyć. Wziął bardzo gorący prysznic w kabinie o wymiarach trumny.

Kilka minut później, leżąc w ciemnościach, poczuł dotkliwą pustkę. Jego ciało jeszcze parowało, a on miał wrażenie, że jest głębokim kraterem. Jego myśli snuły się na pograniczu jawy i snu.

Z tego stanu półświadomości wynurzyło się wspomnienie. Dawno temu próbował nauczyć się japońskiego – sam nie wiedział po co. Wykształcenie Niémansa, całkowitego samouka, zawsze postępowało skokami. Przez jakiś czas pasjonował się architekturą współczesną. Potem zafascynował go kompozytor Charles Koechlin. Potem znowu protestantyzm... Nigdy zbyt nie zagłębiał, ale zawsze to lepsze niż nic.

Innymi słowy, studiował języki wschodnie. Nie znał Japonii, nie pociągała go tamta kultura. Fascynował go alfabet czy raczej znaki kanji. Dostrzegał w tym piśmie – a uściślając, miał nadzieję ujrzeć – inną wizję świata, symbolikę, która pozwoli mu, pod warunkiem że ją zgłębi, uzyskać nowy obraz rzeczywistości (miał trzydzieści lat i zdążył już mocno się oswoić z brutalnością ulicy).

Przerwał po kilku miesiącach: trudno chodzić na wieczorne zajęcia, kiedy trzeba śledzić wielokrotnego gwałciciela albo mordercę, który zabiera głowy ofiar, żeby onanizować się przy nich w domu.

Z tego okresu zapamiętał tylko jeden symbol – rzeki. Pionowa kreska i druga, krótsza, wyobrażały brzegi. Pomiędzy nimi znajdowała się jeszcze jedna, najkrótsza – woda. Znak sam w sobie był piękny, ale jeszcze wspanialsze wydawało się to, że symbolizuje

także rodzinę, a dokładnie – śpiącą rodzinę. Przez pierwsze lata życia dziecka Japończycy kładą je w łóżku pomiędzy sobą i ten znak wyraża właśnie tę trójcę. Ojciec i matka to brzegi, które chronią maleństwo, czyli rzekę.

Dlaczego właśnie teraz przypomniał sobie ten znak, choć leżał samotnie w ciemności? Bo nie miał ani żony, ani dziecka. Był niekompletnym kanji. Samotną kreską.

Dlatego Ivana Bogdanović okazała się dla niego taka ważna. Nie była ani jego drugim brzegiem (żoną), ani rzeką (dzieckiem), ale po trosze jednym i drugim. Ta bliskość nie pozwalała mu stać się skrajem przepaści i czyniła go istotą bardziej ludzką, cieplejszą. Mężczyzną, który mógł czuwać nad tą młodą dziewczyną, a zarazem grzać się w jej ciepłe, gdy jego wewnętrzny chłód był jak wieczna zmarzlina.

Już prawie zasypiał, gdy sięgnął po telefon, żeby jeszcze raz sprawdzić połączenia. Nic nowego. Wyobraził sobie własną twarz – płamę w ciemnościach, oświetloną blaskiem ekranu, tych milionów płynnych kryształów rozczarowania i strachu.

Dopiero wtedy, pokonany, zasnął, zastanawiając się jeszcze, dlaczego nie zadzwoniła.

Na kolanach.
Na piętach.

Na czym tylko się chciało.

Kiedy Ivana się obudziła, czuła się bardziej zmęczona, niż kiedy kładła się spać. Sama myśl o powrocie do pracy w winnicy przyprawiała ją o mdłości. A w dodatku pod czaszką unosiły się jeszcze strzępy sennego koszmaru, ten najeżony zębami pyk i szepty. Das Biest...

Pobudka w świecie Emisariuszy przebiegała zgodnie z surowym protokołem. Najpierw trzeba było posłać łóżko, potem iść pod prysznic (domowej roboty mydło pachniało ziemią, ściętą trawą i jeszcze czymś gorzkim, jakby kadzidłem), a następnie ubrać się w czystą, przygotowaną na ten dzień garderobę (która też pachniała roślinami i dymem).

W okamgnieniu znalazła się w dużym namiocie z oświetleniem elektrycznym i usiadła ze wszystkimi robotnikami sezonowymi do obfitego śniadania. Emisariuszom trzeba było przyznać jedno: jedzenie przygotowywali tu niesamowicie. Zwłaszcza dla niej, weganki.

Z nabożnością zakonnicy sięgnęła po bułeczki jęczmienne i orkiszowe, nałożyła sobie porcję puddingu kukurydzianego. Problem polegał tylko na tym, że anabaptyści podawali także tarty z boczkiem, surową wędzoną szynkę, masło i wszystko, czego dusza zapagnie.

– Dobrze spałaś?

Nie czekając na odpowiedź, Marcel usiadł obok niej i burknął:

– Jakaś cholerna obręcz zaciska mi głowę. To przez to paskudztwo, które wczoraj paliliśmy. Potworne gówno!

Zaczął uskarżać się też na ból pleców, narzekał, że jest połamany i ma problemy z żołądkiem. Błyskawicznie przeszedł do płacy, wcale

nie takiej dobrej, i do naprawdę niedostatecznych ubezpieczeń społecznych.

– Do diaska, nie jesteśmy bydłem!

Ivana nie słuchała. Wpatrywała się w szklankę mleka, którego biel kontrastowała z różnobarwnymi konfiturami – z tą pełnią nasyconych, żywych kolorów, nęcących blaskiem i tworzących na stole paletę artysty. Wszystko zdawało się pochodzić z tego samego źródła, cechować się czystością.

Właśnie to wzruszało ją w Posiadłości: niezwykła spójność. Od złocistych winogron po czarne stroje, od rudych bród po białe kołnierze, przez powolne gesty i ciche modły – wszystko było harmonijne, niczym kryształ, przez który przenika olśniewająca światłość Boża.

Szybkim ruchem uniosła szklankę i duszkiem wypła mleko. Po uczuciu chłodu w gardle przyszło bogactwo zbyt obciążające dla jej żołądka, a potem gorzki smak świętokradztwa: weganom nie wolno sięgać po żaden pokarm pochodzenia zwierzęcego. Nie była pewna, czy zdoła strawić – w każdym znaczeniu tego słowa – takie jedzenie, ale biel w gardle pomogła jej zdecydować, że musi się dziś zobaczyć z Rachel. Zobaczyć się z nią i wypytać.

Niémans spał tylko kilka godzin – oczywiście gównianym snem, nawiedzanym przez trupy ssące kamienie – i obudził się oszołomiony, z papką zamiast mózgu.

O szóstej rano zszedł na dół. Hotel wyglądał na opustoszały. Nie udało mu się uruchomić ekspresu do kawy w restauracji. Wziął płaszcz i postanowił przejść się po mieście. I jakby dostał obuchem w głowę – Brason zaatakowało go niczym stalowy taran.

Nagle wszystko wróciło. Ale nie wspomnienia, których mógłby się spodziewać. Nie ten przerażający pies, nie brat schizofrenik, nie tortury z wykorzystaniem kłów i przewodów hamulcowych. Tylko okruchy dzieciństwa, których ekshumacja ani go nie cieszyła, ani nie unieszczęśliwiała.

Niémans nigdy nie zaznał błogiej beztroski najmłodszych lat ani czystej radości dziecka, które żyje chwilą. Głuchy lęk, niesprecyzowany niepokój towarzyszyły mu na każdym kroku. Dotyczyły teraźniejszości, przyszłości, śmierci i Bóg wie czego jeszcze. W końcu to zawód policjanta zapewnił mu stabilizację i wytyczył drogę. Jedni, żeby utrzymać się na nogach, uzależniają się od alkoholu, narkotyków, psychotropów. On uzależnił się od zbrodni.

Brason nie miało w sobie nic szczególnego. Miasto było podobne do Guebwiller i wszystkich innych dziur w dolinie. Miasteczek pozbawionych życia, niewygodnych jak źle skrojony garnitur i urokliwych niczym nagrobek. Było jeszcze ciemno i niewiele widział, ale wyobrażał sobie bar, szare merostwo, sklepiki z półpustymi półkami.

A jednak przed hotelem czekała go miła niespodzianka: Stéphane Desnos w idealnie wyprasowanym mundurze oraz z uśmiechem wartym wszystkich śniadań świata.

„No widzisz, Niémans, życie nie jest takie straszne...”

– Kawa? – zaproponował, zadyszany po porannej przechadzce.

– Nie, dziękuję.
– Udało ci się posunąć sprawę? – spytał, zacierając ręce, żeby się rozgrzać.

– Technicy weszli już do kaplicy i zaczynają zbierać materiał.

– Świetnie. Muszą najpierw sprawdzić wszystko bluestarem. Lekarz sądowy dzwonił do mnie dziś w nocy. Kiedy doszło do zawalenia stropu, Samuel już nie żył.

– Co takiego? Zmienił zdanie?

– To błazen. Ale teraz jest już za późno na sprowadzanie innego lekarza czy na ekshumację zwłok. Jestem w każdym razie pewien, że bluestar sprawi nam niespodziankę. Dobrą niespodziankę.

– Czyli złą.

– Nie bawmy się słowami – odparł, dygocząc. – Na pewno nie napijesz się ze mną kawy?

Sala restauracyjna już ożyła, chociaż może było to sformułowanie nieco na wyrost. Przy świetle lamp drobna kelnerka kręciła się przy barze. Aromat kawy unosił się nad głowami zaspanych gości i trzeba przyznać, że ta woń napawała otuchą.

Niémans przez chwilę przypatrywał się młodej kobiecie, która zręcznie obsługiwała ekspres do kawy. Już wczoraj zwrócił na nią uwagę. Po pięćdziesiątce jego upodobania i żądze były wciąż takie same jak wtedy, kiedy miał dwadzieścia lat, stały się tylko precyzyjne jak szafirowe ostrze.

– Niémans, słucha mnie pan?

– Co takiego? Tak, przepraszam.

Usiedli przy barze, opierając się łokciami o lśniący blat, niczym bohaterowie westernu.

– Co mówiłaś?

– Mówiłam o sąsiadach...

Kelnerka podała im kawę. Aromatyczny napój przenikał do krwi Niémansa i rozgrzewał go.

– Zaczęliśmy dziś z samego rana, ale biorąc pod uwagę topografię miejsca, nie ma na co liczyć. Wokół posiadłości jest tylko kilka ferm, dość odległych. W dodatku są oddalone od drogi. Nie ma szans, żeby ktoś zauważył cokolwiek na departamentalnej.

– Nikt nie pracował wtedy na polu?

– W środku nocy? Niech pan da sobie z tym spokój, Niémans.

– A robotnicy sezonowi?

– Poprosimy o zgodę.

– Kogo?

– Niémans, zna pan prawo. Oboje wiemy, że jedyne, co można zrobić, to wzywać każdego robotnika z osobna, więc jeśli chcemy zyskać na czasie, musimy udać się na miejsce. A żeby wkroczyć na teren Posiadłości, musimy uzyskać zgodę Emisariuszy...

Niémans milczał. Nigdy nie przejmował się takimi środkami ostrożności, ale to nie był Paryż, a wiedział, że nie może liczyć na wsparcie Schnitzlera.

– Mimo wszystko od wczoraj udało nam się czegoś dowiedzieć. Ustaliliśmy nazwiska robotników sezonowych na podstawie bazy ubezpieczeń. Nawet Emisariusze są zobowiązani zgłaszać swoich pracowników. Teraz sprawdzamy, czy byli notowani i karani.

Dobra robota, mała – chciał już powiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nie zamierzał dać się przyłapać na występku poufałości, a zwłaszcza dyskryminacji kobiet.

– A ekipa remontowa?

– To plan na dzisiejsze przedpołudnie.

Niémans domyślał się, że Desnos pracowała całą noc. Przyniosło mu to swoistą satysfakcję, jednak czuł też wyrzuty sumienia. Nosiała obrączkę i na pewno prowadziła spokojne życie gdzieś w okolicy, miała męża, dzieci i duży niedrogi samochód dla całej tej gromadki. Prawdę mówiąc, lubił zakłócać życie rodzinne kolegów, jak dzieciak, który rozwała zamki z piasku kumplom ze skweru, ale potem zawsze miał do siebie o to żal i czuł się jak samotny tyran.

– Dobrze – powiedział, głośno odstawiając filiżankę na spodek. – Pojedziemy osobiście przesłuchać szefa budowy. Wiesz, gdzie pracuje dziś rano?

Przerzuciła kartki notesu.

– Kieruje innymi pracami sto kilometrów stąd, w Saint-François-de-Paule pod Lipsheim, w Dolnym Renie. To dość znany kościół i...

Szczegóły zapisane w małym notesie, a także jej spokojne gesty rozczuliły go.

Po przyjacielsku ujął ją za ramię i powiedział z uśmiechem:

– W drogę.

Co ty wyprawiasz? – zdziwił się Marcel.

Ivana przechodziła właśnie przez rząd winorośli, żeby zbliżyć się do pracujących nieco dalej Emisariuszy.

– Sezonowi mają trzymać się tej strony.

– Tak? – rzuciła tonem niewiniątka. – Dobrze. Ale wolę ten kąć, chcę zostać w cieniu.

– A gdzie ty widzisz dziś słońce?

– Zostaniesz ze mną czy nie?

Robotnik bez słowa utorował sobie przejście między liśćmi. Zgodnie zabrali się do pracy, wyposażeni w kosze na plecach i sekatory.

Marcel tryskał energią. Chciał jej wyjaśnić, w czym tkwi tajemnica gewürztraminera. Szczep z północy, z zimnego klimatu, odporny na przymrozki, który, zbierany późno, daje bardzo słodkie winogrona. Trunek z niego pije się jako aperitif, do deserów, do posiłku noworocznego. Można się nim też delektować jako dodatkiem do kuchni azjatyckiej.

– Pieczone prosię z winem z Posiadłości. Spróbuj i powiedz mi, co o tym sądzisz!

Ivana nie słuchała. Gardziła winem. Dostrzegała w upodobaniu do niego całą pychę burżuazji, zdychającej w piwniczce z kolekcją butelek po pełnym zakłamania życiu.

Nasłuchiwała, usiłując śledzić to, co mówili dwa rzędy dalej Emisariusze. Srogo się zawiodła – prawie się nie odzywali, a jeśli nawet, to posługiwali się starym niemieckim, którego nie była w stanie zrozumieć.

Ale cieszyła oczy widowiskiem: zbierali winogrona z namaszczeniem, jak skąpcy, którzy nie chcą zmarnować ani jednego owocu, w skupieniu i ze spokojem malującym się na twarzy. Choć pracowali w polu, wyglądali bardzo schludnie. Modlitewne

czepki i słomkowe kapelusze lśniły bielą, suknie i garnitury jak u żałobników – przytłaczały.

Wokół rozpościerała się alzacka wieś, zimna, drżąca. Przygaszone światło wydawało się więc, żeby przedrzeć się przez zaporę chmur. Ivana była zaskoczona: choć tak mocno wrosła w wielkie miasto, podziwiała te rozległe, spokojne przestrzenie, ten zapach ziemi i zwiędłych liści. Podobało jej się tu.

– Co ty tam znowu wyrabiasz?

Ivana drgnęła: cięła właśnie młode pędy.

– Co cię napadło? – pytał Marcel, podchodząc do niej i szacując szkody. – Urwą ci w końcu głowę.

– Nic się nie stało, to odrośnie.

Marcel spojrzał na nią z dezaprobatą – chyba nagle uzmysłowił sobie, jak jest niekompetentna. I wyczuł to lekceważenie mieszczaucha. Skinął ręką, każąc jej przejść do następnej rośliny, a sam usiłował ukryć zdewastowaną część krzewu.

Ivana znów zbierała winogrona, nie mogła jednak powstrzymać się od obserwowania Emisariuszy. W ich gestach, w ich ubiorach wyczuwała głęboki dystans wobec innych. Bariere krwi. Dokładnie to, co czuła przed laty, chowając się w rodzinach zastępczych. Przyjmowano ją jak siostrę. Miała swoje miejsce przy stole, przyswajała sobie zwyczaje, ale brakowało jej tego, co najważniejsze: korzeni, źródła. Oni byli strumieniami, ona tylko rynsztokiem.

– O kurwa, co ty znowu wyczyniasz?

Rozproszona, pogrążona w gorczy, Ivana rozcięła sobie skórę pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem. I nawet tego nie zauważyła.

Teraz jak zahipnotyzowana patrzyła na kapiącą na liście krew. Nie mogła nic zrobić, nie mogła się nawet ruszyć.

– Wszystko w porządku?

Rachel stała na wprost niej, po drugiej stronie winorośli. Zanim Ivana zdążyła odpowiedzieć, anabaptystka chwyciła jej rękę, uniosła ją do ust i zaczęła ssać ranę.

Ivana o mało nie zemdląła, bo ta bliskość, zbyt zmysłowa, wstrząsnęła nią. Ale Rachel już sięgnęła do kieszeni fartucha i wyjęła z niej białą chusteczkę, którą owinęła rękę Ivany.

Policjantka przez cały ten czas nie powiedziała ani słowa. Chciałaby się odezwać, jednak sylaby grzęzły jej w gardle, zostawiając na języku metaliczny smak. Rachel związała chusteczkę, pomagając sobie zębami.

– Bardzo cię boli? – zatroszczyła się, spoglądając zza liści.

Ivanie nasunął się na myśl konfesjonał, w którym zamiast drewnianej kraty są pędy winorośli.

– Już w porządku – wydukała. – Nie wiem, co się ze mną dziś dzieje, ale robię głupstwo za głupstwem.

Rachel przeszła pomiędzy pnączami, unosząc suknię gestem tancerki kankana.

– Pokażę ci.

Stanęła z boku, wzięła ją za prawą rękę, wciąż trzymającą sekator, i poprowadziła ostrza do nasady gałęzi. Zdecydowanym cięciem oddzieliła kiść, chwyciła ją i włożyła do kosza. Ivana przypatrywała się jej pracy, zafascynowana zręcznością anabaptystki i jej spokojem.

Każdy gest Rachel wyrażał głęboką harmonię i wewnętrzną spójność.

Z odległości kilku metrów Marcel podejrzliwie obserwował tę scenkę. Na pewno jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się widzieć z tak bliska Emisariuszki. I chyba wcale nie był zadowolony, że teraz ma taką okazję.

Ivana mimo woli uniosła głowę i zamknęła oczy. Może straciła przytomność, ale tylko na ułamek sekundy. Kiedy je otworzyła, zobaczyła w dali nabrzmiałe deszczem chmury.

– Już rozumiesz? – spytała Rachel.

Ivana cofnęła się, wpatrzona w jej twarz. Wiele ją kosztowało, by nie popieścić tych zaróżowionych, kuszących jak owoc policzków.

Ale przede wszystkim teraz widziała z bliska oczy, które wczoraj wydawały jej się za jasne, niemal władcze w swej przejrzystości. One jednak były o wiele cieplejsze i o wyrazistej barwie. Tęczówki Rachel miały w sobie smutek kamienia, powagę marmurowych nagrobków.

– Możemy zjeść razem obiad? – spytała Ivana.

Wampiry.

– Co ty opowiadasz?

– Wszystko, co znalazłam na temat kamienia w ustach, prowadziło do opowieści o wampirach.

– Możesz to wyjaśnić?

Niémans siedział za kierownicą. Postanowił wcielić się w rolę uprzejmego mężczyzny, zamiast być tylko opryskliwym zwierzchnikiem. Elementarna grzeczność dżentelmena – zostać szoferem. Jechał spokojnie, zdecydowany wykorzystać te sto kilometrów drogi na zakończenie odprawy.

– W latach dwutysięcznych – podjęła Desnos, przeglądając iPada – archeolodzy odkryli w Irlandii dwa pogrzebane szkielety pochodzące z ósmego wieku naszej ery. Oba miały w gardle duże kamienie, które uniemożliwiały zamknięcie ust.

– Jak to interpretują?

– Sądzą, że chodziło o niedopuszczenie, by zmarły się przebudził i powrócił pomiędzy żywych. Wydaje się, że ma to także związek z czarną śmiercią. W tamtych czasach wierzono, że źródłem zarazy są wampiry, które po pogrzebaniu budzą się i zjadają swój całun. Właśnie ten świętokradczy czyn miał rozsiewać zarazę...

„Z takimi dowodami daleko nie zajdziemy...”

– To wszystko? – zapytał spokojnie.

– Nie. Znalazłam inne informacje. W roku dwa tysiące czternastym odkryto na średniowiecznym cmentarzu zwłoki, które zostały okaleczone już po śmierci. Cegła blokowała szczęki zmarłego, aby w razie zmartwychwstania nie mógł kąsać...

– Nie masz nic poważniejszego?

– To całkiem poważne, przynajmniej tak to traktowano w dziewiątym wieku. Wyszperałam także przykład z Włoch, gdzie...

Niémans dość się już nasłuchał. Wtulił głowę w ramiona i wyprężył ręce, mocno opierając je o kierownicę. W dali linia

horyzontu jak ostrze noża ucinająca jednostajne niebo.

- Te stare historie do niczego nas nie doprowadzą – burknął.
- Nie zgadzam się.
- Myślisz, że Samuel był wampirem?
- Nie, ale żył w przeszłości, jak wszyscy Emisariusze.
- Zatrzymali zegary w szesnastym wieku, nie we wczesnym średniowieczu.

– W kwestiach dotyczących powstania Wspólnoty, owszem. Ale są wierni naukom Biblii, szczególnie Starego Testamentu, a to przenosi nas do starożytności.

Desnos miała rację: anabaptyści żyli poza czasem. Żyli w zgodzie z legendarną starożytnością. Epoka była dla nich pojęciem, które gubiło się w piaskach pustyni.

Może kamień w ustach stanowił nawiązanie do prastarego rytuału, był praktyką z czasów babilońskich...

- Czy Samuela mógł zamordować jeden z Emisariuszy? – rzucił.
- Niczego takiego nie powiedziałam. Ale motywu trzeba szukać także w powiązaniu z ich dziejami i wiarą.
- Racja. Poza tym nie wiadomo, do czego są zdolni.
- Nieustannie rzuca pan podejrzenia na tych ludzi, ale myli się pan. W ich świecie nie ma miejsca na przemoc.
- A jednak czytałem, że opowiadają się za karą śmierci.
- To nie ma nic do rzeczy.
- Czyżby? Prawo odwetu to moim skromnym zdaniem dość agresywna zasada.

– Emisariusze są posłuszni Pismu Świętemu. Bronią kar, które stosowano w starożytności. Nawet Jezus mówi w Ewangelii według Świętego Mateusza: „Kto złożyczy ojcu lub matce, niech śmierć poniesie”^[5], a Paweł pisze w liście do Rzymian: „Albowiem zapłatą za grzech jest śmierć”^[6].

Stéphane Desnos wykazywała się coraz większą erudycją. Dobra wiadomość... Być może... Ale Niémans nie potrafił jej rozgryźć: czy stała po stronie Emisariuszy, czy po prostu bardzo dobrze znała ich świat?

- A może Samuel popełnił grzech śmiertelny? – rzucił.

– Niech pan przestanie, Niémans.

– Mimo wszystko zrób mi przyjemność – powiedział tonem, w którym wyczuwało się podejrzliwość oraz pretensję – i sprawdź, czy w kręgu Wspólnoty nie zdarzały się już jakieś niejasne zgony.

– Już sprawdziłam.

– W takim razie poszerz krąg poszukiwań. Może o ich kontakty handlowe, o partnerów od dystrybucji i tym podobne...

– Zrobię to. Ale mam wrażenie, że nie wie pan, czym jest prowincja. Gdyby w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat doszło tu do morderstwa czy choćby wypadku wzbudzającego podejrzenia, wszyscy by o tym wiedzieli.

– Coś ci muszę powiedzieć – mruknął Niémans.

– Co?

– Dobra robota.

Zerknął na nią kątem oka i zauważył, jak się rumieni. Przez moment jej policzki wyglądały jak różowa wata cukrowa, a oczy błyszczały, jakby otwarły się zamykające je okiennice.

– Dojeżdżamy – powiedziała, żeby przewyciężyć emocje.

Saint-François-de-Paule to kościół znacznie większy od Saint-Ambroise. Bardziej rozległy, ale i bardziej czarny. Wznosi się przy drodze departamentalnej niczym hałda na równinie obfitującej w wodorotlenek potasu. Niémans zatrzymał się na parkingu i ruszył w stronę wysokich drzwi. Desnos szła za nim.

Wewnątrz było tak samo – mury jak z ołowiu, sklepienia jak w czasie czyszczenia kominów. Witraże, przez które sączyło się przytłumione światło, sprawiały, że panował tu półmrok. Świece, rzeźby i złocenia także walczyły o uwagę. Ale całość robiła wrażenie zimnego, pozbawionego wyrazu kościoła. Jak zgasła gwiazda.

Paradoksalnie ten majestatyczny grobowiec tętnił życiem – wierni się modlili, turyści zwiedzali, ksiądz mówił do mikrofonu... Niémans zauważył w głębi czerwone światło przy tabernakulum. Zadrżał. Znów te wspomnienia z dzieciństwa. Wtedy ta skrzynka, przy której błyszczała lampka, nie dawała mu spokoju przez całą mszę. Co kryła?

– Tędy.

Część kościoła na drugim jego końcu, po lewej stronie, za kolumnami, zdecydowanie różniła się od reszty świątyni. Panowała tu zupełnie inna atmosfera. Plama światła, jasna i o wyraźnych granicach, odsłaniała długie plastikowe płachty. Za nimi widać było rusztowania sięgające aż do stropu.

Powitanie. Pierre Muller był szefem budowy. Był też najwyższy, najdłuższy i najsztynniejszy w swojej ekipie. Kiedy zrozumiał, że intruzi zamierzają oderwać go od pracy na co najmniej pół godziny, z westchnieniem zdjął kask i rzucił go na blat. Potem splótł ręce na piersi. Jego wsunięte pod łokcie dłonie wystawały jak płetwy.

– Powiedziałem już wszystko waszym kolegom.

Niémans wyciągnął z kieszeni palta raport Jakoba.

– Czytał pan to?

– Bzdury.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Stek bzdur. To chyba jasne, co?

Muller miał wielkie, wylupiaste oczy. Takimi oczami musiał widzieć każdy detal na budowie. Inżynier miał szerokie pole widzenia.

Żandarmi zebrali informacje o inżynierze i jego spółce. Była to firma rodzinna specjalizująca się w renowacji budowli historycznych, przede wszystkim kościołów. Cieszyła się doskonałą opinią. Nie podejmowała się prac konserwatorskich elementów dekoracyjnych, fresków, obrazów, ornamentów, a wyłącznie budowlanych.

– Nie potrzebuję uniewinniania. Od dwudziestu lat ustawiam rusztowania i remontuję kościoły. Znam się na tej pracy, zapewniam państwa.

Wokół Mullera kręcili się robotnicy, ale to Niémansowi nie przeszkadzało. W białych kombinezonach i maskach przeciwpyłowych przypominali techników kryminalistyki. Muller również był w kombinezonie, który wyglądał na nim jak na wieszaku.

– Nie przewidział pan erozji związanej z sąsiedztwem winnicy?

Muller chwycił plik papierów i zaczął je przeglądać, jakby chciał na własne oczy zobaczyć spisane tam absurdy.

– Proszę mnie nie rozśmieszać. Gdyby te wyziewy w istotnym stopniu uszkadzały gres, wszyscy byśmy o tym wiedzieli. A zakładając, że takie zjawisko istnieje, zauważylibyśmy zniszczenia tuż po podjęciu prac. Jak pan to sobie wyobraża? Że wbijamy pylony i ustawiamy platformy, nie przeprowadzając elementarnych testów?

Niémans spodziewał się takich odpowiedzi. Rzeczoznawcy towarzystwa ubezpieczeniowego z niewiadomych przyczyn wciskali Emisariuszom kit, uznając dochodzenie policyjne za nieważne.

– Co pan podejrzewa?

Padła jednoznaczna odpowiedź.

– Umyślne uszkodzenie.

– Czy żeby to zrobić, trzeba być fachowcem?

– Nie. Sklepienie było słabe. Wystarczyło rozkręcić elementy rusztowania i stuknąć kilka razy młotkiem w odpowiednie miejsce, żeby wszystko ruszyło. Trzeba jednak znać się na budownictwie, żeby zrobić to tak szybko.

– To znaczy?

– Samuel został przywalony gruzem około dwudziestej pierwszej. Tego dnia skończyliśmy pracę o osiemnastej. To znaczy, że facet zdołał uszkodzić strukturę w ciągu niespełna trzech godzin.

– Facet? A dlaczego nie kobieta?

– Kiedy skręcamy rusztowania, to bardzo mocno. Trzeba dużo siły, żeby cokolwiek rozkręcić.

– Czy zauważył pan coś, co dowodziłoby sabotażu?

– Nie.

– Potrafi pan to wyjaśnić?

– Niczego nie próbuję wyjaśniać. Ale to było działanie umyślne.

Zacięta mina budowlańca wielu powstrzymałaby od zadawania dalszych pytań. Mężczyzna spuścił głowę, niemal dotykając brodą klatki piersiowej, trochę jak struś, kiedy zgina szyję, i już się nie ruszał.

– Czy to mógł być któryś z pańskich robotników?

– Niech pan się liczy ze słowami.

– Zawsze liczę się ze słowami. Za to mi płacą. Poza tym zadałem panu pytanie.

Muller wolno rozprostował rękę i opuścił ją, dając wyraz znużeniu i zniecierpliwieniu.

– Niech pan sobie myśli, co pan chce. Mam to gdzieś. Ręczę za wszystkich moich ludzi, a jeśli to panu nie wystarcza, może pan sprawdzić ich alibi. Wszyscy byliśmy tutaj, w Saint-François-de-Paule, od dziewiętnastej do dwudziestej drugiej. Nadrabiamy opóźnienia.

– Emisariusze?

Budowlaniec tylko się zaśmiał.

– Morderstwa nie są w ich stylu. Nigdy nie widziałem, żeby któryś facet z Posiadłości się zdenerwował albo pozwolił sobie na brutalny gest. A poza tym nikt nie ośmieliłby się atakować Samuela. Był dla nich niemal jak święty.

– Sądziłem, że nie mają żadnych przywódców.

– Bo nie mają i Samuel również niczym nie rządził. Był jednak oficjalnym przedstawicielem Pana. Nie dawało mu to władzy, ale pozycję... decydującą.

Niémans spróbował inaczej:

– Czy w Saint-Ambroise Emisariusze pracują z wami?

– Mogliby. Nieźle się na tym znają. Ale to zbyt skomplikowane przez mnóstwo zakazów. Nie wolno im dotykać niektórych materiałów, nie lubią elektryczności...

– Co pan o nich sądzi?

– To porządni ludzie. Godni zaufania.

Zaryzykował lekką prowokację:

– Nie przeszkadza panu ich sekciarski charakter?

– Odnaleźli swoją drogę. To dobrze. Zawsze miałem z nimi dobre relacje.

– A co pan powie o Samuelu?

Muller zamyślił się na chwilę. Wielkimi oczyma wpatrywał się w jakiś punkt między kolumnami.

– Upierdliwy gość.

– Pod jakim względem?

– Nadzorował prace. Był strasznym maniakiem. Czasem się kłóciliśmy, ale to nigdy nie były poważne awantury. To byłoby wbrew ich zasadom. W sumie też porządny facet.

– Około której zwykle przychodził?

– Często późnym popołudniem. Kiedy już kończyliśmy.

– Ale w dniu śmierci się nie pojawił?

– Nie. Prawdopodobnie z powodu winobrania. Mają potwornie dużo pracy.

Muller spojrział na zegarek. Miał już dość.

– Co może mi pan powiedzieć o malowidłach na sklepieniu?

– Nic. Nie zajmuję się takimi pracami konserwatorskimi.

– Kto je prowadzi?

– Max Lehmann.

– Gdzie mogę go znaleźć?

Muller uniósł głowę.

– Na górze. On też tu pracuje.

Szcześnie zbieg okoliczności.

– Można poprosić, żeby zszedł?

– Nie. Pracuje nad freskiem mozaikowym. Musi to zrobić, zanim podkład wyschnie.

Niémans spojrział na plastikową płachtę i rysujący się za nią skomplikowany szkielet aluminiowych elementów.

– Macie jakiś podnośnik?

Nie mieli.

Ale zdaniem Mullera wejście po rusztowaniach było łatwe. Niémans, w kasku i uprzęży, zaufał mu. Kierownik budowy szedł przed nim. Po śmierci Samuela nie zamierzał podejmować żadnego ryzyka. Desnos wzięła na siebie rolę personelu naziemnego i przystąpiła do przesłuchiwania robotników z ekipy.

Niémans wspinał się bez problemu, przeszkadzała mu tylko plastikowa osłona, bo wciąż na niego spadała i krępowała ruchy, więc czuł się, jakby pływał w dziwnym, pół płynnym, pół stałym morzu.

Nawet nie zauważył, kiedy dotarł na wysokość jakichś dziesięciu metrów. Nie bez dumy stwierdził, że z łatwością nadaża za kierownikiem budowy.

Był już na przedostatnim podeście, kiedy pośliznął się i nagle zawisł w powietrzu.

– Cholera jasna, niech pan uważa! – wrzasnął Muller, najwyraźniej wcale mu nie współczując.

Podciągnął go za uprzęż jak rybak ściągający sieć. Tym razem złowił grubą rybę – gliniarza ostrzyżonego na jeża, ubranego w czarne palto, którego nigdy nie zdejmował, traktując je niemal jak sutannę. Muller chwycił go za kołnierz i postawił na platformie. Niémans nie zdążył sobie nawet uświadomić, jak to się mogło skończyć – plastikowa płachta zasłaniała mu widok.

– Lehmann jest poziom wyżej – powiedział zdyszany Muller, odpinając karabińczyk i uwalniając się od kłopotliwego kompana. – Tam na końcu są schody. Tylko niech pan uważa.

Niémans pokiwał głową kompletnie dezorientowany.

– A... jak mam wrócić na dół?

– Lehmann wskaże panu drogę, a ja będę pana asekurował. Ostrzegam tylko, to artysta. Ma się za geniusza.

Policjant znowu pokiwał głową, odwrócił się i odszedł zgięty wpół, żeby nie uderzyć o deski najwyższej platformy.

Na końcu rzeczywiście zobaczył kilka desek tworzących prowizoryczne schody. Trzymając się kurczowo balustrady, zaczął się wspinać po nich, aż znalazł się ponad plastikową osłoną, która nie sięgała tak wysoko.

Nagle ogarnęło go wrażenie, że przebił się przez stratosferę. Odkrył sklepienie niebieskie utworzone z ostrołuków i ciemne nisze. Kapitele kolumn były jak kamienie milowe tej monumentalnej i niepokojącej kosmogonii. Wyglądały na rzeźbione w bazalcie. Niémans doznał swoistej wizji – ujrzał niebo z lawy wulkanicznej, która gwałtownie zastygła na mrozie.

– Witam w moim królestwie!

Odwrócił się i zobaczył przez rurki, liny i deski białą sylwetkę, ale nic więcej. Reflektor osłonięty płótnem roztaczał oślepiający krąg światła.

Poruszając się ostrożnie między pędzlami i pojemnikami, Niémans podszedł do konserwatora.

I ten był olbrzymem w białym kombinezonie, dodatkowo nosił kominiarkę z daszkiem i wyglądał jak wielka szarańcza, która wpadła w mąkę. Do tego dochodziły filcowe rękawice i zaciśnięte paskami rękawy kombinezonu – facet był hermetycznie opakowany.

Już po chwili Niémans zaczął żałować, że i on nie ma maski – woń żywicy i wilgotnego gipsu drażniła mu nozdrza.

– Czego pan chce? – spytał Lehmann, ściągając kominiarkę niczym szermierz maskę.

Niémans był zaskoczony jego wyglądem, tą twarzą muszkietera o jasnych wąsach i oczach o blasku czarnych pereł. Wymarzony bohater filmu płaszcza i szpady.

– Przyszedłem porozmawiać z panem o freskach z Saint-Ambroise.

– Słucham.

– Czy zaczął pan już prace przy nich?

– Nie. Wkraczam po zakończeniu prac remontowych. Po tych z dołu.

– Jest pan złotnikiem?

Na twarzy konserwatora, być może wbrew jego woli, pojawił się uśmiech pozłacany wąsami.

– Co może mi pan powiedzieć o tych malowidłach?

– Niewiele. To marna sztuka. Odwalona byle jak robota z siedemnastego wieku.

– Sądzi pan, że uda się odzyskać to, co było na zniszczonej części stropu?

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, bo musiałbym obejrzeć szczątki.

– Emisariusze jeszcze ich panu nie pokazali?

– Nie. Pan wybaczy...

Lehmann szybko chwycił kilka drobnych płytek ceramiki z pojemnika. Sięgnął po pędzel i delikatnie posmarował je błyszczącą substancją, a potem umocował na sklepieniu.

– Mozaika? – zdziwił się Niémans. – Nie sądziłem, że Saint-François-de-Paule to tak stara świątynia.

– Nie jest stara. Ten kościół wybudowano w siedemnastym wieku. Postanowiono jednak przenieść do niego mozaikę pochodzącą z piętnastego wieku i niszczącą w kaplicy w Kalabrii, w rodzinnym regionie Franciszka z Paoli.

Z wielką precyzją układał ceramikę, odtwarzając motyw, którego Niémans nie potrafił rozpoznać.

– Co pan sądzi o decyzji Emisariuszy, by za wszelką cenę odrestaurować sklepienie Saint-Ambroise?

– Nic. Może poza tym, że dla nich to kiepski interes. Zapłacą za moją pracę znacznie więcej, niż warte są te gówniane malunki.

Zapach terpentyny wciąż go dławił, ale ciekawość wzięła górę – podszedł, żeby zobaczyć, co tworzą kawałeczki ceramiki. Był to brązowy baranek, sam na łączce z drzewami nakreślonymi kilkoma liniami. Zapewne baranek paschalny...

Niémans znów się cofnął i popatrzył na konserwatora pochylonego nad rozpuszczalnikami, pędzlami, gąbkami, wacikami... Przypominał alchemika pracującego w jaskini, w ukryciu przed ludźmi.

– Być może – podjął konserwator, prostując się i z satysfakcją patrząc na swoje dzieło – uwierzyli w plotki.

– Jakie plotki?

Lehmann wziął jeszcze kilka kawałków ceramiki i dokończył baranka.

– Często słyszało się, że pod tymi malowidłami znajdują się starsze freski.

Niémans, który od początku czuł, że za tym sklepieniem kryje się coś podejrzanego, natychmiast podchwycił:

– Dzieło o znacznie większej wartości?

Lehmann był bez reszty pochłonięty pracą. Poszczególne elementy ceramiki różnie odbijały światło. Ten efekt optyczny powodował, że baranek wydawał się czarny.

Niémans znów zapytał:

– Prześwietlał pan już sklepienie?

– Zwykle tak się postępuje, ale w tym przypadku było to niemożliwe.

– Dlaczego?

Artysta raczył wreszcie zostawić na chwilę swoje puzzle, żeby spojrzeć na Niémansa.

– Ponieważ Emisariusze kategorycznie tego zabronili.

– Nie chcieli, żeby pan zobaczył, co jest pod freskami?

– Dokładnie tak. I wielokrotnie zaznaczali, że prace konserwatorskie mają być prowadzone tylko na zewnętrznej warstwie.

Muszkietier otworzył przed nim zupełnie nowe perspektywy. Rzeczywistość, która nie miała już nic wspólnego z wiarą Emisariuszy ani z żadnym tajemnym rytuałem. Coś, co wiodło na bardziej znajomy teren.

Kradzież dzieł sztuki, która się nie powiodła. Po prostu.

Baranek był gotowy. Jeszcze wilgotny, zdawał się rodzić na ich oczach, jakby właśnie wynurzył się z wód płodowych świata.

Właśnie wtedy Niémans zrozumiał, że się pomylił: ta ciemna postać nie była barankiem, lecz lwem.

Zapewne Bestią z Apokalipsy.

– Ile czasu potrzeba?

– Na co?

– Na prześwietlenie szczątków fresku z Saint-Ambroise.

– Chwileczkę, powiedziałem panu tylko, że krążą takie pogłoski. Nie ma żadnych dowodów, że cokolwiek tam jest.

– Ile czasu?

– Mogę się za to zabrać jutro rano. Ale stawka będzie „ekspresowa”.

– Proszę to ustalić z moim księgowym, czyli z francuską żandarmerią. Nie powinno być problemów.

Pożegnał się z konserwatorem i odszedł, starając się nie potknąć o pojemniki z farbą, słoiki z olejami i miski z ceramiką.

Grabieżca kościołów przyszedł wykraść fragment sklepienia. Intruza zaskoczył Samuel. Doszło do starcia, no i do śmierci człowieka.

Po bójce złodziej spowodował zawalenie sklepienia. Za jednym zamachem załatwił dwie sprawy: zabrał fragment malowidła i upozorował wypadek.

Niémans zszedł po schodach i rozejrzał się, szukając Mullera. Ani śladu. Musiał zejść bez zabezpieczeń i sam. Trudno. Rozmowa z konserwatorem poprawiła mu humor i teraz czuł się niepokonany.

Ledwie dotknął stopą ziemi, podbiegła do niego Desnos.
– Technicy znaleźli ślady krwi.

– W strefie rumowiska?

– Otóż nie. Ślady pozostały na drugim końcu nawy.

Zdusił triumfalny okrzyk. Już w drodze podzielił się z nią swoimi podejrzeniami, mówiąc o fresku pod freskiem, i przedstawił najnowszą teorię bójki między rabusiem a Samuelem. Nie wzbudził jednak entuzjazmu Desnos, którą chyba to wszystko przerastało.

Niémans z satysfakcją patrzył teraz na Saint-Ambroise. Kościół nareszcie prezentował się jak miejsce zbrodni z prawdziwego zdarzenia. Reflektory rozświetlały go bezlitosną mocą trzech tysięcy watów, technicy przebrani za Teletubisie pracowali za taśmami tworzącymi pajęczą sieć, żandarmi poruszali się ostrożnie...

Szef ekipy kryminalistycznej przedstawił się Niémansowi. Julien Petit, czyli Mały, miał około trzydziestu lat i twarz równie „nietuzinkową” jak nazwisko. Kaptur i kombinezon odbierały jej resztki indywidualizmu.

Petit należał do gatunku „exaltatus technicus”. Najprawdopodobniej jako nastolatek upajał się CSI: Kryminalne zagadki Las Vegas i innymi serialami, w których śledztwa rozwiązuje się dzięki śladom żółtka znalezionym pod lodówką. Nie zamierzał zmarnować tak długo wyczekiwanej okazji, by dorównać swym idolom.

Poprowadził ich do miejsca swego odkrycia, ale nic nie dało się zobaczyć. Trzeba byłoby zaciemnić obszar i rozpylić bluestar, który świeci po zetknięciu z cząstkami tlenku żelaza.

– Nie fatyguj się – powiedział Niémans. – Powiedz, co znaleźliście.

„Mały” chyba poczuł się rozczarowany. Pokazał im zdjęcia śladów krwi i uparł się, żeby opisać potyczkę, do której tu doszło. Mocno przy tym gestykulował i czynił liczne komentarze. Na podstawie

kilku kropli krwi zrekonstruował całą scenę. Po Kryminalnych zagadkach najwyraźniej oglądał Dextera.

Rozczulony naiwnością badacza Niémans cierpliwie słuchał. Wiedział, że jeśli nikt nie stał ukryty za rusztowaniem, nie ma najmniejszych szans, by dokładnie ustalić, co się tu wydarzyło.

– Czy te ślady krwi umożliwiają ustalenie genotypu?

Człowiek w kombinezonie zastygł w pół ruchu.

– Co proszę?

– Czy tych śladów krwi jest dość, żeby ustalić DNA?

Załamany brakiem wyobraźni terenowego gliniarza technik kryminalistyki opuścił ręce.

– To będzie bardzo trudne. Ale oczywiście spróbujemy. Jak się domyślam...

– Twoim zdaniem to krew mordercy czy Samuela?

– Oczywiście Samuela.

– Dlaczego „oczywiście”? Przecież mógł się bronić.

Petit z irytacją ściągnął kaptur, po czym rzucił Desnos rozpaczliwe spojrzenie.

– Jako że Samuel był Emisariuszem – powiedział spokojnym tonem, jakim mówi się do dzieci – trudno mi sobie wyobrazić, że wdał się w bójkę. Niestosowanie przemocy to...

– Kiedy ktoś zostaje napadnięty, ciało może czasem zareagować szybciej niż głowa.

Desnos, której komórka się rozdzwoniła, odeszła na bok, żeby odebrać.

Niémans ciągnął:

– To wszystko?

– Wydaje mi się, że to już sporo.

– A ślady kroków?

– Co? Ależ...

– Sprawdź resztę kaplicy bluestarem, jeśli trzeba, to nawet do sufitu, ale znajdź mi ślady!

Szedł do wyjścia, kiedy dogoniła go Desnos.

– Pięciu pracowników sezonowych ma kartotekę.

– Zgarnijcie ich.

– Co takiego?

– Areszt tymczasowy!

– Podczas winobrania?

Kapitan była oburzona – Emisariuszom udało się wytyczyć obszar tabu w głowach okolicznej ludności.

– Moim zdaniem ci ludzie całkiem nieźle sprawdzą się w roli pierwszych podejrzanych – kontynuował Niémans. – A przy okazji dowiedz się, czy w regionie są jacyś grabieżcy kościołów albo złodzieje rzeźb...

– Hm... Dobrze.

Pożegnał się ze wszystkimi i odjechał. Był przekonany, że Desnos potrafi zorganizować nalot i że poradzi sobie z Emisariuszami. On tymczasem zamierzał lepiej poznać historię kaplicy. Jeżeli naprawdę istniały te ukryte malowidła, to musiał pozostać po nich jakiś ślad w dawnych opisach.

W drodze powrotnej szybko podsumował to, co się dotąd wydarzyło. Powinien być zadowolony z postępów śledztwa. Nie był jednak. Gdyby założyć, że wszystko zaczęło się od wpadki złodzieja sztuki, że doszło do bójki, która przybrała fatalny obrót, to jak wyjaśnić ten tajemniczy rytuał z kamieniem?

W głębi ducha nie dziwił się, że wersja pospolitego przestępstwa jest słaba. Gdy droga wiodła go wprost do piekła, to nie na szybką partyjkę z diabłem, ale na Wielkiego Szlema.

Pod cienką warstwą oczywistości czyhała otchłań.

Jak zawsze.

To był koniec świata. A w każdym razie jego przedsmak.

Kiedy około szesnastej cruchoci wtargnęli do winnicy z bronią w rękę, Ivana nie mogła pojąć, co się dzieje. Do diabła, czy Niémans oszalał? Uzgodnili, że ona przeniknie do Wspólnoty i rozegrają to na spokojnie, zyskując zaufanie i dyskretnie zbierając informacje. A on wysłał tu kawalerię, depcząc najważniejszą dla Emisariuszy zasadę i wdzierając się z naładowaną bronią na terytorium, gdzie przemoc nie miała prawa bytu.

Jak na ironię to świętokradztwo dokonywało się w blasku zachodzącego słońca. Malinowe niebo ze złocistymi smugami, czarne i białe sylwetki po stronie Czystych. Na wprost batalion żandarmów granatowych jak muchy robacznicze, przemierzających winnicę w celu – jakże oryginalnym – sprawdzenia dokumentów robotników sezonowych.

Akcją dowodziła ładna dziewczyna, może trochę przy tuszy. Nosiła bluzę i czapkę z emblematem żandarmerii: granatem, z którego wybucha osiem płomieni. Z taką figurą na pewno podobała się Niémansowi. Ale dlaczego go tu nie było? Skoro uparł się robić głupstwa, dlaczego nie chciał brać ich na siebie?

Żandarmi zgarnęli już sporą część tancerzy flamenco. Nie używali kajdanków, ale tylko dlatego, że Romowie bez słowa wypełniali ich polecenia.

Widząc, jak w promieniach zachodzącego słońca błyszczą „trąbki” (żandarmi nazywali tak swoją broń szturmową), zerknęła w prawo, gdzie pracowali Emisariusze. Wszyscy zniknęli.

Wyszła ze swojego rzędu i ruszyła w kierunku żandarmów, żeby zobaczyć, co się dzieje. Anabaptyści klęczeli, niewidoczni za roślinami. Ze spuszczonej głowami, przymknąwszy powieki, modlili się. Modlili się, żeby Bóg ochronił ich przed brutalnością „światowych” – a przy okazji przed ich głupotą.

Zatrzymywano właśnie czwartego Roma. Ivana znała Niémansa. Robienie zamieszania tylko po to, żeby pokazać, że działa, nie było zupełnie w jego stylu. Na pewno nie. Musiał trafić na trop, który wskazywał na pracownika sezonowego romskiego pochodzenia.

– Co to za obłąd?

Ivana odwróciła głowę – Marcel, blady jak pergamin, w przekrzywionym kapeluszu, stał tuż za nią. Pochylił się, jakby chciał się schować między liśćmi.

Natychmiast się domyśliła:

– Byłeś notowany?

– Nie o to chodzi.

– A o co?

Zawahał się.

– Nie jestem Francuzem.

Spotkała setki takich jak on – po obu stronach: kiedy mieszkała na squacie i kiedy była policjantką. Ludzie z marginesu, bez dokumentów, bez planów, w niepewności jutra spędzający każdy dzień.

– A skąd jesteś? – spytała, unikając (naturalnego dla siebie) tonu policjantki, która prowadzi przesłuchanie.

– Pochodzę z Czarnogóry.

– Ja jestem Chorwatką.

Powiedziała to bez zastanowienia i dopiero potem zadała sobie pytanie, czy te dwie nacje nie skakały sobie do oczu w latach dziewięćdziesiątych.

Marcel się rozpromienił.

– I też nie masz papierów?

Nie odpowiedziała, obserwując żandarmów, którzy wpychali Romów do ciężarówki.

– Jesteś tu nielegalnie?

Ivana się uśmiechnęła.

– Papiery zawsze miałam w porządku.

– Jesteś Chorwatką czy Francuzką?

– Powiedziałam ci, że jestem dziennikarką.

– Ale... Chorwatką?

Anabaptyści wkroczyli na scenę. Próbowali negocjować z żandarmami. Mówili spokojnie, ale ich spojrzenia zdradzały, że na widok broni wpadli w panikę. Ich ziemia została sprofanowana.

– Uspokój się – szepnęła po chwili. – Nie ma cię na ich liście.

– Na jakiej liście?

– Podejrzanych.

– Podejrzanych o co?

– O zabicie Samuela.

– To... To było morderstwo?

Ivana w końcu na niego spojrzała. Chociaż Marcel nadal był blady i roztrzęsiony, na jego twarzy widać było pewną ulgę.

– Popatrz – powiedziała, biorąc go za ramię i odwracając w stronę żandarmów. – Już mają, kogo chcieli. Teraz wracają do siebie.

– Ale co to wszystko znaczy?

– To znaczy, że zrobi się potworny burdel. A winogrona będą musiały poczekać.

Wszyscy wrócili do pracy. Nikt jednak się do niej nie przykładał, ludzie nie mieli do tego głowy i nawet po Emisariuszach widać było, że myślami są daleko od winnicy. Czy wrócić do Diecezji, żeby się modlić? Utworzyć sztab kryzysowy w jednej z szop? Czekać na polecenia? Ale czyje?

Ivana zbierała winogrona w swoim kącie. Czuła się podwójnie winna. Po pierwsze – jako członek gangu agresorów. Nawet przebrana za dewotkę wciąż była gliną, gotową bez wahania obrażać i zastraszać spokojnych chrześcijan.

Jej drugim grzechem było to, że tu przeniknęła. Nie dość, że policjantka, to jeszcze zdrajczyni. Cholerny szpicel, którego misja opiera się na obłudzie i kłamstwie.

Wkładając do kosza kiście winogron, szeptem obrzucała się obelgami.

Po chwili dostrzegła jakieś poruszenie. Ludzie wychodzili na skraj winnicy, szli dalej, w kierunku podjeżdżających ciężarówek. Przerywano pracę. Zresztą i tak zapadł już zmrok, więc lepiej było zwinąć manatki, zanim skona się z rozpaczy i zimna.

– Jak się masz?

Podeszła do niej Rachel. Ivana błyskawicznie wcieliła się w rolę trochę niezdarnej robotnicy sezonowej.

– Co tu się dzisiaj działo? – spytała z niedowierzaniem.

– Chodź ze mną.

Rachel poprowadziła ją za rękę. Szły między rzędami winorośli pod prąd, oddalając się od ciężarówek. Okrążyły parcelę, by ruszyć główną drogą, która biegła do obozowiska pracowników sezonowych. Po niespełna czterystu metrach skręciły w prawo, na ścieżkę szeleszczącą pod ich nogami jak mięty papier. Po obu stronach pejzaż niknął w gęstym mroku, niczym statek na ciemnym morzu.

– Nie musisz martwić się tym, co się dziś zdarzyło – powiedziała melodyjnym głosem Rachel.

– Jesteś pewna?

Weszły do zagajnika. Ivana dopiero teraz zdała sobie sprawę, że drży równie mocno jak liście na drzewach. Wczuła się w swoją rolę, przeobraziła się w pracującą dorywczo dziewczynę.

– Przywykliśmy do prześladowań.

Rachel nieco przesadziła – to przecież był zwykły policyjny nalot, nic poza tym.

– Taka jest cała nasza historia – ciągnęła Rachel. – W siedemnastym wieku palili nas, wcześniej wpychając każdemu do ust proch, żeby rozsadził mu twarz. Potem zaczęły się prześladowania administracyjne, ekonomiczne, religijne. Dla „światowych” jesteśmy łatwymi ofiarami. Nie muszą bać się naszej riposty, my się po prostu poddajemy...

Po chwili drzewa się przerzedziły i kobiety znalazły się na polanie, która tworzyła delikatne zagłębienie, przypominające niewielki staw. W dole wznosił się budynek gospodarczy – szopa, a może stodoła, przytulona do stoku.

Zbiegły ścieżką. Rachel wciąż trzymała za rękę pozostającą w tyle Ivanę. Policjantka miała przed oczyma jej kark, czepek, ramię. Wyczuwała lekki oddech, zapach ściętej lucerny.

Podeszły do budynku. Trudno było określić, ile ma lat, ale czarne drewno miejscami wpadało w tony czerwieni, jakby te osmalone ogniem deski pokryła rdza.

– Co tam jest?

– Traktory i inne maszyny.

Przede wszystkim jednak były tam ptaki. Ich chmara wzbiła się na dach, zanim Ivana rozpoznała, jaki to gatunek. Skrzydła łopotały na tle granatowego nieba, widocznego przez drewniane dachówki.

– Usiądź – poleciła Rachel, wskazując jasną ławkę.

Powiedziała to tonem niecierplivej dziewczynki, która pragnie powierzyć tajemnicę najlepszej przyjaciółce. Ivana usłuchała. Czuła się zagubiona. Potrzebowała kilku sekund, żeby oswoić oczy z ciemnością i zobaczyć maszyny rolnicze w kącie. Wydawało jej się nawet, że stoi tam fisharmonia.

Poza tym jednak miejsce było puste. W powietrzu unosiła się woń odchodów, zastygła w chłodnym powietrzu. Klepisko wyglądało jak

zrobione z utwardzonego popiołu.

Rozejrzała się, szukając Rachel. Ta napełniała cynową misę wodą, stojąc przy ręcznej pompie. Kiedy krzątała się po tej starej szopie, wyglądała jak żywy przykład wiary i obowiązku, flawless, jak mawiają szlifierze diamentów. Ivana w fatałaszki, które jej dano, prezentowała się jak przebieraniec, Rachel nosiła je niczym drugą skórę.

– Zdejmij buty – poleciła, wracając z miską.

– Słucham?

– Zdejmij buty.

Ivana domyśliła się, co planuje Rachel, i zeszywniała. Nie drażnił jej ani sam rytuał, ani jego znaczenie. Krępowało ją, że była po całym dniu pracy w tych buciorach. Ale przecież nie mogła przekonać Rachel takim prozaicznym argumentem.

Anabaptystka zresztą już rozwiązywała jej sznurowadła. Trzymając się rękami ławki, Ivana odchyliła się, jak na stromym zboczu. Rachel ściągnęła jej buciory, a potem skarpetki, niewzruszona smrodem skóry ani przeпоconych wełnianych skarpetek.

Ivana nie zdążyła pisnąć słowa, kiedy Rachel zanurzyła jej prawą stopę w wodzie. Gdy minęło pierwsze wrażenie przejmującego zimna, policjantka poczuła, jak palce anabaptystki delikatnie masują jej stopę.

Dalsze odczucia były niejasne. Ivana miała wrażenie, że jej stopy falują, że stają się płynne i przejrzyste. Potem to samo zaczęło się dziać z nogami, wreszcie całe ciało przeistoczyło się w płynną i ruchliwą falę, w nurt, w szept, któremu obce są prawa grawitacji.

Z jej ust wymknęło się westchnienie – coś zmysłowego, co wydobyło się z gardła wbrew woli – potem spuściła oczy i zobaczyła jasną szyję pochylonej nad miską Rachel i jej przedramiona, bo dziewczyna podwinęła rękawy. Na lewym dostrzegła niezwykle znamię w kształcie wijącej się jaszczurki.

Wstrzymała oddech, trwała tak, ile się dało, i czuła, jak odlatuje – jak wtedy, kiedy ćpała. Wstydziała się takich wspomnień, nie mogła jednak przed sobą ukrywać, że to dokładnie taki stan. Taki jak – można powiedzieć – być na haju. Jej Królewska Wysokość Heroina.

Zamknęła oczy, żeby skupić się na znaczeniu tego rytuału. Nie potrafiła. Pamiętała jak przez mgłę lekcje katechezy i Jezusa, który przed ostatnią wieczerzą obmywał stopy uczniom, ale nic poza tym.

– „Największy z was niech będzie waszym sługą. Kto się wywyższa, będzie ponizony, a kto się poniża, będzie wywyższony...”^[7] – szepnęła Rachel. – To z Ewangelii Świętego Mateusza.

– Wiem – skłamała Ivana. – Ale czemu ponizas się przede mną?

Rachel splukiwała jej nogi wodą, którą czerpała rękami, i masowała opuszkami palca wskazującego i dużego drobne kości stóp, a kciuki wsuwała pomiędzy ścięgna.

– Bo jesteś moją przyjaciółką. Poza tym muszę złagodzić to napięcie, które cię ogarnęło, zaleczyć ranę, którą rozjątrzyli żandarmi.

Ivana znów stała się czujna; była przekonana, że Rachel czyni aluzję do jej podwójnej gry.

– Na pewno nie masz mi nic do powiedzenia? – spytała po chwili milczenia Emisariuszka.

Zatem o to chodziło! Rachel chciała pociągnąć ją za język, a cały ten cyrk był podstępem. Wszystko po to, by skłonić ją do mówienia.

Ivana zagryzła dolną wargę, żeby nie pisnąć ani słowa. Inaczej wyrzuciłaby z siebie lawinę obelg. A tamta nadal masowała jej stopy w nadziei, że ostatecznie przełamie opór.

Przez moment Ivana myślała, że zaraz wszystko z siebie wyrzuci – powie, że jest policjantką, że prowadzi śledztwo i wdarła się tu podstępem – i nawet nie wspomni o tym, że udawała dziennikarkę.

– Kiedy miałam trzynaście lat, urodziłam syna – szepnęła.

Rachel delikatnie wyjęła jej lewą stopę z miski. Owinęła ją połami fartucha i dokładnie osuszyła.

– Ja miałam pierwsze dziecko jako czternastolatka – odparła.

– Nie zajmowałam się synem. Porzuciłam go. Chował się w domach dziecka i w rodzinach zastępczych.

– A czy wtedy czułaś się zdolna, by się nim zaopiekować?

– Nie.

– W takim razie nie masz sobie nic do zarzucenia.

– Łatwo powiedzieć. Ty masz swoją wspólnotę. Matkę, siostry, kuzynki, które mogą ci pomóc w opiece nad dziećmi.

– Dokładnie to ci powiedziałam: nie powinnaś mieć wyrzutów sumienia.

Im większe zrozumienie okazywała anabaptystka, tym większy gniew ogarniał Ivanę. Miała ochotę wstać i chlusnąć jej w twarz wodą z tej miski w zamian za współczucie.

– W Pierwszym Liście Świętego Jana – podjęła Rachel – jest napisane: „Jeśli ktoś miłuje świat, nie ma w nim miłości Ojca”^[8]. Musisz najpierw wyzbyć się uczuć i przyjąć do serca Pana. Potem wszystko stanie się już łatwe. W świecie „światowych” zanadto kochacie samych siebie, zanadto...

Ivana wyrwała jej z rąk skarpetki i pochyliła się, żeby wciągnąć je jednym ruchem.

Rachel udała, że nie dostrzega jej zniecierpliwienia.

– Nie pozwalamy sobie osądzać. Pismo Święte...

– Zaczynasz mnie irytować tym twoim Bogiem i kazaniem! – warknęła Ivana, kończąc wiązanie sznurowadeł.

Poderwała się i ruszyła w stronę wrót, ale skaleczona ręka tak piekielnie ją bolała, że trudno jej było je otworzyć.

Kiedy wreszcie udało jej się wysliznąć na zewnątrz, lodowaty wiatr zadziałał jak defibrylator.

Biegła w ciemnościach. Musiała znaleźć dąb, u którego stóp zakopała telefon komórkowy. Musiała zadzwonić do Niémansa. Musiała, do jasnej cholery, znowu być policjantką, a nie jęczącym wrakiem człowieka, który pozwala łaskotać się po nogach.

Aco to ma być?

Z przeszklonej celi garstka Romów spoglądała na niego ze strachem i wrogością zarazem.

– Sezonowi, którzy byli notowani – wyjaśniła krótko Desnos.

Kurwa: jedynymi robotnikami zatrudnionymi do winobrania i mającymi na pieńku z policją albo żandarmerią okazali się Romowie. Teraz zwali się na niego lawina oskarżeń o rasizm lub dyskryminację. A tego naprawdę nie potrzebował.

Desnos, jakby w głębi duszy rozkoszowała się tą sytuacją, rzuciła słodko:

– Nawiasem mówiąc, prokurator kilka razy dzwonił na posterunek, żeby z panem pomówić. Twierdzi, że nie odbiera pan komórki.

Niémans udał, że nie słyszy. Przyglądał się zatrzymanym. Ich oczy błyszczały w półmroku, przypominając mu coś, w co wierzył dawno temu: Romowie cierpią na nyktalopię.

– Przesłuchałaś ich?

– Myślałam, że chce pan to zrobić osobiście.

Teraz już jawnie z niego szydziła.

Nawet jeśli ta sprawa sprowadzałaby się do rabunku w kaplicy, ci ludzie nie odpowiadali profilowi sprawcy. Trudno było sobie wyobrazić, że wspinają się na rusztowanie, by oddzielić fragment malowidła. Jaki fragment? Kto wiedział, co się kryje pod freskami?

Desnos podsunęła mu listę „podejrzanych”. Carlo Ursan urodzony w 1993, skazany za stręczycielstwo, obecnie na zwolnieniu warunkowym. Tony Gherebenec urodzony w 1998, skazany za wandalizm i stosowanie przemocy, wyszedł na wolność w 2017. Cristian Teodosiu, wyrok w zawieszeniu za drobne oszustwo i kradzież w sklepie. Nicolae Langa, skazany za napad rabunkowy, odsiedział dwa lata w więzieniu w Ensisheim. Zouhir Ifrim skazany za fałszerstwo, kradzież z włamaniem, obecnie na zwolnieniu warunkowym.

– Każ swoim ludziom ich przesłuchać – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Sprawdźcie ich alibi.

Nie wierzył w to, jednak fluorescencyjne plamy bluestaru migwały mu przed oczyma. Miał wrażenie, że ich blask odbija się w lśniących źrenicach tych zbirów. W kaplicy doszło do bójki. Ktoś zadał fatalny cios. Nie można było wykluczyć, że ci drobni przestępcy maczali w tym palce.

– Sprawdź też, czy kamień w ustach ma jakiś związek z cygańskimi rytuałami.

– Co takiego?

Spojrzał na nią z ukosa.

– To takie dziwne?

– Rozkaz, panie komendancie.

Niémans poczuł wibracje telefonu i szybko zerknął na ekran. Schnitzler. Tym razem musiał odebrać.

– Halo?

Przeszedł korytarzem do holu żandarmerii.

– Pierre? – rozległ się głos w telefonie. – Co to za rozpierducha?

Zanim Niémans zdążył odpowiedzieć, tamten dodał:

– Dostaję skargę za skargą!

– Od kogo?

– Nie udawaj idioty. Prosiłem, żebyś działał subtelnie.

– Philippe, to morderstwo. Ponad wszelką wątpliwość. To wszystko zmienia.

Pchnął ramieniem drzwi do budynku i znalazł się na zewnątrz. Ciemność zalała parking jak lepka smoła.

– Masz na to dowody? – spytał Schnitzler po chwili milczenia.

– Mocne podejrzenia.

– Gdybyś pisał raporty, zyskalibyśmy na czasie.

– Tym zajmuje się moja zastępczyni.

– Jaka zastępczyni? Wydawało mi się, że jesteś tu sam!

– Mówię o Desnos z żandarmerii. Cruchoty przysłały mi swoją panią kapitan.

Prokurator powiedział już spokojniej:

– Racja, zapomniałem. Dobra. Twoim zdaniem co tam się stało?

Niémans przedstawił mu krótko swoje hipotezy. Kradzież dzieła sztuki. Bójka. Nieumyślne zabójstwo. Nie wspomniał o kamieniu – Schnitzler potrzebował prostych wersji.

– A sklepienie?

– Albo nie wytrzymało, albo złodziej umyślnie doprowadził do katastrofy, żeby upozorować wypadek i w ten sposób ukryć zbrodnię.

– To faktycznie wdepnęliśmy w gówno.

Schnitzler wyraźnie się zdenerwował. Najbardziej cenił sobie spokój.

– Masz podejrzanych?

– Poszukujemy grabieżców kościołów. Poza tym wziąłem pod lupę robotników sezonowych. Są na miejscu i...

– Ten nalot i obława na Romów... – przerwał mu Schnitzler. – Co to ma znaczyć?

– Po co od razu takie wielkie słowa?

– Masz coś przeciwko nim?

– Mają na koncie wyroki.

– To wszystko?

Niémansowi stanęła przed oczyma cela pełna złodziejasków. Łamał sobie głowę, szukając poważnego argumentu. Miał wrażenie, że jego mózg paruje i że ta para osiada na szybie celi.

– Emisariusze już do mnie dzwonili – podjął Schnitzler.

– O, to oni posługują się telefonami?

– Tylko jeden z nich, niestety, nie najłatwiejszy w kontakcie.

– Kto?

– Jakob. Jest wstrząśnięty. Nie rozumie, jak śmieliście wtargnąć do ich Posiadłości z bronią palną. Wiesz, co to dla nich oznacza?

– To sprawa kryminalna, a nie wędkowanie.

Schnitzler głośno westchnął.

– Wyobrażasz sobie, co powie prasa?

– Na razie nikt o niczym nie wie.

– Stary, zapomniałeś już, jak się żyje na prowincji. Rodziny twoich podejrzanych na pewno już się skontaktowały ze stowarzyszeniami, które je wspierają, a żandarmi też mają bliskich w lokalnych redakcjach. Jutro rano w całym regionie będzie głośno o twojej akcji!

Niémans zaczął drętwieć. Nie czuł już palców u nóg, zimno poraziło mu twarz. Ta rozmowa była całkowicie pozbawiona sensu.

– Jest jeszcze jeden problem – podjął Schnitzler, zniżając głos.

– Zamieniam się w słuch.

– Winobranie.

– A co z nim?

– Nie znam się na tym, ale wiem, że zbiory przebiegają w ściśle ustalonych terminach. Wszystko musi się odbyć w ciągu ustalonej liczby dni i w odpowiednich warunkach pogodowych.

– Co z tego?

– To, że jeśli przez ciebie zaprzepaszczą zbiory, będziemy o tym słuchać przez kolejnych dziesięć lat.

– Philippe, ściągnąłeś mnie tu, żeby rozwikłać tę cholerną sprawę. Za późno, żeby się cofać.

– Wiem, wiem, ale ciebie też znam. Rozegraj to na spokojnie, do diabła! Dyskretnie! Bądź elastyczny!

Niémans miał już dość bycia pouczanym przez faceta, który przez całe życie nie dźwignął tyłka z urzędniczego krzesła. Zamierzał mu odpowiedzieć, gdy usłyszał hałas dobiegający z tyłu.

– Będziemy w kontakcie – zakończył, odwracając się.

Przed nim stał Jakob – jak żywcem wyjęty z bajki dla dzieci. W rękach trzymał słomiany kapelusz.

Od jak dawna tkwił za jego plecami?

Niémans usiadł z Emisariuszem w sali odpraw na posterunku – trzydziestometrowym pomieszczeniu wyłożonym linoleum, z sinymi plafonierami, stolikami jak w klasie ustawionymi w literę U... Życzliwa neutralność – styl francuskiej administracji.

Przysiadłszy na skraju krzesła, z kapeluszem na kolanach, Jakob wyglądał na skromnego i grzecznego. Policjant spodziewał się ostrej pyskówki, tamten jednak rozgrywał to na spokojnie.

– Nie jesteśmy zadowoleni – powiedział łagodnym głosem.

Niémans skinął głową, czekając na ciąg dalszy. Nie usłyszał nic nowego: skandaliczne zatrzymanie wyłącznie osób pochodzenia romskiego, świętokradcze wtargnięcie do Posiadłości z bronią palną, groźba opóźnienia winobrania...

Dokładnie to samo, co powiedział mu Schnitzler, ale tym razem niemal wyszeptane. Niémans wołał już wrzaski prokuratora.

– Bardzo mi przykro. Powinniśmy zachować większą dyskrecję – przyznał.

Jakob pokiwał głową, zadowolony, że słyszy te słowa.

Ale Niémans jeszcze nie skończył.

– Muszę panu jednak przypomnieć – ciągnął – że nie możecie pozostawać poza władzą jurysdykcji karnej kraju. Wasza Posiadłość, nawet jeśli panuje tam inny duch i inne zasady, leży na terytorium Francji. Nie przysługuje wam immunitet dyplomatyczny ani żaden wyjątkowy status.

Mówił dobitnie, rozdzielając sylaby, posługując się językiem kodeksu cywilnego.

– Proszę o konkrety – obruszył się anabaptysta. – Co zarzuca się tym robotnikom?

Jego policzki stały się już niemal purpurowe.

Niémans pokiwał głową, jakby ubolewał nad tym, co musi przekazać rozmówcy:

– Nie mogę panu nic powiedzieć, jestem jednak zmuszony pana ostrzec: Samuel został zamordowany.

– Co?

Dobrze zagrał zdumionego. Policjant był pewien, że śledził przebieg dochodzenia na bieżąco. Nie potrafiłby dokładnie powiedzieć, jaką drogą, ale Emisariusze mieli możliwości obserwowania świata zewnętrznego...

– Skąd pan wziął ten pomysł?

– Powtarzam – powiedział Niémans – że nie mogę zdradzać tajemnic śledztwa. Rozumie pan jednak, że w tej sytuacji musimy sprawdzić każdy możliwy trop.

– Czy któryś z tych ludzi mógłby dopuścić się takiej zbrodni?

Niémans nie miał ochoty zwierzać się Emisariuszowi, ale chciał go udobruchać, więc postanowił wyjawić mu kilka informacji.

– Przypuszczamy, że to była kradzież – zaczął. – Kradzież, która nie przebiegła zgodnie z planem.

– Kradzież? – powtórzył z niedowierzaniem Jakob. – Ale czego?

– Fragmentu sklepienia.

– Przecież ono nie ma żadnej wartości!

– Nie byłbym taki pewien. Czy wiedział pan, że pod widocznym freskiem kryją się inne malowidła?

Pozwolił sobie na blef, ale w rozmowie z takim obłudnikiem jak Jakob była to adekwatna metoda.

– Kto panu to powiedział? Owszem, krążyły takie pogłoski, ale nigdy nie pojawiły się żadne dowody.

– Dlaczego zabronił pan Maxowi Lehmannowi prześwietlić sklepienie?

– Ależ nikt mu niczego nie zabraniał! Po prostu nie było tego w kosztorysie, i tyle.

– Nie chcielibyście się dowiedzieć, co jest pod spodem?

– Nic tam nie ma. To absurd.

Niémans pochylił się nad stołem, podpierając się łokciami.

– W takim razie dlaczego ukryliście szczątki zawałonego sklepienia?

– Niczego nie ukryliśmy!

– To gdzie one są?

– W Diecezji. Zeszkładowaliśmy je tam na czas prac budowlanych.
– Będę mógł je zobaczyć?
– Oczywiście. To żaden problem.
– Odnaleźliście wszystkie elementy?
– Owszem... Tak.
– I żadnego nie brakuje? Niczego nie ukradziono?
– Komisarzu...
– Komendancie.
– Komendancie, nie rozumiem nic z tego, co pan opowiada, i jeśli wolno mi tak powiedzieć, to śledztwo wydaje mi się dość niespójne. To, co przyjął pan za punkt wyjścia, jest bezpodstawne, ponieważ w Posiadłości nie mogło dojść do aktu przemocy.
– Saint-Ambroise nie znajduje się na waszym terenie.
– Ale kaplica należy do nas. Poza tym nie o tym mówię. Żaden członek naszej wspólnoty nie mógł paść ofiarą agresji.
– Dlaczego?
– Nie utrzymujemy żadnych kontaktów ze światem zewnętrznym. Nie mamy pieniędzy ani żadnych interesów w rozumieniu... W rozumieniu was wszystkich. A poza tym co sprawiło, że twierdzi pan, iż Samuel nie zginął w katastrofie budowlanej?
Policjant patrzył, jak anabaptysta miota się na krześle. Niski, w czarnym garniturze, spodniach na szelkach i z kapeluszem na kolanach, wyglądał jak figurka z szopki. Nie pasował do tego miejsca tak samo jak mnich z tonsurą, w habicie i pelerynie do klubu techno.
Drobny wstrząs dobrze by mu zrobił. Niémans w kilku słowach opowiedział mu o kamieniu w ustach. Jakob jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy. O tym najwyraźniej nie wiedział.
– Z niczym się to panu nie kojarzy?
– Nie...
– Może z jakimś rytuałem pańskiej religii?
– Oczywiście, że nie. Myli pan religię z zabobonami.
Ostatnie słowo wypowiedział z nieskrywaną odrazą. Był wręcz oburzony. Niémans nie dostrzegał jednak różnicy między łamaniem się chlebem czy namaszczaniem czoła wiernego a umieszczaniem kamienia na języku nieboszczyka. Ktoś powiedział – nie pamiętał już

kto: „Jeżeli jesteś w teatrze, a wszyscy w niego wierzą, to znaczy, że jesteś w kościele”.

Zaraz potem Jakob podjął nowy wątek i zaczął rozprawiać o życiu Emisariuszy, które toczy się zgodnie z nakazami Biblii i zasadami ustalonymi przez pierwszych anabaptystów. Znow zaczęła się ta drętwa – ba, drewniana – mowa, tyle że tym razem było to drewno krucyfiksów i żłobów.

Stary glina osiągnął swój cel. Z kłamstwem, blefem, mitomanią stykał się setki razy. Wiedział – czuł – że Jakob kłamie, nie potrafił tylko odgadnąć, jakimi kieruje się pobudkami.

– Kiedy zamierza pan zwolnić naszych robotników? – spytał nabożny człowiek, zmierzając ku końcowi rozmowy.

– To zależy od rozwoju śledztwa.

– Wyraźnie powiedziałem panu prokuratorowi, że...

– Winobranie nie powinno na tym ucierpieć. Zrozumiałem to.

Jakob wstał. Znow się uśmiechał. Chyba był już gotów powrócić na swoje miejsce w bożonarodzeniowej szopce.

– Czas nagli – powiedział tonem wymówki.

Niémans odprowadził go do drzwi i patrzył, jak ten zabawny człowieczek odchodzi. Być może w Saint-Ambroise doszło do grabieży. Być może stawką w tej sprawie są ukryte malowidła... Ale Jakob nie miał z tym nic wspólnego.

Natomiast ta rytualna inscenizacja była przeznaczona dla niego oraz dla innych Emisariuszy.

W jego kieszeni zadzwonił telefon. Taka synchronizacja spodobałaby się Karłowi Gustawowi Jungowi.

Gliniarz zerknął na ekran – nie było nazwiska.

Ale natychmiast rozpoznał ten numer.

Co ma znaczyć ten nalot na Posiadłość?

– Nie miałem wyboru.

– Ale co to ma znaczyć? Co się dzieje?

Głos Ivany brzmiał naprawdę wrogo, ale Niémans za bardzo się cieszył, że nareszcie ją słyszy, żeby przywoływać ją teraz do porządku. Niemal widział, jak ukrywa się w jakimś zagajniku, trzymając przy uchu telefon na kartę. Ta wizja rozdzierała mu serce.

Opanował emocje, by przedstawić jej postępy śledztwa.

– I wpakowałeś na dołek facetów, którzy mają kartotekę? Nie wymyśliliście nic lepszego?

– Na razie skupiam się na okolicznych złoczyńcach. Logiczne, prawda?

– Spędzam całe dni z tymi robotnikami. Zapewniam cię, że nie ma wśród nich wielbicieli sztuki ani kogokolwiek, kto miałby minimum wiedzy o religii. Jeżeli doszło do morderstwa, to trzeba je łączyć z rytuałami i wierzeniami Emisariuszy.

Uśmiechnął się pod nosem – w pełni się z nią zgadzał. Ale fresk odgrywał w tym wszystkim ważną rolę – Niémans podskórnie to wyczuwał.

– Widziałam dziś po południu twoje alter ego – podjęła Ivana.

– Czyli?

– Tę laskę z żandarmerii, z dużymi balonami.

Uraziła go ta uwaga, choć nie potrafiły powiedzieć dlaczego.

– Lepiej mów, czego się dowiedziałaś.

Ivana przekazała mu w krótkich, lakonicznych zdaniach wrażenia z Posiadłości. Rozczarował się – niczego tam nie odkryła.

– To wszystko? – burknął.

– Zakumplowałam się z jedną dziewczyną. Ale potrzebuję więcej czasu.

– No i właśnie czasu nie masz.

– To tajemnicza społeczność. Siłowe rozwiązania są wykluczone. Już ten nalot był błędem. Ale to nie wszystko...

Po czym zaczęła opowiadać nieprawdopodobną historię o potajemnych mszach odprawianych nocą.

– Mówili coś o bestii. Das Biest.

– Coś więcej?

– Nie mam pojęcia, ale... czułam tę obecność. Obecność bestii...

Niémans pomyślał, że musi jak najszybciej zabrać stamtąd Ivanę, bo ulegała mrocznej stronie tej komedii.

– Mam dla ciebie zadanie – powiedział. – Czas zająć się poważnymi sprawami. Emisariusze zeskładowali gdzieś szczątki stropu. Facet imieniem Jakob zapewnił mnie, że możemy je obejrzeć, ale jestem prawie pewien, że tylko nas zwodzi.

– Co w związku z tym?

– Znajdź je. Są na terenie Posiadłości. Mam przeczucie, że kluczem do sprawy jest ta kupa gruzu.

– A kiedy je znajdę, co mam zrobić?

Znów ten drwiący ton, próba prowokacji. Rozmowa z Ivaną była niczym miód na jego serce, ale zarazem przyprawiała go o ból żołądka.

– Będziemy przynajmniej wiedzieli, gdzie są, i ewentualnie przeprowadzimy tam rewizję.

– Oby nie weszło ci to w krew.

– Ivano!

– Co?

– Uważaj na siebie. Chyba nie wiemy, w co wdepnęliśmy.

Cmoknęła, ale śmiech zamarł jej w gardle.

– I komu ty to mówisz!

Ejże, obudź się!

Marcel jak zwykle palił skręta, leżąc na ławce przy jednym ze stołów. Zasnął z petem w zębach. I nie przeszkodziły mu w tym nawet rozdzierające noc dźwięki flamenco. Dziś pobrzmiwały w nich tragiczne tony z powodu udręczonych braci.

Ivana chwyciła go za ramiona i nim potrząsnęła. Nie zareagował. Skręt żarzył się w jego zębach niczym czerwona lampka.

– Ocknij się!

Mówiła cicho, brutalnie szarpiąc go za rękę. Marcel cuchnął alkoholem. Zastanawiała się, gdzie go zwędził – paradoksalnie wino i wszelkie inne alkohole były zakazane w obozie robotników sezonowych.

– Marcel, do kurwy nędzy!

Facet w końcu uniósł powiekę.

– Chcesz macha? – zaproponował, podając jej jointa.

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Spadaj.

Ivana pogrzebała w kieszeni, potem wcisnęła Marcelowi do ręki sto euro. Przewidując takie sytuacje, wzięła ze sobą trochę gotówki, którą ukrywała w butach.

Szelest banknotów w dłoni rozbudził robotnika.

– Co planujesz? – spytał, podnosząc się.

Ivana usiadła przy nim i powiedziała, o co chodzi: jedna noc na odnalezienie gruzu z Saint-Ambroise i zrobienie zdjęć.

Marcel znów zaciągnął się skrętem. Siedział ze zwieszoną głową, milczał, może wcale nie słuchał. W końcu jednak spytał:

– Co cię obchodzą te ruiny?

– Nie twoja sprawa.

– Czy ty na pewno jesteś dziennikarką?

– Chcesz mi pomóc czy nie?

Już schował pieniądze do kieszeni, ale głowa znów opadła mu na tors.

– Est lko eden sposób, zby to załatwić – wybełkotał półprzytomny.
– Postaraj się mówić trochę wyraźniej.

– Powiem ci: jest tu taka szopa, może tam wpakowali ten gruz.

– Gdzie?

– Nazywają to Magazynem. To kilka drewnianych szop, gdzie przechowują mnóstwo rzeczy.

– Gdzie to jest?

– Jakiś kilometr stąd, ale idąc w głąb Posiadłości. W Diecezji.

– Co z tego?

– To, że lepiej nie dać się złapać.

– Idziemy.

Marcel znów się osunął. Ivana chwyciła go za kołnierz i posadziła.

– Dodatkowa setka, kiedy znajdziemy gruz.

Ćpun naciągnął czapkę z daszkiem na czoło. Chyba był łysy, bo wieczorem natychmiast zastępował słomkowy kapelusz bejsbolówką.

Wstał i ruszył, zataczając się na miękkich nogach. Ivanę przeszył dreszcz na myśl o wejściu do Posiadłości w takim towarzystwie.

Musieli czaić się za kępami krzewów, żeby Emisariusze ich nie zauważyli. Tak doszli do dziury w ogrodzeniu i znaleźli się na głównej drodze.

– Możemy tędy chodzić?

– To nie gułag. W najgorszym razie każą się nam wynosić. Jakoś to przeżyjemy. Winobranie i tak już się kończy.

Ivana nic nie powiedziała. Była wykończona. Lasek, w którym ukryła telefon na kartę, był prawie kilometr od miejsca noclegu, a ona najpierw tam pobiegła, potem wróciła, także biegiem, dwa razy przemierzając jakieś pastwisko, po którym hulały wiatr i stada kruków. Teraz miała komórkę przy sobie, bo po nocnej wycieczce chciała jeszcze zadzwonić do Niémansa, ale to oznaczało, że przed świtem musi znowu urządzić sobie biegi przełajowe. Noszenie telefonu w kieszeni przez cały dzień pracy w winnicy nie wchodziło w grę.

Noc była jasna jak lodowiec, a gwiazdy przeszywały niebo jak kule z broni automatycznej. Było w tym też coś bajkowego, co

przypominało jej dekoracje w Grand Rex, które tak ją fascynowały jako małą dziewczynkę, czy z żywych szopek, w których zawsze występowała, ze względu na mlecznobiałą cerę grając Matkę Boską.

Marcel szedł chwiejnym krokiem, a Ivana obawiała się, że znowu zasnął. Somnambulik jako partner – ekstra. Miała już dość. Zmęczenie powinno ją rozleniwzić, jednak stało się inaczej – była spięta, gotowa wziąć nogi za pas, jeśli usłyszy najcichszy dźwięk.

Raz po raz oglądała się za siebie, wypatrując blasku lampy i nasłuchując. Pocieszało ją tylko, że w razie zagrożenia mogą rzucić się w zarośla. Już prawie przywykła do tego, że pokrzywy i kolce kaleczą jej tyłek.

– Daleko jeszcze?

– Nie, jesteśmy już w Diecezji.

Nie zauważyła żadnej zmiany pejzażu, żadnego ogrodzenia. To terytorium na terenie Posesji miało charakter symboliczny. Wiedziała, że gdzieś tu gospodarstwa Emisariuszy wtulają się w zimny świat. Lecz droga była zupełnie pusta.

Ta wymuszona przechadzka stopniowo ją odprężyła i pomogła rozjaśnić myśli. Ale Ivana nie skupiała się ani na skąpych nowinach od Niémansa, ani na własnych, raczej mętnych hipotezach.

Nie. Myślała o cudownej terapii Rachel. Zwykle umycie nóg i oto uwznioślała się, znajdowała się w stanie łaski, niemal połączona z aniołami.

– Dochodzimy wreszcie? – spytała, walcząc z roztargnieniem, któremu sprzyjał ten spokojny spacer.

– Prawie. To tam – szepnął rozbudzony Marcel.

Magazyn przypominał osadę, czy raczej skupisko szop wybudowanych w stylu Emisariuszy, z drewna. Krążyły legendy o tym, że anabaptyści potrafią wznieść taką w ciągu jednego dnia. Ivana i Marcel ruszyli w stronę wrót największej z nich. Nie natknęli się na żadnego dozorcę.

Mężczyzna po cichu otworzył skrzydło wrót, oglądając się za siebie. Wkroczenie na teren Diecezji rozbudziło go.

To, co zobaczyli, przypominało wnętrze szopy, do której Rachel zaprowadziła Ivanę. Księżyc znalazł sobie drogę do środka przez małe okienka i polukrował blaskiem klepisko. Rozrzucone siano migotało w jego promieniach jak mika. Nad głowami intruzów krzyżowały się belki podtrzymujące strop, który tonął w ciemności. Pod ścianami ciągnęły się boksy, ale koni nie było. Został po nich tylko zapaszek łajna.

– Tam.

Marcel wskazał palcem w lewo: na dywanie z siana ułożono kamienie jak elementy puzzli. Miał rację – fragmenty sklepienia zostały troskliwie przeniesione. Każdy z nich opatrzono numerem, żeby bez problemu przywrócić je na miejsce.

Ivana powiodła wzrokiem po szopie. Ani żywego ducha. Wyjęła latarkę, którą ze sobą przyniosła. Oświetliła nią fragment fresku.

– Oszalałaś? Wyłącz to!

– Poświeć mi – rzuciła, wciskając Marcelowi latarkę do ręki.

Sięgnęła po telefon i skierowała obiektyw na freski.

– Masz tu telefon?!

– Zamknij się.

Zrobiła wiele zdjęć, nie bardzo wiedząc po co. Starła się odnaleźć motywy, które widziała na fotografiach wykonanych przed katastrofą budowlaną i załączonych do akt. Matka Boska w pozycji pólężącej, o naiwnych, nieporadnie nakreślonych rysach. Na lewo od niej dwóch brodaczy – na pewno jakieś postaci biblijne, ale Ivana zbyt

mało o tym wiedziała, żeby je rozpoznać – kąpiących niemowlę o posturze jarmarcznego Herkulesa. W kątach po lewej i prawej latały anioły i lewitowali święci, których też nie rozpoznawała.

– Musimy już iść – niecierpliwił się Marcel.

– Prawie skończyłam.

Pstrykała zdjęcia, powtarzając sobie w duchu, że Niémans miał rację. Emisariusze nie tylko zabezpieczyli szczątki, ale też natychmiast zrekonstruowali fresk, jakby to nieporadne dzieło miało tajemną moc albo jakby było natchnione przez boską siłę.

Natomiast hipoteza rabunku padła, ponieważ fresk był kompletny. Sklepienie kaplicy zawało się, a Emisariusze wszystko zebrali.

– Pospiesz się, do cholery!

Nie odrywając oczu od wrót, Marcel zdawał się oczekiwać, że lada moment stanie w nich legion anabaptystów uzbrojonych w widły i motyki.

Schowała komórkę i latarkę do kieszeni. W szopie znów zapanowały ciemności. Cofali się już do wrót, kiedy jedno skrzydło się otworzyło. Marcel chwycił Iwanę za rękę i wciągnął ją do boks.

Kroki, słowa, czarne cienie. Ivana odruchowo sięgnęła do pasa. Jej palce zacisnęły się, ale chwyciły tylko powietrze. Przyszedł czas, by wcielić się w rolę kreta. Bezbronny wobec wroga.

Skulona za ścianką boks wysunęła się, żeby cokolwiek widzieć. Marcel ukrył się w kącie, gotów zagrzebać się w ściółce.

To, co zobaczyła, utwierdziło ją w przekonaniu, które miała nie od dziś: gdziekolwiek na Ziemi się znajdziesz, będzie tam i przemoc, zawsze czujna, gotowa do ataku.

Przez szopę szli trzej Emisariusze z bronią maszynową i pistoletami, które wcale nie pasowały do ich pokojowego świata. Ivana nie była ekspertką w tym zakresie, ale bez problemu rozpoznała pistolety maszynowe UMP9 i Glocki 17 z celownikami laserowymi.

Jakże daleko odpłynęły Ordnung i Gelassenheit. Chyba że właśnie porządek i posłuch opierały się na tym uzbrojeniu. Trzej mężczyźni po cichu, jakby się skradając, trzymali się blisko ściany. Czy coś usłyszeli? Ivana sądziła raczej, że to rutynowy obchód terenu.

Brodaci, w słomkowych kapeluszach i czarnych garniturach, kojarzyli jej się z izraelskimi osadnikami, nabożnymi ludźmi z długimi pejsami, którzy na pustyni doskonale radzą sobie z pistoletami maszynowymi uzi i karabinami szturmowymi AK-47.

– Ivano! – szepnął Marcel. – Chodź!

Policjantka się odwróciła. Marcel wskazał jej klapę w drzwiach podobną do tych montowanych dla psów i kotów, ale ogromną, w sam raz, by mogło się przez nią przecisnąć dwoje intruzów.

Ivana zerknęła jeszcze na stojącego najbliżej mężczyznę – czerwone światełko jego glocka rozcinało mrok. To było zdumiewające, a zarazem dziwnie uspokajające – nareszcie znalazła się na znajomym terenie. Koniec z patetycznymi pacyfistami. Witamy w zbrodniczej sekcje uzbrojonej jak Gałąź Dawidowa z Waco^[9].

– Rusz się!

Marcel trzymał klapę w górze. Ivana w końcu go posłuchała – podpełzła na kolanach i wcisnęła się w okienko, czując przez spodnie wilgotną ściółkę, a może coś bardziej obrzydliwego – odchody. Ale nie mogła teraz zgrywać księżniczki.

Przecisnęła się na zewnątrz, czując na karku oddech Marcela. Właśnie wstawała, kiedy kłapa opadła z trzaskiem.

Emisariusze nie mogli nie usłyszeć tego hałasu.

Ivana i Marcel zareagowali jak na komendę: nie mieli czasu na rozmowy – oboje pognali prosto przed siebie. W ciemnościach nie wiedzieli nawet, dokąd biegną, ale nie mogło ich czekać nic gorszego niż to, przed czym uciekali.

Postanowili się rozdzielić. To zdecydowanie zwiększało ich szanse na przeżycie. Marcel nie zostawił jej wyboru – zniknął w mroku po lewej. Ivana ruszyła w przeciwną stronę, przez pola, i wkrótce przyszło jej przedzierać się przez niezbyt przyjazne zarośla. Natrafiła na mur kolczastych krzaków, podarła ubranie, próbując go pokonać, a potem biegła, aż znalazła się na znajomym terenie – w winnicy.

Przystanęła na kilka sekund, żeby nabrać tchu. Po biegu paliło ją ciało, ale tylko na powierzchni. Tuż pod skórą była tak zimna, że jej kości mogłyby się kruszyć jak lód. Wokół niej glina miała kolor żelaza, a pędy zwijały się w spirale jak wojskowe zasieki.

Nie miała pojęcia, gdzie jest – orientacja w terenie była jej piętą achillesową. Nagle zauważyła coś, przez co odechciało jej się snuć rozważania: światła na drodze. Emisariusze sprawdzali zarośla, używając lamp ksenonowych. Ci strażnicy najwyraźniej nie wahali się sięgać po nowoczesne technologie.

Ivana odwróciła się na pięcie i zaczęła biec pomiędzy winoroślami, zgięta wpool. Zdyszana, usiłowała pozbierać myśli, żeby móc działać logicznie. Jak mogła wpakować się w takie bagno? Jak to możliwe, że w tej pokojowej wspólnotcie wystarczyło zboczyć o krok, żeby stanąć oko w oko z ludźmi gotowymi ją zastrzelić za to, że myszkowała w jednej z ich szop?

Doszła do końca rzędu. Dalej były krzewy, kilka drzew, a potem znów winnica. Niczego tu nie rozpoznawała, nie widziała żadnego znaku, nic, co pomogłoby jej odnaleźć się w terenie. Obróciła się jeszcze i dostrzegła niebieskawe kręgi tańczące w krystalicznym powietrzu. Oddaliła się od pościgu, ale tamci wciąż szli w jej kierunku.

Przedarła się przez kępę krzewów i pobiegła. Ziemia pod jej nogami była twarda jak lód. Dzięki temu przynajmniej nie zostawiała śladów... „Trzymaj się, dziewczyno, masz szansę...”

Już po chwili wróciła zadyszka. I brak sił. Głęboko w płucach zarzyły się węgle, ogień atakował inne narządy. Iwanie wydawało się, że słyszy gdzieś w piersiach, jak jej własne tkanki spalają się niczym cieniutkie kadzidełka.

Osunęła się na kolana. Boże... Ta scena przypomniała jej o młodzięczych latach na osiedlach, kiedy powoli zdychała, faszerując się narkotykami, jak pijawka opija się krwią. A gdy policja robiła nalot, trzeba było wiać ile sił w nogach albo ukrywać się po piwnicach, bo nie było czym zapłacić dilerowi, albo wstrzymywać oddech na parkingu, kiedy banda zakapturzonych chciała się zabawić z dziewczyną...

Nagle smuga światła mignęła pięćdziesiąt metrów od niej, po prawej. Dobrze! Sprawdzali rzędy na oślep, nie widzieli jej. Ale to była też zła wiadomość – zbliżali się.

I wtedy wpadła na genialny pomysł, a przynajmniej tak jej się wydawało. Musiała iść tam, gdzie nikt jej już nie szukał: na drogę, z której zjechała. Emisariuszom nie przyjdzie do głowy, że mogłaby zawrócić.

Ostrożnie, bardzo ostrożnie podniosła się, tak, żeby zrobić to bezszelestnie, a potem ruszyła na palcach w przeciwnym kierunku, pochylona. Ścięte mrozem, pękające przy lada muśnięciu liście winorośli ocierały się o jej uszy. Nie miała czasu oglądać się za siebie, nie chciała ryzykować żadnym zbędnym ruchem, ale była przekonana, że pościg oddała się w przeciwnym kierunku.

Wyskoczyła na drogę i zaczęła biec. Nie do szopy, to byłoby szaleństwo, ale w kierunku obozu pracowników sezonowych. Pomyślała o Marcelu. Dokąd poszedł? W którą stronę?

Wkrótce złapała rytm i dostosowała do niego oddech. Jak na policjantkę, nie była wystarczająco wysportowana, prawdę mówiąc – wcale nie była. Oddalając się jednak od Magazynów, oddalała się od własnego strachu, toteż jej ciało odzyskiwało teraz stabilizację.

Sportowe buty Nike klepały w asfalt: klap-klap-klap. Ten dźwięk był wyraźny, ale stłumiony, jak lot nocnego ptaka. Dopóki tak biegła, miała szansę na ocalenie. Czuła się całkowicie samotna w świecie barwy indygo – było zimno, było ciężko – ale nie opadała z sił. Do tego było daleko.

Snęła te triumfalne rozważania, kiedy za jej plecami rozlało się białe światło. Doznała szoku, jakby nagle oberwała strzał między łopatki. Zaskoczenie i strach pociągnęły za sobą zniechęcenie – Ivana, wciąż rozpedzona, zaczęła się zataczać, ale ciągle jeszcze biegła, jakby miała choć cień szansy na ucieczkę przed nadjeżdżającym samochodem.

Gardło paliło ją jak rana posypana solą. Chwytała powietrze niczym wyjęta z wody ryba, której skrzela drgają, gdy leży brzuchem do góry, w agonii srebrzystych łusek.

W końcu stanęła i pochyliła się, opierając dłonie o kolana. Przegrała. Czuła, że zaraz wypluje płuca na żwir na drodze. Już je widziała w blasku reflektorów – zakrwawione, błyszczące jak mięczaki na pokładzie kutra.

– Co ty tu robisz?

Ivana uniosła głowę i zobaczyła opuszczoną szybę po stronie pasażera i czarną karoserię. W obramowaniu widziała Rachel siedzącą za kierownicą, która w jej drobnych rękach wyglądała jak koło wozu konnego.

Ivana nie zdołała odpowiedzieć. Potrzebowała jeszcze powietrza, tlenu, zimna, żeby odzyskać równowagę. Dopiero teraz dotarło do niej, jak ogromny pojazd terenowy prowadzi Rachel – to była maszyna rolnicza, coś pośredniego między samochodem terenowym a kosiarką-snopowiązałką.

– Wsiadasz czy nie?

Ivana bez słowa otworzyła drzwi i wsunęła się do kabiny.

– Jedź!

Ani jedna, ani druga nie była na swoim miejscu. Co robiła Rachel za kierownicą tej bestii, w środku nocy, na drodze przecinającej winnicę? A ona – dlaczego biegła, cała w pyle i błocie, tą polną drogą?

Wyjaśnienia Rachel były krótkie. Winobranie to praca, której nigdy się nie przerywa. We dnie trzeba zbierać winogrona. Wieczorami tłoczyć. Nocą napełniać kadzie. Emisariusze pracowali na trzy zmiany.

Anabaptystka tłumaczyła się przez zwykłą grzeczność – była u siebie i nie musiała się przed nikim usprawiedliwiać.

Ale Ivana to co innego.

– A ty? – Emisariuszka zaatakowała ją. – Co ty tu robisz o tej porze?

Wpatrzona w drogę Ivana wykręcała sobie palce. Wciąż dygotała z zimna – w tym pojeździe nie było chyba ogrzewania. Czuła, jak przemoczone ubrania lepią się do jej skóry. Ale wewnątrz nadal wrzała – wysiłek, strach, adrenalina.

– Okłamałam cię – wyznała. – Jestem dziennikarką.

Rachel nie sprawiała wrażenia zaszokowanej. Miała specyficzny sposób prowadzenia: trzymała ręce na kierownicy pochylona do przodu, jakby droga za przednią szybą coś do niej szeptała...

– Przepraszam... – dodała Ivana.

Rachel milczała. Ta cisza była nie do zniesienia. Ivana miała wrażenie, że jej nerwy pękają jeden po drugim i strzelają niczym struny pianina cięte ostrzem.

Niespodziewanie Rachel popatrzyła na nią z zaciekawieniem.

– A można wiedzieć, czego tu szukasz?

– Niczego szczególnego. Gazeta płaci mi za przygotowanie materiału, ja natomiast wpadłam na pomysł, żeby tu, powiedzmy, przeniknąć.

Rachel nie zapytała nawet, jaka to gazeta. Do „światowych” odnosiła się ze wzgardą.

– I znalazłaś coś ciekawego do opisania?

Teraz w jej głosie nie było już zainteresowania, tylko sarkazm. Ivana dostrzegła, że ten łagodny głos, zarazem dziecięcy i odwieczny, pobrzmiwał przesadną wyniosłością. Było w nim wybaczenie. Wyższość Dobra nad Złem, sprawiedliwych nad zabłąkanymi... Ivana poznała katechizm w kilku rodzinach zastępczych. Ten ton doprowadzał ją do szału.

Korciło ją, żeby rzucić Rachel prawdę prosto w twarz – powiedzieć o fresku i o uzbrojonych strażnikach. Ale czuła, że musi trzymać się obranej roli – pozostać niezbyt mądrą dziennikarką.

– Ja tylko zbieram materiały. Chcę poznać z bliska wasze obyczaje, wasze życie duchowe.

– Gadanie. Chcesz odkryć naszą tajemnicę.

– To wy macie jakąś tajemnicę?

Rachel o mało nie pękła ze śmiechu, jak szklanka, która roztrzaskuje się w nerwowej ręce.

– Zastawiłam na ciebie pułapkę. To nie po chrześcijańsku, przyznaję. Nie, nie mamy żadnych tajemnic. Nigdy nie mieliśmy. Ale wy od pięciu stuleci żyjecie w przekonaniu, że coś ukrywamy. Zdumiewające, że tak trudno wam zaakceptować naszą szczerość.

Po każdym zdaniu mogłaby dodawać szeptem: „Ale to nic”. I jeszcze ciszej: „Nigdy niczego nie zrozumiecie, ale nie żywimy do was urazy”.

– A dokąd wybrałaś się dziś w nocy? – podjęła Emisariuszka.

Ivana milczała. Sina droga przed nią przypominała stare negatywy. Białe pnie też podległy zjawisku inwersji – białe w miejsce czarnego, czarne w miejsce białego...

Policyjny instynkt podszeptował jej, że teraz powinna powiedzieć prawdę. Już i tak znacząco przekroczyła granicę kłamstwa.

– Szukałam fresku.

– Jakiego fresku?

– Ze stropu, który się zawalił i zabił Samuela.

Tym razem Rachel nie zdołała ukryć zaskoczenia.

– I... udało ci się go znaleźć?

Prawda. Nie miała już wyboru:

– Jest w Magazynie.

– Skąd wiesz o Magazynie?

– Słyszałam o nim. Od robotników.

– Czyli od kogo?

– Nie wiem. Nie znam nawet ich imion.

– Dlaczego interesujesz się tym gruzem?

– Ponieważ wydaje mi się dziwne, że wynieśliście go z kaplicy i ukrywacie.

– Po prostu go zabezpieczyliśmy. Oto cała tajemnica.

W jej ustach to wyjaśnienie brzmiało wiarygodnie. Ivania stanęli jednak przed oczyma uzbrojeni strażnicy. Nikt nie pilnuje bezwartościowego gruzu z HK UMP w ręce.

Nagle przypomniała sobie, że wciąż ma w kieszeni telefon komórkowy. I nawet nie przełączyła go na tryb samolotowy. Dopadł ją blady strach na myśl o tym, że się rozdzwoni.

Rachel zwolniła. Ivana ujrzała wreszcie długie namioty, stoły, ogroduzenia. Chętnie by uściskała Emisariuszkę. Wróciła do „domu”.

Odwróciła się i patrzyła na tę gładką twarz, która mimo późnej pory była świeża jak poranna rosa. Chętnie zadałaby jej jeszcze kilka pytań, ale nie mogła przeciągać struny. „Odpuść sobie”.

Otworzyła drzwi i spytała niepewnie:

– Wydasz mnie?

– To nie w naszym stylu. Postaraj się odpocząć. Widzimy się rano, przy pracy.

Ivana poszła w stronę obozowiska. Emisariusze czuwali, ale nie byli uzbrojeni ani agresywni. Pozwolili jej przejść, o nic nie pytając – widzieli, że wysiadła z terenówki z Posiadłości. Szła chwiejnym krokiem, jakby zmęczenie potęgowało siłę grawitacji.

Istniały trzy możliwości.

Albo Rachel była tak niewinna, za jaką chciała uchodzić, a wówczas o niczym nie wiedziała, ale doniesie na nią. Kłamstwo, choćby przez przemilczenie, też nie było w stylu Emisariuszy.

Albo wiedziała o wszystkim – o tajemnicy fresku, zbrojnej milicji i pewnie o jeszcze gorszych rzeczach... A wówczas pobiegnie

opowiedzieć jej historijkę ludziom odpowiedzialnym za bezpieczeństwo Posiadłości.

Trzecia możliwość... Nie, po chwili namysłu Ivana uznała, że nie ma innej opcji.

Była spalona.

Powinna natychmiast wziąć nogi za pas i stąd uciekać.

Ale posłanie kusiło znacznie bardziej niż ucieczka w nocy.

II

KREW

Max Lehmann dotrzymał słowa.

O ósmej rano, kiedy Niémans przyszedł do Saint-Ambroise, on i jego ekipa już tam byli. Policjant również spełnił obietnicę i poprosił Desnos o przygotowanie zamówienia na ekspertyzę, dzięki któremu można było jak najszybciej zapłacić Lehmannowi.

Wąsaty mężczyzna stał wysoko na rusztowaniu. Kiedy zobaczył komendanta, natychmiast zszedł, poruszając się ze zwinnością pająka. Satysfakcja malująca się na jego twarzy mówiła więcej niż słowa.

– Znalazł pan coś?

– A jakże! – powiedział, podchodząc do prowizorycznego stanowiska pracy, gdzie cztery komputery osłonięte były przezroczytymi płachtami. – Prawdę mówiąc, jesteśmy tu od wczorajszego wieczora. Przy tak grubych warstwach prześwietlanie zajmuje sporo czasu, potem trzeba przeanalizować materiały.

Niémans wpatrywał się w monitory, na których widać było białoczarne obrazy. Nie podlegało kwestii, że Lehmann znalazł motywy ukryte pod osiemnastowiecznymi freskami.

– Proszę – dodał konserwator, wsuwając długie dłonie do kieszeni.

– Muszę przyznać, że to spektakularny przypadek „narodzin”.

Wydawał się zadowolony z siebie, ale Niémans milczał, zafascynowany tym, co widzi. W pierwszej chwili najbardziej uderzający był wygląd, jaki przybrały na zdjęciach rentgenowskich te sinoniebieskie tonacje, które sprawiły, że ekshumowane freski zdawały się wykute w bladej, kruchej skale.

Ich styl nie miał nic wspólnego z prymitywnymi malunkami, którymi je pokryto. Z akademickiego punktu widzenia postacie nie były może jakoś szczególnie udane, ale tym razem ich deformacja, typowa dla średniowiecznej sztuki, została niejako ujęta w pewne ramy. Służyły przedstawieniu, były emanacją, wyrażały doznania duchowe.

– Jak pan widzi, udało nam się odnaleźć na lewej części sklepienia cztery sceny na planie krzyża. Wszystkie są inspirowane Nowym Testamentem albo tradycją alegorii późnośredniowiecznych. Pierwsza ukazuje czterech jeźdźców Apokalipsy...

Ludzie dosiadali rumaków spowitych mgłą, nakreślonych lśniąco falistymi liniami. Jeden z jeźdźców miał ognistą aureolę, inny zamiast twarzy – trupa czaszkę, gołą, poobijaną... Chciałoby się powiedzieć, że wynurzyli się z chaosu i mroku, lśniąco niczym pochodnie.

– Druga scena, na lewym ramieniu krzyża, to Święty Jerzy pokonujący smoka.

Walka była pasjonująca: zdawało się, że dosiadający konia uderza niczym czarny grom. Wyłaniając się ze smolistej tła, godził mieczem w drgającą bestię, która dogorywała na ziemi.

– Trzecia to taniec śmierci... Klasyczny motyw w piętnastowiecznej Francji, zdziesiątkowanej przez wojnę stuletnią i dżumę.

Kobieta przędła wełnę, obracając kołowrotkiem, a za nią stał rozkładający się trup, który trzymał kądziel na znak, że u kresu każdego dzieła czeka śmierć.

Przesłanie było przerażające, jeszcze gorsze jednak ukazanie go: prządka i trup mieli takie same pobielające oczy kosmitów.

– Ostatnia scena to opłakiwanie zmarłego Chrystusa. Odnajdujemy tu takie same natchnione twarze, to samo promienne światło...

Niémans wystarczająco dobrze znał temat, by rozpoznać Maryję, która trzyma w ramionach zdjętego z krzyża Chrystusa i opłakuje Go, apostoła Jana, Józefa z Arymatei i Nikodema. Wszyscy mieli twarze oszołomionych górników, którzy uszli z życiem po wybuchu metanu.

Sceny nie tworzyły spójnej całości, ale wyszły spod jednej ręki. Łączył je ten sam styl, wszystkie wyrażały głęboki lęk nawiedzanej duszy.

Oto co kryły anegdotyczne malowidła z Saint-Ambroise, a przynajmniej te z zachowanej części sklepienia: wiarę jako obsesję, udrękę, pokutę.

– Czy szczątki tamtej części sklepienia może pan zbadać w taki sam sposób?

– Techniką rentgenowską?

– Tak.

– Najpierw trzeba by było zrekonstruować całość i...

– Da się to zrobić?

– Nie ma problemu.

Ivana jeszcze się nie odezwała, ale Niémans był przekonany, że odnalazła albo wkrótce odnajdzie fragmenty sklepienia.

– Co pan o tym myśli? – spytał, wracając do obrazów widocznych na monitorach.

– To niezwykle – szepnął Lehmann głosem wzruszonego kosmonauty, który samotny na swym statku, ujrzał planetę Ziemia.

– Rzadko dane nam jest...

– Pytam o styl tych fresków. Czy potrafi pan określić, kiedy powstały?

Lehmann splótł ręce na piersi i nieco teatralnym gestem podparł palcami brodę.

– Waham się. Same sceny, a także ogólny styl wskazują na piętnasty wiek, ale pewne fakty nie pasują do tego założenia.

– Na przykład?

– Przez sześć stuleci kaplica była wielokrotnie przebudowywana i remontowana, a to oznacza, że zmiany nie ominęły również sklepienia. Wątpię, by ówcześni konserwatorzy mogli za każdym razem odtworzyć to dzieło.

Niémans pomyślał o sali w Muzeum Prado w Madrycie, gdzie eksponowano Pinturas negras Francisca Goi. Nikt tam nie mówił, że te obrazy są fałszywe, a przecież nie wyszły spod pędzla Goi. Oryginały artysta namalował na ścianach swojego domu, nie można było przenieść ich na płótno. Ten sam problem dotyczył fresków – jak oddzielić je od pierwotnej kopuły i przenieść na inną?

– Czy mogły zostać skopiowane?

– Oczywiście. Ale w takim przypadku dałoby się zauważyć różnice w fakturze. A ta całość jest bardzo jednolita. Aż za bardzo.

– Może mi pan to wyjaśnić?

– Dokładnie widać, że wszystkie sceny malował ten sam artysta i że robił to, że tak powiem, za jednym zamachem. To znaczy, że pozostają nietknięte od chwili powstania. Na tym polega prawdziwa zagadka.

Policjant wciąż miał wrażenie, że sceny są jakby pomazane sadzą, że rozświetlają je tylko wielkie oczy unoszące się na morzu czerni niczym błędne ognie. Teraz umocnił się w początkowym przeświadczeniu – w tych obrazach kryła się tajemnica, one niosły jakieś przesłanie.

– Jest też kwestia wybranych wątków – podjął Lehmann. – W piętnastym wieku pojawiały się często, ale nigdy nie były łączone, zwłaszcza w kaplicach. Czterej jeźdźcy Apokalipsy to motywy z Nowego Testamentu. Święty Jerzy zabijający smoka zaczerpnięty jest ze Złotej legendy Jakuba de Voragine. Co do tańca śmierci, motyw jest niemal pogański. Memento mori o charakterze przestrogi.

– Co z tego wynika?

– Nic, ale ten pozorny chaos jest wyjątkowy. Nie wiem, może należy dopatrywać się w nim ukrytej harmonii.

Niémans już postanowił, że pokaże te malowidła teologowi, który być może potrafi odczytać ukryty w nich przekaz, jakieś podświadome znaczenia.

– No i wreszcie jest też faktura – ciągnął konserwator. – Tu uwidaczniają się typowe cechy sztuki późnego średniowiecza, ale...

– Ale co?

– Zauważalne są też nowsze wpływy, ekspresja osobowości... Nieprzeciętnej. Nie znam żadnego dzieła z tamtych czasów, które nosiłoby takie cechy. Jakkolwiek nieprawdopodobne może się to wydać, ten artysta z pewnością malował nie tylko alzackie sklepienia...

Ostatnia uwaga nie zdziwiła Niémansa. Historia sztuki pełna jest przykładów artystów posługujących się ponadczasowym językiem. El Greco był w szesnastym wieku zaskakująco nowoczesny i do dziś wystarczy rzut oka, żeby rozpoznać jego obrazy, które właściwie nie przynależą do żadnej epoki.

– Do precyzyjnego datowania konieczne byłoby przeprowadzenie analizy chemicznej.

– Więc na co pan czeka?

– Na zezwolenie właścicieli kaplicy.

– Ja udzielam panu zezwolenia. Proszę nie zapominać, że został pan naszym ekspertem.

– Ale to nie oznacza, że mogę zdrapać fragment malowidła!

– Nie widzę problemu.

– Przecież to niemożliwe bez...

– Wyjaśnię im to. Proszę się nie przejmować.

– To pociągnie za sobą dodatkowe koszty.

– Niech pan z tym skończy. Ile czasu panu potrzeba?

– Załóżmy, że dwadzieścia cztery godziny.

– Proszę zacząć natychmiast. Kiedy tylko uda się panu coś ustalić, niech pan do mnie dzwoni.

Niémans odwrócił się, żeby podejść do ekipy kryminalistycznej. Desnos zbliżała się do niego szybkim krokiem.

– Znaleźli coś.

– Co?

– Ślady butów.

Przeszli wzdłuż rusztowań i znaleźli się blisko wejścia, gdzie ekipa kryminalistyczna kończyła pracę. Znajeziska dokonał Julien Petit we własnej osobie dzięki fascynującej go technice fluorescencyjnej.

– Mamy jeden pełny odcisk i załazek drugiego – oznajmił z powagą, pamiętając wczorajszą lekcję.

Niémans wziął od niego iPada, na którym odblaskowe linie układały się w ślad podeszwy. Ktoś najwyraźniej wdepnął w krew i teraz luminescencyjny roztwór go zdradził.

Komendant popatrzył na namiot w kształcie igloo, pod którym rozpylono chemiczny wykrywacz. Nie zamierzał wchodzić tam na czworakach, żeby sprawdzać to, co przekazał mu Petit.

– Co o tym sądzisz? – spytał, podając iPada Desnos.

– To mogą być czyjekolwiek ślady.

– W kałuży krwi?

– Zmytej krwi – uściślił Petit. – Na całej posadzce znaleźliśmy ślady detergentu.

– Czyli – podchwyciła Desnos – mógł tu wejść ktokolwiek.

Niémans ucieszył się, że ma okazję przeprowadzić na ich oczach pokaz w stylu Sherlocka Holmesa.

– Otóż nie. Po odnalezieniu zwłok do kaplicy nie miał wstępu nikt poza żandarmami i Emisariuszami.

– Co z tego?

Wskazał na ekranie bardzo wyraźny odcisk podeszwy.

– To obuwie sportowe. Wiemy, że Emisariusze noszą zawsze buciory. Praktycznie nie różnią się one od butów żandarmów. Z tego wniosek, że to ślad intruza, który wdarł się tu tamtego wieczoru.

– Mamy sprawdzić zatrzymanych?

Już prawie o nich zapomniał.

– Tak, ale jedź też do Posiadłości. Trzeba przetrząsnąć rzeczy robotników sezonowych.

– Dlaczego właśnie ich?

– Ponieważ kiedy to się stało, już tu byli. I dlatego, że tylko oni wieczorami przebierają się w inne ciuchy i zmieniają buty.

Desnos w milczeniu pokiwała głową. Żandarmów czekało teraz mnóstwo pracy.

Niémans już zamierzał wyjść, ale zatrzymał się i odwrócił głowę.

– Twoim zdaniem ta krew popłynęła, zanim runął strop, czy potem? – zapytał Julienu.

– Z całą pewnością przed zawaleniem się stropu. Zanim posypał się pył, doszło do koagulacji.

Potwierdzał się więc najprostszy scenariusz: Samuel zaskoczył intruza. Doszło do bójk, potem spadł strop – uszkodzony albo po to, żeby upozorować wypadek, albo w trakcie kradzieży fragmentu, który zabrał złodziej...

Niémans marzył o wielkim ezoterycznym śledztwie, o tajemnicach i mistyce, o prastarych konfliktach, a tymczasem musiał się zajmować zwykłą kradzieżą, bijatyką, jakimś adidasem – nie, pomyłka – sneakersem w charakterze materiału dowodowego. Góra nie urodziła nawet myszy, a zaledwie mysie bobki!

Ale chwila, o czymś zapomniał. Był przecież ten kamień w ustach, no i fresk chroniony przez Emisariuszy. Nie powinien się tak spieszyć. Scenariusz kradzieży dzieła sztuki i nieumyślnego zabójstwa mógł okazać się tylko kolejną zasłoną dymną, tak jak hipoteza zwykłego wypadku budowlanego.

Klasnął w ręce i krzyknął do Desnos:

– Wracamy do Posiadłości, teraz. To ma być niespodziewany nalot, zgodnie z zasadami sztuki.

– Ale...

– Ale co?

– Nic.

Niémans parsknął śmiechem.

– Zaczynasz się uczyć fachu.

Marcel zniknął.

Po dwóch godzinach snu dla naładowania baterii Ivana wstała przed pobudką i wzięła prysznic w łaźni przy obozowisku. Było tam sześć kabin prysznicowych z PCV, które, jak się obawiała, mogłyby odfrunąć przy pierwszym silniejszym podmuchu wiatru.

Potem czekała na śniadanie, ale nie po to, żeby jeść. Chciała odszukać towarzysza nocnej wyprawy i pogadać z nim o tym, co widzieli. Ale Marcel się nie pojawił.

Zapuşciła się nawet do namiotu mężczyzn – ani śladu. Pytała innych robotników – nikt nie widział go od wczoraj. Wolała nie naciskać, bo anabaptyści wciąż snuli się między pracującymi w winnicy robotnikami sezonowymi. Zaniepokoił ją jednak pewien szczegół – tam, gdzie zwykle czekała świeża odzież, nie pozostał żaden garnitur, jakby Emisariusze wiedzieli, że Marcel się dzisiaj nie pojawi.

Zdecydowała się wsiąść do ciężarówki. Wciśnięta w kąt, zmagala się ze sprzecznymi myślami. Czy dał się złapać strażnikom? A może wpadł do jakiegoś dołu i złamał nogę? Albo przeciwnie – wymknął się im, a potem spanikował – zwinął manatki i uciekł po cichu?

Kiedy już zmęczyło ją mnożenie pytań, na które nie znała odpowiedzi, skupiła się na własnej sytuacji, też mocno niepewnej. Czy ją wytropili? Rozpoznali? Czy Rachel ją wydała? Co mogło jej grozić? Te niewiadome przyprawiły ją o ból głowy, jakby chmara ptaków dziobała jej mózg.

Poza niepewnością dręczył ją też strach, bo przecież w kieszeni wciąż miała telefon. Nie udało jej się znaleźć czasu ani miejsca, żeby zadzwonić do Niémansa, a teraz bała się, że ją przeszukają, choć nie było powodu. Wyciszyła komórkę, a bateria jeszcze się nie wyczerpała.

Musi skontaktować się z Niémansem. Powiedzieć mu o wszystkim: o rekonstrukcji fresku, o uzbrojonych strażnikach, o zniknięciu jej

wspólnika. Ale nie chciała się zdemaskować. Chociaż szansa, że nie jest spalona, była nikła, Ivana pragnęła w to jeszcze wierzyć. Zostały jej dwa dni na szukanie, szperanie, wypytywanie i zamierzała wykorzystać ten czas do ostatniej minuty.

Teraz zrywała winogrona, jak gdyby nigdy nic, nie zważając na zbyt białe światło słoneczne. Czysty błękit nieba wyglądał jak zmrożony. Mienił się krystalicznym blaskiem, który raził oczy. A w dole robotnicy sezonowi i Emisariusze pracowali zgodnie, ramię w ramię. Chłód wyostrzył pejzaż, wszystkie kolory nabrały głębi i wyrazistości witrażu. Mosiężny drut otaczał ramiona, a liście, włosy i brody połyskiwały złotem.

Pochylona nad winoroślą Ivana pociała się w czarnych rajstopach i sukni mniszki. Kołnierz ją drapał, sekator kaleczył palce, a ona myślała teraz o Rachel. Jej też dziś nie widziała. Czy anabaptystka ją zdradziła? Może właśnie opowiadała o wszystkim Jakobowi i jego bandzie? Dochodziło południe, a ona czuła się boleśnie samotna.

I wtedy stało się coś, czego absolutnie się nie spodziewała.

Na horyzoncie znów pojawiły się samochody żandarmerii. Ich dachy błyszcząły nad winoroślą jak zwierciadła. Iwanie zaschło w gardle – obawiała się powtórki z wczoraj: zatrzymań, spluw, mundurów. Niémans zachowywał się tak, jakby nie znał innych metod: co rano wysyłał kawalerię i wsadzał za kratki, kogo tylko dopadł.

Zobaczyła, jak jego ludzie wypadają z ciężarówki niczym worki z brudną bielizną, i natychmiast zauważyła ważny szczegół: byli nieuzbrojeni. Ani śladu broni. Żadnego pistoletu przy pasie. Prawdopodobnie nie chcieli urazić Emisariuszy... Pewnie następnym razem przyjadą z kwiatami. Ale co oni, do diabła, wyprawiali?

Odpowiedzi docierały do niej ze wszystkich stron. Szepty, które szeleściły jak suche liście. Żandarmi zbierali dokumenty tożsamości. Mieli przeprowadzić testy DNA wszystkich robotników sezonowych. W kaplicy miała się odbyć rekonstrukcja zdarzeń... Gówniane plotki, ot i tyle.

Działo się jednak coś poważnego, czuła to. Chociaż cruchoci byli nieuzbrojeni, ich zdecydowane działania zdradzały, że mają jakiś trop. Szukali czegoś albo kogoś konkretnego.

Wspięła się na palce. Niémansa nie było. Obejrzała się i zobaczyła Emisariuszy w ich typowej pozie – z opuszczonymi rękami i rozdziawionymi ustami. Lada chwila zaczną się modlić... Tym razem jednak w ich oczach dostrzegła tłumiony gniew – stulecia posłuszeństwa nauczyły ich, jak trzymać emocje na wodzy.

Kolejna fala szeptów: żandarmi otworzyli szafki pracowników sezonowych i fotografowali wszystkie znalezione tam buty. Może i brzmiało to jak żart, ale intuicja podpowiedziała Iwanie, że to prawda. Ślady krwi przemówiły. Hipoteza – niezbyt zresztą ekscytująca – bójki, która zakończyła się tragedią, potwierdziła się. Znaleziono ślady butów.

Ivana czuła się źle. Była zdenerwowana, ale i bardzo zmęczona, a obecność żandarmów wzbudzała w niej mieszane uczucia. Miała ochotę rzucić wszystko i dołączyć do umundurowanych, wyciągnąć odznakę i przejść na drugą stronę, jak najdalej od winorośli.

Ponad sto metrów od siebie zobaczyła Niémansa, który pojawił się jak w teatrze – wychodząc zza kurtyny liści. Wydawało jej się, że krzyczy – prawie jak zwykle. Gestykulował, gadał, wymachiwał rękami. Ivana wychyliła się w jego kierunku, próbując wychwycić słowa. Nic z tego. Podmuchy wiatru porывały je i niosły w dal.

Popatrzyła na niego i gwałtowne wzruszenie chwyciło ją za gardło. Niémans przewyższał swoich ludzi o głowę, a winorośl o dwie. W okularach belfra, z fryzurą legionisty przypominał ostrego instruktora wojskowego...

Ivana drżała. Łzy płynęły jej po policzkach – może ze zmęczenia, z zimna, ze strachu o Marcela... Dopiero teraz zauważyła, że robotnicy sezonowi rozglądają się na wszystkie strony. Kogoś szukano. Policja znała nazwisko. Nawet Emisariusze wyglądali na zaintrygowanych...

Ta nerwowość jej również się udzieliła. Obserwowała widowisko jak zahipnotyzowana. Rdzawe kiście winogron, biel i czerń strojów ludzi z winnicy, granat mundurów – niech wygra najlepszy...

Wtedy nasunęło jej się wspomnienie. Czuła we krwi to ciche podniecenie morzem, kiedy dojeżdżała autokarem z innymi kolonistami do plaż w Charente-Maritime.

To było niecierpliwe mrowienie, pełne elektryzującego wyczekiwania...

Była głęboko przeświadczona, że w ciągu najbliższych sekund wydarzy się coś naprawdę ważnego.

Paul Paride, lat czterdzieści dwa, zatrudniony drugiego listopada 2019 roku.

Zdemaskowany za sprawą butów Nike Shox R4.

W drodze do Posiadłości Niémans wykonał kilka telefonów i ustalił model buta. Odcisk nie wzbudzał wątpliwości – chodziło o egzemplarz z lat dwutysięcznych, znów bardzo modny na Planet Footwear (zdaniem „agenta handlowego”, z którym komendant rozmawiał).

Żandarmi siłą otworzyli szafki robotników sezonowych. Niémans mógł zażądać wydania kluczy, ale wolał wszystko rozwalić. Głupia satysfakcja typowego gliny – niszczyć z błogosławieństwem Republiki, nikogo nie pytając o zdanie.

Jedynym ukłonem w stronę anabaptystów było pozostawienie broni w samochodach. Tylko Niémans pojawił się z glockiem u pasa. Mimo wszystko...

Potem żandarmi wpadli do winnicy. Trzeba było jeszcze zaskoczyć Paride'a i dyskretnie go zgarnąć. Niémans wydał rozkazy – jeden żandarm na każdy rząd. Spokojne przejście: sprawdzenie tożsamości wszystkich robotników. Żadnych krzyków, żadnej brutalności. Zwyczajna, rutynowa kontrola...

Ale popełniono błąd – Paul Paride musiałby być ślepy i głuchy, żeby od razu się nie zorientować, że to on jest celem operacji. O ile znacznie wcześniej nie zwinął manatków.

Wbrew temu, co sądził Niémans, Emisariusze nie byli zbyt rygorystyczni jako pracodawcy – każdy robotnik mógł odejść z dnia na dzień, a przy naborze podać jakiekolwiek nazwisko.

Desnos zdążyła już sprawdzić: w regionalnych rejestrach stanu cywilnego nie figurował żaden Paul Paride. Jedyni posiadacze tego nazwiska nie żyli i zostali pochowani – jeden w okolicy Vigan w Gard, drugi w Angers w departamencie Maine-et-Loire. To

dowodziło przynajmniej, że gość miał coś za uszami i nie grał uczciwie...

Wszystko potoczyło się tak szybko, że nikt nie zdążył zareagować.

W jednej z alejek po prawej robotnik sezonowy rzucił się do ucieczki, odpychając żandarma, który poprosił go o dokumenty. Teraz pędził przez winnicę, przeskakując przez kosze przewracające się na ziemię.

Żandarm deptał mu po piętach, dopóki się nie potknął. Gdy wstał, wpadł na jedną z robotnic. Tymczasem uciekinier przeciął winnicę na skos i znalazł się w części, gdzie pracowali Emisariusze. Nie można było liczyć na to, że choćby kiwnął palcem, aby zatrzymać podejrzanego.

Niémans bez namysłu ruszył za mężczyzną, odruchowo dobywając broni. Paride był już w połowie parceli, zaledwie kilkaset metrów od kolejnej, za którą widać było las. Tam mógł zniknąć bez śladu.

Niémans przez moment zastanawiał się, czy nie oddać strzału ostrzegawczego, ale wyobraził sobie skutki: pogwałcono uświęcony teren Posiadłości, naruszono zasady, urażono wiarę Emisariuszy...

Słyszał żandarmów, którzy jego śladem ruszyli w pościg.

Sam nie wiedział dlaczego, ale zwolnił i krzyknął:

– Nie mieszajcie się w to!

Żandarmi się zatrzymali. Patrzyli na siebie oszołomieni: „Ten paryżanin to kompletny świr”. A on znów biegł, dostrzegając po lewej innych żandarmów, którzy spieszyli mu z pomocą. Wydawało się jednak, że wszystko – robotnicy sezonowi, rzędy winorośli, wąskie alejki – staje im na przeszkodzie.

Zbieg był już w kolejnej parceli winnicy. Niémans gonił go, ale z coraz większym trudem. Ledwie dyszał. O gardle lepiej nie wspominać. Bał się, że mięśnie nóg odmówią mu posłuszeństwa i że padnie nagle, rozpedzony.

– Z drogi! – zdołał krzyknąć. – Z drogi, na Boga!

Emisariusze, patrząc na niego – albo z pełną obojętnością, albo w osłupieniu – cofali się. Najwyraźniej nie chcieli mieszać się w tę sprawę, a może nawet w skrytości ducha nieźle się bawili wyczynami zziąjanego gliny.

Chciał przyspieszyć, ale był na granicy swoich możliwości. Gdyby ją przekroczył, to chyba za cenę zawału serca. A na pewno upadku. Jak w koszmarnym śnie – im dłużej biegł, tym bardziej oddalał się od ściganego.

I wtedy stał się cud.

Mężczyzna upadł, i to fatalnie. Jakaś Emisariuszka, trochę sprytniejsza od innych, podcięła go w pełnym biegu.

Co więcej, przycisnęła go do ziemi, chwyciła za lewą rękę, obróciła i teraz trzymała, całym swoim ciężarem blokując każdy jego ruch. Prawidłowo wykonane waki gatame, unieruchomienie na ziemi, dość popularne wśród dżudoków.

Znał tylko jedną osobę w tej winnicy zdolną do takiego wyczynu.

– Niémans – szepnęła, gdy się przy niej pojawił – ten obłąkaniec nie może odtąd kontaktować się z Emisariuszami. W przeciwnym razie już nie żyję.

Paul Paride naprawdę nazywał się Alain Ibert. Miał czterdzieści dwa lata na karku, ale ani żadnych dochodów, ani stałego miejsca zamieszkania. Był brutalny, wiecznie czujny, kradł – bezdomny pies współczesnego świata.

Po powrocie na posterunek Desnos sprawdziła w kartotekach jego odciski palców. Gość już siedział, i to nieraz. Wielokrotnie skazywany za kradzieże kieszonkowe, kradzieże z włamaniem, napaści, spędził za kratkami co najmniej sześć lat.

– Dlaczego właśnie Paride? – spytał Niémans.

– W nawiązaniu do Paride ed Elena.

– Co to takiego?

– Opera Christopha Willibalda Glucka.

„Tylko tego brakowało”. Kościelny rabuś, recydywista i meloman. Nieźle zaczynało się to przesłuchanie...

Niémans milczał przez kilka sekund, przypatrując się zwierzyźnie: włosy ufarbowane zgodnie ze stylem gotyckim, uczesane z przedziałkiem, przez co twarz wydawała się pociągła jak cykoria. Złęczniona mina, oczy jak siwe perły, rozmyte, policzki zapadnięte, nos wydatny i garbaty. Z taką gębą nie wzięliby go na okładkę kolorowego pisma. Bardziej nadawał się na pracownika stacji benzynowej w filmie grozy.

Siedział, opierając przedramiona nieruchomo na blacie stolika przykręconego do podłogi, i patrzył tępo przed siebie, jak alkoholik albo nawiedzony.

– Wszystko słyszałem – powiedział niepytany.

Niémans zdążył zamienić z Ivaną tylko kilka słów. Przedstawił jej nowe kierunki śledztwa, a ona opowiedziała mu zaskakującą historię, w której najważniejsze były zrekonstruowane freski w jednej z szop Magazynu, strażnicy, którzy stali na warcie z HK UMP9 w garści, a także pościg na terenie Diecezji.

Paride, chociaż ledwie oddychał z nosem wciśniętym w ziemię, nie uрониł ani słowa z tej rozmowy.

– Nie mam nic wspólnego z tymi freskami ani resztą.

– Nie wiedziałeś, że pod widocznym malowidłem kryje się starsze dzieło?

– Nie. A gdybym nawet wiedział, to nic mi do tego.

Niémans splótł dłonie na stole. Nie miał żadnych akt ani nawet kawy. W pomieszczeniu nie było ani jednej kamery czy lustra weneckiego, jakie widuje się w filmach. Tylko telefon komórkowy, żeby nagrywać przesłuchanie.

– W porządku, Paul. A może wolisz, żebym zwracał się do ciebie Alain?

– Mam na imię Peter.

– Robi się coraz ciekawiej.

– Takie imię nosiłem, kiedy byłem Emisariuszem.

To była prawdziwa sensacja. Paul Paride alias Alain Ibert żył we Wspólnocie.

– Peter – podjął ugodowym tonem Niémans – wiesz, co na ciebie spadnie. W tej sytuacji najlepiej będzie, jeżeli wszystko mi powiesz. Jeżeli okażesz dobrą wolę, sąd weźmie to pod uwagę.

– To nie ja zabiłem Samuela.

– I nie ty sprawiłeś, że sklepienie zwaliło się na podłogę?

Mężczyzna uniósł brwi, szczerze zdziwiony.

– A jak miałbym to zrobić? Powtarzam ci, te malunki nic mnie nie obchodzą.

– A zatem opowiedz mi o wszystkim.

Podejrzany mówił z alzackim akcentem. Ten pocziwy dźwięk – przesypywanie kartofli – kołysał dzieciństwo Niémansa. Peter wypowiadał się jednostajnym głosem, bez odrobiny ekspresji, jakby wygłaszał nudne przemówienie, którego szmer potrafi szybko uśpić.

Ale jego biografia zasługiwała na uwagę.

Urodził się w roku 1976 w Górny Renie. Nie doprecyzował gdzie, ale to nic. Żandarmi już mieli jego kartotekę. Jego losy były niezwykle – dzieciak z opieki społecznej (jego rodzice zniknęli nie wiadomo gdzie) został adoptowany przez Emisariuszy, kiedy miał

piętnaście lat. Zwrócili na niego uwagę podczas winobrania i przygarnęli go do Wspólnoty.

Od początku tego śledztwa Niémans nigdy nie słyszał o niczym podobnym.

Sprawy zaczęły się komplikować w 1997 roku, kiedy Peter chciał poślubić dziewczynę imieniem Myriam. Diecezja się temu przeciwstawiła, odrzuciła jego prośbę.

- Ponieważ nie należałeś do Wspólnoty?
- Odmówili, bo nie byłem wystarczająco chory.
- Co masz na myśli?

Peter pochylił się, żeby podkreślić wagę tego, co zamierzał powiedzieć.

– Ci goście sypiają ze sobą od stuleci, chwyta pan? Mają mnóstwo chorób. A ja byłem dla nich za zdrowy.

Ta kwestia nurtowała Niémansa od początku. Posiadłość tworzyła terytorium hermetyczne, gdzie wiązały się ze sobą osoby spokrewnione, a to prowadziło do chorób. Krew Emisariuszy musiała być jak wyjałowiona ziemia, a ich małżeństwa mnożyły „błędy” genetyczne. Kto ich leczył? I gdzie byli ci chorzy?

Być może w głowach tych fanatyków patologie stały się z czasem widoczną oznaką ich „autentyzmu”, jak dla arystokratycznych rodów, które szczyły się swoim wyizolowaniem i wymierały, nie chcąc „wtopić się w masy”, czyli szukać poza swoją sferą tego, czego dotkliwie im brakowało – nowych genów.

Przypomniał mu się pewien szczegół – Emisariusze sprzeciwiali się transfuzji krwi od osób „światowych”. W żadnym razie nie chcieli się z nimi mieszać.

- Co się stało potem?
- Wypędzili mnie. Myriam poślubiła innego.
- A ty?
- Zszedłem na psy. Włóczyłem się. Nie udało mi się nigdzie zagrzać miejsca...

Siedział na krześle wyprostowany, z wysoko podniesioną głową. Z jego oczu wзираła pogarda. Przyjął typową postawę złoczyńców, przegranych.

- Dlaczego w tym roku zdecydowałeś się tu wrócić?

- Ponieważ Myriam zmarła kilka miesięcy temu.
- Na co?
- Nie wiem. Emisariusze zawsze ukrywają swoje choroby.

Zemsta. Zagubiony od dwudziestu lat człowiek chciał porachować się z Emisariuszami, skoro ci nie mieli już jego ukochanej za zakładniczkę. Brzmiało to logicznie.

- Jak ci się udało dostać tę pracę?
- Po prostu zgłosiłem się do winobrania.
- Nikt cię nie rozpoznał?
- Ludzi, którzy zajmują się naborem, za moich czasów nie było jeszcze na świecie.

- A starsi?
- Nie zwracają uwagi na robotników sezonowych.
- Co planowałeś?
- Porozmawiać z Samuelem.
- Dlaczego właśnie z nim?
- To on ożenił się z Myriam, kiedy mnie odrzucono.
- Zamierzałeś go zabić?

Tym razem Peter aż podskoczył.

- Nic z tych rzeczy!
- Więc po co?

Peter wcisnął głowę w ramiona. Czarne skrzydła jego włosów i garbaty nos upodobały go do wielkiego ptaka siedzącego na gałęzi. Do padlinożercy.

- Pokłóciliśmy się.
- O co?
- Chciałem wrócić do Wspólnoty. Odmówił. Twierdził, że nie można zmieniać decyzji Pana... – I powtórzył piskliwie: – Pana...
- Mów dalej.
- Co mam ci tłumaczyć? Było ostro. Pobiliśmy się.
- Samuel się bił?
- Kiedy dostajesz po pysku, oddajesz, to odruch.

Nareszcie coś sensownego. Ale ta historia była jeszcze bardziej banalna od scenariusza z grabieżą dzieła sztuki.

- W końcu padł fatalny cios – zakończył Niémans, który miał już tego dość – i Samuel zmarł, a...

– Nie! Kiedy wyszedłem, Samuel żył! Był nawet przytomny! Klęę się na Boga!

Życie włóczęgi najwyraźniej sprawiło, że zapomniał o dobrych manierach, bo Emisariusze nie klęli się na Boga ani nie przysięgali.

– I to nie ty uszkodziłeś sklepienie?

– Nigdy w życiu bym na to nie wpadł!

Rzeczywiście, ten kretyn od zbierania winogron nie wiedziałby, jak spowodować taką katastrofę.

– W takim razie jak wyjaśnisz to, że sklepienie runęło na Samuela?

Paride wzruszył ramieniem w stylu Sarkozy'ego. A potem wbił oczy w linoleum.

– To oni uszkodzili rusztowania.

– Jacy oni?

– Emisariusze.

A jednak Paul Paride miał więcej wyobraźni, niż mogło się wydawać. Policjant skrzyżował ręce na stole. Takie drobne gesty podczas przesłuchań sprawiały mu przyjemność.

– Dlaczego mieliby go zabić?

– Nie mam pojęcia. Ale ta pozorna harmonia, w jakiej żyją, często kryje konflikty. Zabili go i upozorowali wypadek.

Niémans ani przez sekundę nie wierzył, że anabaptyści mogliby zgładzić Samuela. W jego głowie zaświtał jednak inny pomysł, realny, chociaż skomplikowany.

Ani Paride, ani Emisariusze nie zabili Samuela. Lecz kiedy anabaptyści znaleźli ciało, ich pierwszą reakcją było spowodować zawalenie stropu, żeby jego śmierć wyglądała na wypadek. Nie chcieli śledztwa na swoim terenie. A przede wszystkim nie chcieli, żeby ktokolwiek powiedział, że do ich świata wdarła się ludzka przemoc.

– W jakim stanie był Samuel, kiedy uciekałeś? – spytał podejrzanego.

– W kiepskim, ale trzymał się na nogach.

– Przypuszczasz, że ktoś zabił go po twoim wyjściu?

– Nie ma innego wytłumaczenia.

– A jeśli zadałeś mu śmiertelny cios? Taki, który doprowadził na przykład do wylewu krwi do mózgu?

Peter wpatrywał się w policjanta. W jego niebieskich jak sztuczny barwnik oczach widać było zakłopotanie.

– Niemożliwe. Daliśmy sobie parę razy po gębie. Nie wpadliśmy w zabójczy szał.

Niémans wiedział, że nawet lekkie uderzenie może zabić, jeśli trafi się w punkt vitalny, ale wierzył, że ta potyczka była raczej niegroźna.

– Dlaczego nie uciekłeś, kiedy się dowiedziałeś o śmierci Samuela?

– Żeby nie wzbudzać podejrzeń.

– Mądre posunięcie, Peter.

– Sądziłem, że ludzie nabiorą się na ten wypadek.

– A dziś? Dlaczego uciekałeś?

– Z moją kartoteką? Od razu wiedziałem, że na lata trafię do pierdła.

Było jeszcze za wcześnie, żeby w stu procentach uwierzyć w historię Paula Paride'a, ale istniały na to duże szanse. A Niémans miał krew, but, podejrzanego, tylko wciąż brakowało zabójcy.

Dobra. Potem spisze zeznanie złodziejaszka i zastanowi się nad szczegółami. Teraz nie mógł już tracić ani sekundy więcej z tym wyrzutkiem, który zboczył z drogi.

– A to, co znaleźliśmy w jego ustach? – rzucił mimo wszystko.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– W ustach Samuela był kamień.

– Co z tego? To takie dziwne, skoro sufit spadł mu na łeb?

– Z całą pewnością ktoś włożył go tam, zanim go przysypało.

Peter milczał. Oniemiał. A Niémans był głęboko przekonany, że ów człowiek nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

Jego komórka zaczęła wibrować. Zawsze w nieodpowiedniej chwili. Chyba że śledztwo naprawdę nabiera tempa.

To był SMS od Desnos: „PROSZĘ PRZYJECHAĆ. TO PILNE”.

Rekordowe tempo.

Przed przesłuchaniem Paride'a Niémans polecił Desnos, żeby zabrała Maxa Lehmana i potrzebny mu sprzęt do Magazynu, gdzie należało jak najszybciej przystąpić do badania zrekonstruowanego fresku. Towarzyszyć mieli im żandarmi i ekipa kryminalistyki. Kapitan zapakowała wszystkich do ciężarówki i pojechała przed samą szopę, beztrąsko przemierzając zakazany teren Posiadłości.

Ta wizyta była już trzecim wtargnięciem w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Trzecim i gorszym od poprzednich, bo tym razem dotyczyła Diecezji, jądra reaktora. Ale Desnos nie musiała już nikogo prosić o pozwolenie. Odtąd był to teren objęty śledztwem i do czasu wkroczenia sędziego śledczego żandarmeria i policja same decydowały o wszelkich czynnościach. Oczywiście anabaptyści mogli poskarżyć się Schnitzlerowi.

W niecałą godzinę Lehmann zdołał prześwietlić szczątki fresku. Niémans z niecierpliwością czekał na wyniki, chcąc zobaczyć pozostałą część odkrytego dzieła.

Poprosił Desnos, żeby po niego przyjechała. Musiał podzielić się z nią tym, co usłyszał od Paride'a, i przedstawić swoją hipotezę o innym zabójcy.

Była piąta po południu, a słońce już zachodziło.

– To się nie trzyma kupy – zauważyła Desnos.

– Zupełnie jak sklepienie kaplicy, tak?

Nie wyczuła drwiny. Prowadziła, niemal dotykając piersiami kierownicy, wyprostowana i poważna.

– Skoro zakładamy udział jeszcze jednego człowieka w tej sprawie, to dlaczego nie miałby on doprowadzić do zawalenia stropu?

– Ponieważ ten ktoś nie miałby powodu pozorować wypadku. Trup to wiadomość od niego.

– Założmy. Ale skoro Emisariuszom tak zależało na ukryciu morderstwa i upozorowaniu wypadku, to dlaczego zostawili kamień

w ustach ofiary?

– To bardzo proste. Nie zauważyli go.

Cisza zapadła w kabinie w chwili, gdy słońce całkowicie zniknęło za horyzontem. Zaczynała się długa jesienna noc, która tu, w Alzacji, niosła już srogość zimowych ciemności.

Przed Magazynem, oprócz żandarmów eskortujących Lehmana i jego ekipę, czekała delegacja Emisariuszy. Takich, których można było pokazać „światowym” – bez broni automatycznej i pistoletów.

O tym szczególnie Niémans nie wspomniał kapitan Desnos, bo musiałby ujawnić swoje źródło. Zdawał sobie sprawę, że już to, skąd wie o zgromadzonych w Magazynie szczątkach, może intrygować. Zresztą Desnos spytała go o to, wyłączając silnik.

– Jak pan się dowiedział, że fresk jest ukryty właśnie tu?

– Mam swoje źródła.

– To znaczy?

– Nie pytaj.

Niémans wiedział, że prędzej czy później będzie musiał wyjawić prawdę, ale chciał zyskać jeszcze trochę czasu. Ruszyli w stronę szopy. Policjant postawił kołnierz. Raz było mu zimno, raz gorąco.

W progu zwrócił się do swojej towarzyszki.

– Desnos, mogłabyś wyświadczyć mi przysługę?

– Słucham.

– Wróć na posterunek i spisz protokół przesłuchania Paride’a. Prześlę ci nagranie.

– Co takiego? Myślałam, że...

– Wiem, co myślałaś, ale nie ma sensu, żebyśmy byli tu oboje. Schnitzler będzie się domagał materiałów, czyli tekstów. Przesłuchanie Paride’a zadowoli go na kilka godzin. Przykro mi, śledztwo posuwa się skokowo.

Desnos odwróciła się na pięcie i rozwścieczona wróciła do samochodu. Tymczasem Niémans wszedł do szopy, gdzie tuż za progiem przywitał go Lehmann ubrany w biały fartuch. Konserwator był rozpromieniony.

– To niesamowite!

– Proszę zatem pokazać...

– Po prostu niesamowite!

Niémans nawet nie rozejrzał się po szopie. Widział tylko przestronne wnętrze, prawie puste, z czarnymi boksami przy ścianach. I czuł smród łajna. Zasuszonego i jakby przetrawionego przez czas i zimno.

Fresk leżał przed nim, w świetle reflektorów ekipy kryminalistycznej. Niémans pomyślał o monolicie z 2001: Odysei kosmicznej. Ale tu mineralna bryła była w kawałkach. Technicy krzatali się przy tych szczątkach ze skomplikowaną maszyną podobną do przyrządów geometry.

– Tędy – rzucił Lehmann.

Konserwator ustawił już na stołach swoje komputery. Tak jak poprzednio, na ekranach pojawiały się biało-czarne obrazy otoczone siną poświatą.

– To ta sama ręka, która malowała zachowaną część sklepienia – stwierdził Lehmann. – Jeden artysta ozdobił cały plafon kościoła. Trochę tak, oczywiście nie porównując, jak Michał Anioł w Kaplicy Sykstyńskiej.

To, co mieli przed oczyma, w niczym nie przypominało mocarzy tokańskiego mistrza. Po raz kolejny patrzyli na brutalność z pierwszego fresku, ale jakby spotęgowaną. Splątane ciała, krzyczące twarze, ognisty krajobraz: sceny biblijne przemienione w czysty koszmar.

Dziąsła były poczerwiałe, włosy wypadały całymi pasmami, oczy się zapadły. To wszystko wyglądało jak zdjęcia ofiar z Hiroshimy.

– Artysta wyraźnie ukazał tu cechy swego stylu. I te masy... To przedstawienie zbliża się już do piekielnych wizji Breughla Starszego i jego Triumfu śmierci. Wykrzywione w grymasie twarze, dbałość o detale... Pod tym względem zbliżamy się raczej do piętnastego albo szesnastego wieku.

– Jakie sceny ukazał artysta?

– Nie mam pewności. I tym razem są rozmieszczone na planie krzyża. Górna nie nastęrcza problemu, to Adam i Ewa...

Wychudzona para stała pod drzewem poznania – wynędzniałe sylwetki, skóra poczerwiała od lejącego się z nieba żaru. Temu artyście raj na ziemi nie jawił się jako miejsce radosne.

– Po lewej mamy wieżę Babel, klęskę ludzkich ambicji, rozproszenie ludzi, którzy nie mówili już tym samym językiem...

Malarz pozlepił kamienie i sylwetki ludzi, tworząc rodzaj hybrydowej piramidy – pół kamiennej, pół ludzkiej, by w ten sposób ukazać chaos...

– Nie potrafię natomiast z pełnym przekonaniem stwierdzić, co przedstawiają dwie kolejne sceny... Starzec przy młodzieńcu mógłby być Izaakiem, który błogosławi Jakubowi, albo Hiobem, który traci jedno z dzieci, a nawet Abrahamem, gdy przygotowuje się do złożenia syna w ofierze. Niezbyt wyraźnie to widać...

Niémans zastanawiał się, czy dobór motywów rzeczywiście jest ważny. On na razie był pod silnym wrażeniem ekspresji postaci, pełnych uniesienia spojrzeń, kości, które – jak się zdawało – lada chwila rozerwą ciało...

Lehmann wskazał dłonią na ostatni ekran, układając palce tak, jakby trzymał niewidzialne jabłko.

– Ta kobieta śpiąca pod krzyżem może być jedną z kilku starotestamentowych postaci. Muszę trochę poszperać.

Policjant miał raczej wrażenie, że kobieta dogorywała. Jej przysadzista sylwetka o krótkich rękach zdawała się leżeć w kałuży czarnej krwi. A może to był duży ślad osmalenia na ziemi. Napromieniowani z Saint-Ambroise, dobry tytuł artykułu w lokalnej prasie.

Lehmann cmoknął, a potem stwierdził:

– To fantastyczne. Ta kaplica stanie się naszą Kaplicą Sykstyńską!

Niémans mocno w to wątpił – Emisariusze nigdy nie pozwolą na ujawnienie odkrycia tych fresków, a już na pewno nie zgodzą się na usunięcie malowideł, którymi je pokryto. Te sceny były skazane na niebyt pod warstwą gipsu. Podziwiać będą je mogli tylko nieliczni wtajemniczeni, dzięki promieniom X.

– Na razie proszę pana o zachowanie dyskrecji. Te obrazy objęte są tajemnicą śledztwa.

– Ach tak... Rozumiem. Oczywiście.

Lehmann zapewne już wyobrażał sobie, jak opowiada w mediach o odkryciu tych skarbów i że jako ekspert wspierał śledztwo w sprawie morderstwa!

Tymczasem Niémans zastanawiał się, skąd Emisariusze wiedzieli o freskach. Czy i oni wpadli na pomysł, żeby użyć techniki rentgenowskiej? A może wspomniano o nich w jakichś starych tekstach?

Żeby zyskać na czasie, sfotografował iPhone'em monitory.

– Sądzi pan, że Emisariusze mogli sami uszkodzić rusztowania w Saint-Ambroise? – spytał, rozmyślając już o nowym scenariuszu. – Czy z technicznego punktu widzenia byłoby w stanie to zrobić?

– Dlaczego pan pyta?

– Proszę odpowiedzieć.

– Oczywiście. Wszyscy wiedzą, że potrafią w jeden dzień wybudować szopę, więc poradzenie sobie z paroma rurkami... Co pan podejrzewa? Wyłudzenie ubezpieczenia?

– Skontaktuje się z panem kapitan Stéphane Desnos – oznajmił. – Przekaze jej pan zdjęcia.

– Ale poinformuje mnie pan o rozwoju sprawy?

– Oczywiście – powiedział Niémans z uśmiechem, który przeczył słowom.

– Zależy mi na tym, ponieważ to odkrycie jest naprawdę... fantastyczne. Z punktu widzenia historii sztuki...

– Udało się panu dowiedzieć czegoś więcej o czasie powstania tamtych malowideł?

– Prace trwają. Ale tu najważniejsze są reakcje chemiczne. Trzeba cierpliwie czekać.

– Jak długo?

– Jeszcze kilka godzin.

– Proszę do mnie zadzwonić, gdy uzyska pan nowe informacje. I niech pan się postara zidentyfikować postaci z dwóch ostatnich scen.

Konserwator włożył smukłe dłonie do kieszeni białego fartucha takim gestem, jakby wsuwał noże do pochwy.

– A co z Emisariuszami? Będę potrzebował ich zgody na prowadzenie prac w tym miejscu, więc...

– Na razie jest pan moim ekspertem i może pan traktować całą Posiadłość jako miejsce zbrodni. Czy to panu wystarczy?

Lehmann cicho westchnął i na tym skończyli rozmowę.

Wracając do samochodu, Niémans wyjął telefon – nadszedł czas, żeby pogadać o tych koszmarach ze specjalistą od ikonografii biblijnej.

Z dobyłam dla ciebie informacje.

– O nic cię nie pytałam.

– Twój przyjaciel odszedł dziś rano.

– Jaki przyjaciel?

– Marcel Petrovic. Poprosił o wypłatę i odszedł. Jeżeli chcesz, mogę zdobyć jego rozliczenie, choć nie za bardzo lubimy grzebać w...

– To niemożliwe.

– Co jest niemożliwe?

Rachel powtórzyła to słowo ostrym jak brzytwa, agresywnym tonem.

Obie wracały z winobrania jedną z ciężarówek Emisariuszy. Dzień był niezwykły, bo na oczach osłupiałych robotników aresztowano jednego spośród nich. Ten dzień dobiegł też końca później niż inne, gdy ciemności już na dobre zawładnęły Ziemią.

– Nie wyjechałyby bez pożegnania ze mną.

– Było bardzo wcześnie. Na pewno jeszcze spałaś.

Ivana rozważała dwie możliwości: albo opowiedziano tę bajeczkę Rachel, a ona w nią uwierzyła, albo wtajemniczono ją w kłamstwo, by jako wysłanniczka Wspólnoty uspiła czujność Ivany.

Ivana przypatrywała się Emisariuszom, z którymi jechała. Ci ludzie nigdy nie uśmiechali się bez powodu, dziś jednak bili rekordy ponuractwa. Na pewno nie mogli dojść do siebie po ostatnich wydarzeniach. Najpierw śmierć Samuela, potem policyjne naloty – robiło się tego stanowczo za dużo.

Słuchając mówiącej półgłosem Rachel, Ivana zwijała sobie papierosa, żeby zająć czymś ręce. Może to dziwne, ale szum wiatru i warkot silnika sprawiały, że w tym samochodzie były jakby sam na sam, bo ludzie, którzy siedzieli tuż obok, skupiali się wyłącznie na własnych myślach. A Ivana nie bez zdziwienia przyjęła zaproszenie Rachel do ciężarówki Emisariuszy, mimo wspomnień z nocnej eskapady. Być może Rachel wciągała ją w pułapkę.

– Czy tej nocy Marcel był z tobą? – spytała Emisariuszka.

– Tak.

– Dlaczego?

– Zapłaciłam mu za pomoc w odnalezieniu gruzu ze sklepienia.

Rachel nie mieściło się to w głowie.

– Czego szukałaś? Te roztrzaskane cegły są takie ważne?

Ivana przypaliła papierosa.

– Mogłabym ci zadać to samo pytanie. Myślę, że ten fresk jest dla was niezwykle ważny.

– Ważny? My po prostu postanowiliśmy wyremontować kaplicę, i tyle. O co nas podejrzewasz?

Ivana milczała, delektując się cierpkim smakiem tytoniu. Jej oczy oswoiły się z ciemnością i teraz dokładnie widziała niezliczone rzędy winorośli, lasek, stoki... Były niczym kraty w bezkresnym więzieniu. Czy zdoła z niego uciec?

– Podejrzewam, że zmyślasz te historie, żeby napisać ciekawy artykuł – podjęła Rachel. – Nie zrozumiałaś sytuacji. Straciliśmy jednego z nas. A te twoje historyjki o freskach...

Ivana dostrzegła w mroku sylwetki wolno przechodzących przez polanę ludzi, którym obojętne były wieczorna mgła i niesiony przez nią przejmujący chłód.

– Co oni robią?

Emisariusze krzętałi się, dźwigali naręczą pędów, pchali taczki pełne liści i – co dziwne – ubrań. Mimo chłodu zdjęli marynarki, pozostając w czarnych kamizelkach od garnituru. Białe rękawy ich koszul odcinały się na czarnym tle.

Rachel lekko się uśmiechnęła.

– Jutro wieczorem zakończy się winobranie – oznajmiła, ożywiając się. – Przez całą noc aż do rana będziemy palić odpady po zbiorach, nieprzydatne pędy, zgniłe kiście, a także wszystko, co służyło do winobrania: odzież, buty, narzędzia...

– Po co? – spytała Ivana, czując gęsią skórkę.

– W Ewangelii Jana Jezus powiedział: „Ten, kto we Mnie nie trwa, zostanie wyrzucony jak winna latorośl i uschnie. I zbiera się ją, i wrzuca do ognia, i płonie”^[10]. Chrystus to nasze zbiory,

rozumiesz? Wszystko, co jest już bezużyteczne, ma spłonąć. Nazajutrz winnica pokrywa się popiołem. I dopiero wtedy możemy dziękować Bogu za winobranie, i modlić się za to przyszłoroczne. Nazywamy to „dniem popiołów”.

Ivana nie miała już siły, by oceniać takie pomysły. Tymczasem Emisariusze przystąpili do ustawiania stosów na polanie. Niektórzy przyklękli na ziemi, inni pochylali się nad taczkami. Im dłużej na nich patrzyła, tym głębsze ciemności ich otaczały. Przez to zdawali się maleć, aż całkowicie wtapiali się w mrok. Po chwili Ivana widziała już tylko rękawy koszul białe jak świece w ciemnym kościele.

– Ten rok jest szczególny – ciągnęła Rachel. – Mam nadzieję, że ogień wszystko wypali. Te dramaty, które na nas spadły. Skażenia, które zatruwają nasz świat, pasożyty, które zakradły się pomiędzy nas, zmyślając niesamowite historie, żeby wydrzeć nam tajemnice, których nie ma...

Ivana spojrzała na nią.

– Mówisz o... takich jak ja?

– Tak. Właśnie o takich jak ty.

Kancelaria parafialna miała siedzibę przy ulicy de la Fecht 6, przy kościele Notre-Dame de Brason. Budowla, jak na miasto tej wielkości, była potężna. Wzniesiona, jak większość gmachów w tym regionie, z różowego gresu, stanowiła typowy przykład stylu neoklasycznego, a jej kolumny, fronton i portyki nawiązywały do grecko-rzymskiej starożytności.

Niémans wysiadł z samochodu i skierował się do kościoła. Czuł niezwykle spokojny. To tu mógł odnaleźć swojego Boga, takiego, jakiego znał z dzieciństwa. Ten Bóg nadal był w jego oczach źródłem otuchy. Jakby dla wzmocnienia tych doznań właśnie w tej chwili rozbrzmiały dzwony.

Atmosfera uduchowienia wzniosła się nagle nad dachy, spowiła mury, przenikała pod progami. Świat z minuty na minutę odzyskał harmonię, uniwersalną logikę. Logikę z jego dzieciństwa, ilustrowaną obrazami, rzeźbami, widokiem kapłanów w złocie i purpurze...

Prawdę mówiąc, pokorna i skromna postawa Emisariuszy wzbudzała w nim lęk: ten niewidzialny Bóg bez twarzy i granic był przytłaczający, a surowość tych chrześcijan miała w sobie coś nieludzkiego. Wiara, którą którą niegdyś mu sprzedano, w niczym nie przypominała tego fanatycznego nieprzejednania. Była pobożnością poczciwych starych mieszczan w niedzielę odkupujących grzechy tygodnia, gdy ze spuszczonego oczyma przystępują do komunii i kładą banknoty na tacy...

Na prawej flance kościoła zobaczył masywny budynek z cegły, zapewne z XIX wieku. Mosiężna tablica informowała: „Parafia katolicka Notre-Dame de Brason”. Wcisnął dzwonek i czekał.

Pogrzebał w internecie i dowiedział się, że jednym z najlepszych w Alzacji znawców ikonografii chrześcijańskiej jest właśnie proboszcz tej parafii, ojciec Kosynski. Szczęśliwe zbiegi okoliczności czasem się zdarzają.

Wreszcie ktoś podszedł, by otworzyć drzwi. Policjant ujrzał nijakiego człowieka, prawdopodobnie wolontariusza, który go przywitał. Wiara wymaga poświęceń, bitwa wiarusów... Niémans powiedział tylko, że przyszedł do proboszcza, nie wyjaśniając po co, i nawet nie raczył pokazać odznaki. Nie było problemu: tu drzwi zawsze stały otworem.

Przeszli przez sekretariat, gdzie nad księgami pracowało kilka osób. Ciemne drewno, unosząca się w powietrzu woń stęchlizny, skrzypiący parkiet: trzeba było szczerze pragnąć wziąć ślub albo ochrzcić dziecko, by zakłócić ten stan hibernacji.

Kosynski wszedł po chwili, miał na sobie szaty sakralne: białą albę, zielony ornat, szmaragdową stulę. Wyglądał tak, jakby zamierzał odprawić mszę i wygłosić kazanie godne srogiego kaznodziei: poruszał się ciężkim krokiem, miał spłaszczoną twarz boksera, a jego gruba szyja niemal rozrywała koloratkę. Ten ksiądz po pięćdziesiątce stanowił dziwną mieszankę podniosłości i atletyzmu.

– Wracam z nieszporów – wyjaśnił z uśmiechem – a ministranci wystawili mnie do wiatru. Mają mecz siatkówki. Przecież nie mogłem im zabronić...

Kilka zdań wystarczyło, żeby ponury buldog zamienił się w uroczego shar peja. Jego głos i dobroduszość przełamywały lody.

– W czym mogę pomóc? – spytał, uśmiechając się od ucha do ucha.

Kosynski zabrał Niémansa do wychłodzonej zakrystii o rustykalnym wystroju. Płótno, ledwie woskowane drewno, gołe ściany i ten niezmienny zapach kadzideł, który unosił się w powietrzu niczym cierpka refleksja.

Siedząc przy pustym stole, pod gołą żarówką, Niémans obserwował duchownego, który zdejmował szaty liturgiczne. Co za twarz! A do tego postura napastnika rugby. Ale nade wszystko ten człowiek emanował szczerością. Ciepłe spojrzenie jego oczu, życzliwość uśmiechu były przeciwieństwem irytującej profesjonalnej pobłażliwości, jaką na ogół serwują wiernym księża, kiedy chcą okazać empatię.

Ale policjant nie zamierzał odpłacać tą samą monetą – postanowił okłamać proboszcza, nie mogąc przedstawić mu całej prawdy.

– Na razie prowadzimy dochodzenie w sprawie kradzieży – powiedział.

– Kradzież w Saint-Ambroise? Przecież tam nie ma czego ukraść.

Kapłan odwiesił ornat do normandzkiej szafy.

– Są freski.

– Jakie freski? Te na sklepieniu? Nikt nie dałby za nie nawet jednego euro. Prawdopodobnie namalował je jakiś miejscowy malarzyna w...

– Mówię o ukrytych freskach. Tych, które zabezpieczono i pokryto gipsem.

Duchowny w milczeniu uniósł brwi. Złożył stulę, potem zdjął albę, pod którą miał T-shirt z logo Red Hot Chili Peppers. Starannie odwiesił albę i z namaszczeniem zamknął drzwi szafy. Wydawało się, że w pełni kontroluje siłę swoich mięśni, a jego palce każdy gest wykonują delikatnie. Owca

Wreszcie usiadł na przeciwległym końcu stołu. Niémans miał wrażenie, że spotkali się na wielką ucztę, ale zapomniano podać im jedzenie.

– Przykro mi, że pana rozczaruję, ale nie ma żadnych ukrytych fresków.

– Skąd ta pewność?

– Ponieważ gdyby istniały, my pierwsi dowiedzielibyśmy się o tym.

– Od kogo?

– Od Emisariuszy i ich ekip technicznych. Arcybiskupstwo współfinansuje prace remontowe i konserwatorskie w kaplicy.

Niémans wyjął telefon i przez chwilę szukał zdjęć rentgenowskich.

– Proszę spojrzeć.

Kosynski pochylił się i wziął od niego telefon.

– Boże – szepnął, przesuwając obrazy. – To niemożliwe.

Patrząc na zdjęcia do góry nogami, Niémans stwierdził, że ani trochę nie oswoił się z tymi poczerniałymi gębami, pustymi oczodołami i szeroko otwartymi ustami.

– Plafony prześwietlono promieniami X?

– Ten, który pozostał nienaruszony, i fragmenty drugiego.

Kapłan zmarszczył brwi, jego oczy zdradzały zaskoczenie.

– Ale... Byłem przekonany, że runął...

– Emisariusze go zrekonstruowali. Odnoszę wrażenie, że zależy im na zachowaniu malowidła w oryginalnym kształcie. Moim zdaniem odnoszą się z czcią do scen ukrytych pod nowszą warstwą.

– Czczą je? Co pan chce przez to powiedzieć?

– Jeszcze nie wiem. Te obrazy chyba mają dla nich pierwszorzędne znaczenie. Pierwszorzędne i sekretne. Dlatego nie poinformowali o nich archidiecezji. I dlatego zawsze zakazywali konserwatorom badań kopuły.

Proboszcz patrzył na niego sceptycznie. Jego oczy mimowolnie, jakby wbrew niemu, wracały do obrazów widocznych na ekranie komórki.

– Proszę przyjrzyć się uważnie tym malowidłom – nalegał Niémans – i powiedzieć mi, z czym się ojcu kojarzą. Proszę ojca o to jako znawcę chrześcijańskiej ikonografii.

– Byłem nim w młodości.

– Jestem przekonany, że doskonale ojciec wszystko pamięta.

Kosynski pochylił się nad telefonem i długo patrzył na zdjęcia. W blasku ekranu jego twarz wyglądała jak maska, była nieodgadniona.

– W większości są to sceny biblijne, głównie starotestamentowe. To ciekawe, ponieważ ich zestawienie jest dość nietypowe i...

– To już wiem. Proszę przyjrzeć się dwóm ostatnim scenom. Co ojca zdaniem przedstawiają?

Duchowny powiększył obrazy na ekranie dotykowym.

– Powiedziałbym, że... to Izaak błogosławiący swemu synowi Jakubowi.

Lehmann już przywołał tę scenę z Księgi Rodzaju.

– A drugi? Ta śpiąca kobieta?

Proboszcz dość długo się zastanawiał. Jego oczy zasnuły się łzami, ale nie był to wynik wzruszenia, tylko działania miliardów kryształków, które drażniły mu źrenice.

– Być może to śmierć Racheli, ale nie jestem pewien.

– Co to za opowieść?

– Właściwie to nie opowieść. Rachela była jedną z żon Jakuba. Początkowo bezpłodna, w końcu wydała na świat dwóch synów i zmarła po urodzeniu młodszego, Beniamina.

– To wszystko?

– Prawie. Umarła w drodze do Efraty, jak inaczej nazywano Betlejem. Jej grób, symbol wygnania do Babilonu, stał się miejscem świętym.

– A co mógłby mi ojciec powiedzieć o stylu tych obrazów?

– Robią ogromne wrażenie. Wiele detali przypomina manierę późnego średniowiecza, ale równocześnie...

– Równocześnie?

– Podejście jest zdumiewająco nowoczesne, no i ta mroczna spójność.

– Czy kojarzy się to ojcu z innymi dziełami? Z pędzlem któregoś z malarzy? Z jakąś regionalną szkołą?

– Szczerze mówiąc, nie. Pokazywał je pan Emisariuszom?

– Nie ma sensu. Moim zdaniem od dawna wiedzą o ich istnieniu. I starannie je ukryli.

– Dlaczego?

Niémans bez słowa zabrał telefon z rąk duchownego i wstał.

– Proszę podać mi adres e-mail, prześlę ojcu te obrazy.

Kosynski zapisał adres.

– Niech ojciec jeszcze nad tym pomyśli – dodał policjant. – Te sceny mają szczególne znaczenie.

Kapłan także się podniósł – sięgał Niémansowi ledwie do ramienia, a mimo to komendant czuł, że mógłby go podnieść i przetrzucić przez całą zakrystię.

– To takie istotne?

– Dla Emisariuszy bardzo, a ja chcę zrozumieć dlaczego.

– Jest pan pewien, że wiedzą o tej całej sprawie?

– Ponad wszelką wątpliwość. Następnym razem, kiedy będziecie chcieli zaangażować się w jakieś remonty, wybierajcie bardziej wiarygodnych partnerów.

Duchowny w roztargnieniu pokiwał głową. Ta rozmowa chyba sprawiła, że się pogubił. A może po prostu nie wiedział, co sądzić o obrazach, które zobaczył. O tych scenach wpisujących się w pamięć i rozpalających mózg.

– With the birds I'll share this lonely viewin'^[11] – szepnął proboszczowi do ucha Niémans.

Ten cytat z Red Hot Chili Peppers ostatecznie dobił Kosynskiego. Niémans rzucił mu swój uśmiech drapieżnika i wyszedł.

Na zewnątrz chłód jeszcze się nasilił, jakby fale – wysokie, czarne i lodowate – dotarły tu i muskały szkarłatne mury kościoła.

Kosynski nie powiedział mu nawet dziesiątej części tego, co wiedział. Drobiazg. Niémans miał już nowy pomysł.

Nadszedł czas, żeby ściągnąć posiłki.

Kiedy już wsiadł do auta, przez chwilę napawał się znajomą atmosferą.

W samochodzie panował typowy rozgardiasz. Przewody radia były poskręcane, walało się mnóstwo papierów, notesy z zeznaniami... Ale było też coś nowego – komputer połączony z kamerami, które odczytywały numery rejestracyjne, i radar szacujący prędkość pojazdów...

Przede wszystkim jednak unosił się tu znajomy zapach: pocziwy smrodek starego żarcia, nudnej rutyny, całej głębi ludzkiej psychiki, skompresowanej pod dachem porządku i prawa. A tak naprawdę – było tu całe jego życie.

Sięgnął po komórkę i wybrał numer opactwa des Bruyères, usytuowanego pod Épinal w Lotaryngii. Miał już dość. Znudziło mu się to muskanie zagadki tylko z zewnątrz. Miał dość krążenia wokół monolitu milczenia i mroku. Nie zamierzał dłużej pozostawać tym wykluczonym i nie znać tajemnicy, o której mówi się szeptem, czasem groźnym, czasem czającym się w ciemności.

Odczekał co najmniej dwadzieścia sygnałów, zanim ktoś wreszcie podniósł słuchawkę, ale był to całkiem znośny czas jak na miejsce, gdzie każdy telefon traktowano jak napaść zakłócającą spokój i skupienie garstki żyjących w samotni mnichów.

– Halo?

Głos zabrzmiał jak wystrzał.

– Czy mógłbym mówić z Érikiem Aperghisem?

– Nie ma tu nikogo takiego.

Zawsze dziwiło go, że w zakonach, których mieszkańcy upodobniali się do kamiennych murów klasztoru, mówiło się jeszcze normalnym językiem.

– U was nosi imię Antoine. – Niémans westchnął.

– W naszej kongregacji nie ma nikogo o tym imieniu.

– Ale on nie jest zakonnikiem. – Niémans zaczynał się irytować. – Po prostu każdej zimy spędza jakiś czas w opactwie, żeby się wyciszyć. Jest oblatem.

Chwila ciszy. Rozmówca doskonale wiedział, o kim mowa, ale starał się chronić gościa opactwa.

– Bracie – nalegał Niémans – doskonale wiem, że Éric przebywa w klasztorze. Jestem z policji kryminalnej i szczerze radzę poprosić go do telefonu.

I znów ta cisza, narastająca jak łącha piachu i żwiru od niepamiętnych czasów nanoszonych przez rzekę.

– To niemożliwe – wyszeptał w końcu zakonnik. – Po przyjeździe, w ubiegłym miesiącu, złożył śluby milczenia.

Niémans zdusił ryk, a może raczej wybuch śmiechu. Oni wszyscy zaczęli go naprawdę doprowadzać do szewskiej pasji.

– W takim razie proszę mi podać wasz adres mailowy.

– Ale...

– Do diabła, proszę mi podać ten adres!

Mężczyzna podał szereg liter i cyfr, a Niémans notował, posługując się trybem głośnomówiącym. Mógł poprosić o przesłanie tego adresu SMS-em, ale obawiał się, że tamten się rozłączy i nie spełni prośby.

– Prześlę bratu adres żandarmerii w Breson w Górnym Renie – dodał. – Proszę przekazać go Érikowi i powiedzieć mu, żeby natychmiast ruszył tyłek. I że to prośba Niémansa. N-I-É-M-A-N-S-A, jasne?

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Jeżeli nie pojawi się tu do jutra, osobiście po niego przyjadę i zapewniam, że nie obejdzie się bez piekielnego zamętu w waszym ermitażu.

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

Zanim ruszył, zadzwonił jeszcze do Desnos. Stała się dla niego czymś w rodzaju napoju energetyzującego. Od czasu do czasu musiał wypić łyk, zanim pokonał kolejny odcinek bieżni.

– Spisałaś już protokół przesłuchania? – spytał.

– Proszę nie traktować mnie, jakbym była idiotką.

Desnos sprawiała wrażenie obrażonej.

– Skończyłaś czy nie?

– Oczywiście, ale nic pan nie zyska, każąc mi siedzieć za biurkiem.

– Wysłałaś go Schnitzlerowi?

Westchnęła.

– Niech pan posłucha, Niémans. Nie obchodzi mnie, że jest pan zaprzysięgłym macho. To, że uważa się pan za najlepszego glinę we Francji i gardzi wszystkimi, którzy noszą mundury, to pana problem. Ale prowadząc te osobiste gierki, opóźnia pan śledztwo i drepcze w miejscu.

Niémans czuł, że musi wysłuchać tych pretensji, bo skoro Desnos pozwalała sobie na taki ton, to na pewno miała asa w rękawie.

– Na szczęście nie ograniczam się do wypełniania pańskich bzdurnych zleceń – ciągnęła, nie dając mu czasu na odpowiedź. – Pomyślałam sobie, że zapomnieliśmy przesłuchać człowieka z pewnością wartego uwagi.

– Czyli kogo?

– Ibrahima Molleca. To asystent Patricka Zimmermanna. Młody lekarz, który podczas sekcji znalazł kamień w ustach denata.

Przypomniał sobie o tym szczególe, którego lekarz sądowy może w ogóle by nie zauważył, gdyby nie jego asystent.

– Zadzwoniłaś do niego?

– Prześlę panu jego dane. Jest rezydentem w Centrum Chirurgiczno-Położniczym w Schiltigheim.

– Rozmawiałaś z nim czy nie?

– Tak. I to, co ma do powiedzenia, jest bardzo interesujące.

– Streść.

– Nie ma mowy. To nabierze większej wagi, jeśli on sam panu o wszystkim opowie. Pogadacie jak facet z facetem.

Te ostatnie słowa wypowiedziała ironicznym tonem. Teraz był już pewien, że Stéphanie natrafiła na coś istotnego.

Rozłączył się i wybrał numer asystenta. Wciąż tkwił na pustym placu przed czerwonym kościołem. W samochodzie było gorąco, a on czuł, że dopadła go czarna rozpacz. Jakby dusił się w oceanie samotności.

Lekarz miał akurat dyżur, odebrał telefon między dwoma porodami. A zatem Zimmermannowi, który był pediatrą, asystował adept położnictwa... Podejście do medycyny sądowej było w Alzacji wyjątkowo beztrioskie.

– Powiedziałem już wszystko pana koleżance.

– W takim razie będziesz musiał to powtórzyć, tym razem mnie.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy przeszli na ty.

Głos był młody i niski, ale wyczuwało się w nim oznaki chronicznego stresu. A może była to po prostu ta stara nienawiść do psów.

– Tak czy inaczej – dodał lekarz – przez telefon nic panu nie powiem. Skąd mam wiedzieć, że naprawdę jest pan gliną?

Niémans tylko się uśmiechnął – ten irytujący telefon był drobną zemstą Desnos. Wiedziała, że Mollec go spławi, i z góry się tym cieszyła. On jednak nie po raz pierwszy w karierze zetknął się z oporną zwierzyną.

– Policjanci mają zwykle dwie możliwości – wyjaśnił tonem cierpliwego wujka. – Pierwsza to formuła szybka, druga powolna. Albo pogadamy pięć minut przez telefon, albo wyślę po ciebie żandarmów. Spędzisz na posterunku całą noc, o ile dopisze ci szczęście. Decyduj...

Cisza przerywana stukaniem i dźwiękami w tle. Lekarz otwierał drzwi, schodził po schodach, szedł przez hol. W końcu wycie wiatru i odgłos zapalniczki – był gotów. Skoro już miał tracić czas na rozmowę z gliną, to mógł sobie przynajmniej zapalić.

– Co pan chce wiedzieć?

– Dzwonię w sprawie tego kamienia w...

– To nie był kamień...

– Jak to?

– Kiedy wyciągnąłem go z gardła Samuela, wyglądał na odłamek gresu czy czegoś w tym rodzaju. Okazało się jednak, że był biały od pyłu.

– Czyli co to było?

– Przypuszczam, że węgiel. Węgiel drzewny, sądząc po tym, jak był lekki.

Mimo że nic nie uzasadniało znalezienia węgla drzewnego na rumowisku, Zimmermann nie zadał sobie nawet trudu, żeby opisać to znalezisko. To już naprawdę było dno.

– Dlaczego lekarz prowadzący nie wspomniał o tym detalu?

– Bo ma to gdzieś. Przechodzi na emeryturę, a poza tym właściwie nie jest lekarzem sądowym.

– Co jeszcze możesz mi powiedzieć o tej autopsji?

– Nic. Jeśli pominąć ten niby-kamień, ciało było bezkształtną masą mięsa i kości zmiażdżonych przez tony gruzu.

– Dziękuję, Ibrahimie.

Niémans oceniał wagę nowej informacji – niemal czuł ten kawałek węgla drzewnego w dłoni. Rytuał mordercy nabrał teraz nowego znaczenia – był gestem przemyślanym i zaplanowanym dawno temu. W Saint-Ambroise nie było ani węgla, ani koksu, ani żadnej innej kopaliny służącej jako opał. Zabójca musiał przynieść rekwizyt, który był mu potrzebny do inscenizacji.

Chyba że Emisariusze dokonali rytuału przed pogrzebaniem zwłok pod gruzami? Nie. Im dłużej Niémans się nad tym zastanawiał, tym bardziej skłaniał się ku trzem etapom zdarzenia.

Bójka między Paulem Paride'em a Samuelem.

Śmierć anabaptysty z ręki nieznanego sprawcy.

Uszkodzenie rusztowań przez Emisariuszy.

Węgiel drzewny.

Nie miał pojęcia, co począć z tą nową informacją, niejasno wyczuwał jednak, że ów trop ma coś wspólnego z osmalonymi twarzami z fresków ukrytych pod nowszą warstwą kopuły Saint-Ambroise.

Która spłonęła kilkaset lat temu...

Ivana precyzyjnie się pod drutem kolczastym i ruszyła w stronę lasku, żeby wreszcie ukryć telefon komórkowy. Wieczór minął zupełnie normalnie: wykąpała się, przebrała, poszła na kolację i jadła za czterech. Po trosze, żeby przewyciężyć zmęczenie, a po trosze, żeby uciszyć kipiący w niej gniew.

Lekcja udzielona przez Rachel stanęła jej ością w gardle. Musiała znosić patetyczne uwagi młodej kobiety, podając się za przedstawicielkę znienawidzonego przez siebie zawodu: dziennikarkę. Najgorsze było jednak to, że teraz utknęła w ślepym zaułku. Rachel nie chciała z nią już rozmawiać, a na zbliżenie do innych Emisariuszy przed końcem winobrania Ivana nie miała szansy. Emisariuszka na pewno uprzedziła starszyznę, czyli Jakoba i jemu podobnych, i teraz wszyscy mieli ją na oku. To cud, że wieczorem udało jej się wymknąć.

Przy kolacji nie zamieniła z nikim ani słowa. Myślała o Marcelu. „Jednej duszy wam zabrakło, wszystko spustoszało!”^[12], powiedział Lamartine, a może Chateaubriand albo ktoś inny. Docierało do niej, że nie był tylko kompanem tej katorgi. Rozpoznała w nim bratnią duszę, towarzysza niedoli, człowieka z marginesu poszukującego swojej drogi i jak ona znającego tylko jeden kierunek: ucieczkę naprzód.

Rachel kłamała. Marcel miałby tak po prostu odejść nazajutrz po ich wyprawie, bez słowa pożegnania? Raczej nigdy po tej nocnej ucieczce nie wrócił! Czy Emisariusze go dopadli i gdzieś zamknęli? Ivana nie bardzo mogła uwierzyć w tę wersję – dysponowali służbą porządkową z prawdziwego zdarzenia, nade wszystko byli jednak pokojowo nastawionymi posiadaczami winnicy. Trudno byłoby ich sobie wyobrazić w roli oprawców czy porywaczy.

A poza tym nie mieli żadnego motywu, by więzić Marcela. Cóż kompromitującego miałby zobaczyć, skoro ona niczego takiego nie

widziała? Znaleźli tylko ten fresk zrekonstruowany w jednej z szop, nic wartościowego...

Zbliżała się do ciemnej ściany lasu. Pod jej butami oszroniona trawa pękała jak skorupka na crème brûlée. Krajobraz, delikatnie pobielony, bardzo się zmienił. Pnie, korony drzew, zarośla – wszystko wyglądało jak rażone lodowym piorunem.

Przechodząc między kolczastymi krzewami, zahaczając o gałęzie, nawet nie widziała jeszcze celu tej wyprawy. Była już na skraju rozpacz, kiedy wreszcie wyłonił się znajomy dąb. Czarny jak marmurowa kolumna, miejscami omszały, stał się dla niej niczym latarnia morska i przywrócił ład tej nocy.

Przeszła jeszcze kilka kroków i nagle się przewróciła, z trzaskiem łamiąc i miażdżąc chrust i trawę.

– Cholera! – zakłęta pod nosem, wypuszczając kłęby pary.

Z trudem się podniosła i odruchowo spojrzała w dół, szukając przeszkody, która ją powaliła.

Zobaczyła je od razu.

Jakby wsparte o omszałe korzenie, u jej stóp leżało ciało. Spowita nocną mgłą twarz wykrzywiała się w przerażającym grymasie bólu.

Ivana drżącymi rękami wyszukała w kieszeni telefon komórkowy. Włączyła latarkę i skierowała snop światła na zwłoki.

Marcel... Pochyliła się, ciężko dysząc, bezwiednie dotknęła go palcami, chcąc sprawdzić puls. Dopiero potem oświetliła jego twarz. Zamiast ust miał ziejącą ranę otoczoną szronem. Zęby nie były jego silnym atutem, ale i te, które zachował, wyrwano mu, i to bez zachowania delikatności.

Policjantka z coraz większym trudem chwytła oddech. Przemarznięta, zszokowana, bliska rozpacz, z trudem powstrzymywała łzy. Kto mu to zrobił? I dlaczego?

Kontynuując oględziny, odkryła, że obcięto mu po dwa paliczki każdego palca. Jego kończyny – i ręce, i nogi – były pozginane w sposób świadczący o licznych złamaniach.

Ale najgorsza – co dotarło do niej dopiero po chwili – była inna rana: Marcelowi wypruto flaki, a jakby tego było mało, uduszono go jelimem cienkim, niczym szarym sznurem zesztyniałym na mrozie i owiniętym wokół szyi jak liana.

Ivana padła na kolana. Znalazła się w czarnym, wilgotnym tunelu. Dusząc się, brnęła przez ciemną noc, która zdawała się nie mieć końca.

A potem bardzo wolno dotarła do niej kolejna oczywistość.

Te zwłoki nie znalazły się tu przypadkiem. Udręczone ciało było przesłaniem adresowanym właśnie do niej. Ci, którzy zmasakrowali Marcela, wiedzieli, że była z nim w zмовie. Wiedzieli, że nie przyjechała, żeby dorobić na winobranii. Wiedzieli, że była wczoraj w Magazynie. I wiedzieli też, że pod tym dębem ukryła telefon.

Odchyliła się i usiadła na zwiędłych liściach i mokrej ziemi, patrząc przed siebie pustymi oczyma, które odzwierciedlały to, co działo się w jej głowie. Widok nieszczęśnika odartego z wszelkiej godności, brutalnie pozbawionego wszelkiej przyszłości, wprawił ją w osłupienie. Trwała tak, nie licząc minut; czuła tylko, jak wilgoć przesiąka przez jej ubrania, z wolna docierając do skóry. Nie miała już nawet energii, żeby się bać, że ktoś ją tu przyłapie albo zaatakuje.

W końcu wyrwała się z letargu i podniosła upuszczony na ziemię telefon. Zgrabiętymi z zimna palcami zdołała wyłączyć latarkę i tryb samolotowy.

Jakimś cudem usłyszała sygnał.

Została jej jedna kreska baterii.

Jeden ruch kciuka, cichy dźwięk: Niémans...

– Halo?

Znajomy chrapliwy głos, który chciała usłyszeć. W kilku słowach, dysząc, opisała mu sytuację.

– Uspokój się.

Szłochała, tłumacząc mu, że to wszystko jej wina; że wciągnęła w to Marcela, chociaż nie chciał; że...

– Uspokój się – powtórzył.

Ale ona mówiła dalej – nabrawszy tchu, wróciła do normalnego rytmu: szopa, układanka z kamieni, Emisariusze...

– Dość tego! – krzyknął Niémans. – Gdzie teraz jesteś?

Podawała mu wskazówki. Poza Posiadłością żandarmi mogli dyskretnie interweniować, nie forsując po raz kolejny bramy Diecezji.

- Przyjadę z ludźmi. Nie ruszaj się.
- Nie.
- Co znaczy: nie?
- Wracam tam.
- Wykluczone. Kończymy te wygłupy.
- Dopóki wciąż oficjalnie mnie nie zdemaskowali, będę kontynuowała...
- Przed chwilą powiedziałaś mi, że jesteś ostatecznie spalona i że ten trup oznacza wyrok śmierci wydany na ciebie.
- Sama nie wiem. Nie wiem, kto zabił Marcela. Nie mam pojęcia, co właściwie wiedzą. Nie wiem nawet, czy to Emisariusze, czy jacyś inni fanatycy...
- Przez chwilę oboje milczeli. Niémans prawdopodobnie szacował, jakie są szanse nakłonienia jej do zmiany zdania. I uznał, że zerowe.
- Dobrze – skapitulował. – Ale zatrzymaj telefon. Zadzwonię, kiedy już tam będę.
- Nie odważyła się odmówić. To wszystko robiło się zbyt ryzykowne, żeby upierać się przy solowej rozgrywce. Teraz musiała zostać w kontakcie z Niémanssem.
- Zresztą nie była w stanie dyskutować. Z trudem przychodziło jej mówienie, a nawet oddychanie. Paraliżowała ją wszechogarniająca panika. Czuła przytłaczający strach, a serce ścisnęło jej się do rozmiarów pestki brzoskwini.
- Za ile?
- Góra pół godziny.
- Jak wytłumaczysz to odkrycie?
- Niémans tylko się zaśmiał – okrutnie i gorzko. Jakby rzucał wyzwania śmierci.
- A kto odważy się pytać?

Każ im wyłączyć reflektory i koguty.

Niémansowi zależało na załatwieniu tego po cichu, żeby nie pogarszać dodatkowo sytuacji Ivany i zaskoczyć Emisariuszy. Wokół pierwszych zwłok zbyt dużo było dywagacji. To nowe morderstwo chciał wykorzystać jak pocisk, stawiając Emisariuszy przed oczywistymi faktami.

Ale najpierw trzeba było znaleźć miejsce i dokonać oględzin.

Wraz z Desnos jechali przodem, prowadząc kolumnę. Kapitan siedziała za kierownicą; lewą ręką sięgnęła po radio i przekazała rozkaz. I natychmiast w bocznym lusterku pojazdy żandarmerii wtopiły się w ciemności niczym okręty podwodne w morską toń.

Desnos również wyłączyła światła. Kiedy oczy Niémansa przywykły do mroku, zobaczył, jak po obu stronach drogi wyłaniają się spośród nocy symetryczne rzędy winorośli. Zdawały się kołysać i unosić, jakby miały na dobre wznieść się ponad mgłę ścielącą się nad ziemią.

Odkrycie Ivany oznaczało, że czysta, boska przemoc wtargnęła już na obrzeża Diecezji. Taka, na jaką nieświadomie czekał, targany lękiem i zniecierpliwieniem. Nad tą Posiadłością od początku unosiła się woń żelaza i rozkładu, jakby odchody metalu...

– Dojeżdżamy, komendancie – powiedziała Desnos, kiedy mijali namioty robotników sezonowych widoczne za ogrodzeniem.

Zerknął na nią i pomyślał, że w tym mundurze komandosa ledwie oddycha. Chwytała drobne łyki powietrza – tyle, ile mogła w tej ciasnej, zapiętej pod brodę kurtce i kamizelce kuloodpornej krępującej klatkę piersiową.

Niémans przedstawił jej sytuację, jakby się spowiadał – półgłosem, dobitnie wymawiając każdą sylabę.

– Nikomu ani słowa – zakończył.

Zaparkowali przy drodze, tuż za laskiem opisanym przez Ivanę. W tym miejscu nie mogli ich zobaczyć ani Emisariusze, ani nawet

przebywający w obozowisku robotnicy sezonowi.

Policjant zerknął w boczne lusterko – żandarmi wyskakiwali kolejno z ciężarówek, kurczowo trzymając karabiny, i przemknęło mu przez myśl, że przypominają ludzi chwytających się drabiny strażackiej. Na miejscu byli też technicy kryminalistyki, ci ściągnięci z Lyonu, którzy wciąż nie mogli wyjechać, a w białych kombinezonach wyglądali jak w piżamach.

Niémans i Desnos również wysiedli z wozu. Winnice zostały za nimi; teraz wokół rozciągały się łąki i lasy. Wiał zimowy wiatr, wszędzie było pusto. Trawy kołysały się jak na dnie morza, krzewami targały spazmy, drzewa drżały aż po korzenie.

– Tam – wskazał Niémans.

Desnos spojrzała na niego z ukosa – skąd miał te informacje? Kto go powiadomił? Policjant ruszył pierwszy, żeby uniknąć pytań. Pochyleni przeszli przez łąki, gdzie zimne podmuchy wiatru smagały im twarze (choć chwilami wydawało się, że wieje z boku). Na skraju rozległego szmaragdowego pola majaczył las. A może raczej zagajnik, sądząc po wysokości drzew.

Niémans szedł, zmagając się z ogarniającą go złością. Było oczywiste, że Marcela nie torturowano, żeby wydusić z niego to, co wiedział, ale żeby się przekonać, że nic nie wie. Ci ludzie obcięli mu palce, by zyskać pewność, że niczego się nie domyślił. Co z Ivaną? Dlaczego poprzestali na zastraszeniu jej, zamiast też poddać ją przesłuchaniu? Może wiedzieli, że jest policjantką?

Wszyscy zatrzymali się pod lasem. Odruchowo, tak jak robi się głęboki wdech przed zanurzeniem głowy w wodzie, Niémans spojrzał w górę, na księżyc, ten gładki dysk z masy perłowej rzucony na czarny jedwab, a potem zwrócił oczy na Desnos. Trzymała karabin tak, jak ją nauczono, z prawym palcem nad spustem. Na pewno nigdy nie strzelała, pomijając ćwiczenia i testy.

Niémans dobył broni i wprowadził nabój do lufy, dając innym przykład. W odpowiedzi usłyszał szcęk metalu. Przeszedł go dreszcz. Komendant był jeszcze wśród żywych...

– Kiedy znajdziemy się na osłoniętym terenie, zapalamy latarki.

Pierwszy wszedł między drzewa. Trudny teren. Płatanina korzeni i traw pod nogami spowalniała każdy krok, gałęzie drapały go po

ramionach, chłostały twarz. Wyobraził sobie Ivanę samą w tym nieprzyjaznym lesie. W szoku, gdy ujrzała zwłoki... Heroina naszych czasów...

Roślinność była tak gęsta, że niczym ściana zatrzymywała wiatr i w pewnym sensie ich chroniła. Ale światło jego latarki też nie przedzierało się przez zarośla. Niémans szedł na oślep, coraz wolniej. Za nim inni, idąc gęsiego, także się męczyli. To była iście afrykańska wyprawa – żołnierze i tragarze w sercu dżungli...

I wreszcie polana. Dąb porośnięty mchem, z widocznymi korzeniami. Ten, o którym mówiła mu Ivana.

Wszystko się zgadzało – było drzewo, plama mchu, gałęzie.

Wszystko, poza najważniejszym: brakowało trupa.

To niemożliwe.

– Powtarzam ci, że stoję pod dębem. Ani śladu zwłok.

Ivana mówiła szeptem, zadyszana. Pewnie ukryła się gdzieś, żeby odebrać telefon.

– Czy ty przynajmniej mi wierzysz?

– A jak ci się wydaje? Ta wiadomość była dla ciebie i tylko dla ciebie. Ciało obróciło się w nicość.

– Będziecie szukali?

– Oczywiście, ale nie robię sobie większych nadziei. Jadę po ciebie. Zabawa skończona.

– Nie ma mowy.

– Nie wygłupiaj się. Nie mam ochoty znaleźć cię z zębami w kieszeni i szalikiem z jelit na szyi.

– Gdyby chcieli mnie zabić, już by to zrobili. Mam jeszcze asa w rękawie.

– Na to jest za późno i dobrze o tym wiesz. Zostawili ciało w tym miejscu, bo wiedzą, kim jesteś i co robisz. Wiedzą wszystko.

Odpowiedziało mu milczenie, ale na szczęście już nie łązy. Prawie słyszał, jak trybiki jej mózgu pracują z szybkością procesora.

– Przesłuchacie Emisariuszy?

– A w jakiej sprawie? O świcie, jeżeli niczego nie znajdziemy, wracamy na posterunek i czekamy. Masz broń?

– Nie.

– Gdzie teraz jesteś?

– Wyszłam z namiotu, żeby odebrać telefon.

Niémans westchnął.

– Wracaj i się prześpij. Zadzwonię, kiedy tu skończymy.

– Nie połączysz się ze mną.

– Dlaczego?

– Bateria prawie siadła.

Rzut oka na zegarek: dochodziła północ.

– Widzimy się w kaplicy o piątej rano. Będziesz mogła podładować komórkę. Omówimy wszystko i podejmiemy decyzję.

– Zgoda.

– Ivana...

– Co?

– Nic.

Rozłączył się i dopiero wtedy uświadomił sobie absurd całej tej sytuacji. Piętnastu ludzi, którzy nie mieli nic do roboty w tym lesie, w środku nocy. Uzbrojeni po zęby, gotowi do interwencji.

– Komendancie, może mi pan wyjaśnić, o co tu chodzi?

Desnos podeszła do niego. Oddalił się od grupy, żeby zadzwonić. Kapitan mówiła szeptem. Prawdopodobnie nie chciała ośmieszać go przed ludźmi. Ta żalosna nocna wyprawa, cały ten rynsztunek, wręcz komiczny w obecnej sytuacji. Niémans i bezsens, kompletny bezsens.

– Zabezpieczyć teren, przeszukać okolicę – rozkazał.

– A czego szukamy? Nadal zwłok?

– Tak.

– Co z technikami?

– Niech sprawdzą centymetr po centymetrze obszar wokół dębu. Zwłoki tam leżały. Musiały zostać jakieś ślady, odciski butów.

– Do kogo pan dzwonił?

Niémans bez słowa wsunął telefon do kieszeni.

Po chwili wahania rzucił:

– Chodź ze mną. Wsiądźmy do samochodu.

Wybiła godzina.

Kiedy już wsiedli do auta, popatrzył na partnerkę. W mundurowej kurtce i czarnej kominiarce na głowie wyglądała jak kierowca odśnieżarki. Potem jednym tchem wyrzucił to z siebie. Mówił o Iwanie, która zatrudniła się w winnicy, o ukrytym telefonie, o garści informacji zdobytych od wewnątrz, o prawdopodobnym zamordowaniu robotnika sezonowego... Desnos słuchała go jak przez ścianę wiatru i zimna, nerwowo kiwając głową. Z zaciśniętymi ustami. Musiała przełknąć nie tylko nowe informacje, ale także fakt, że Niémans od początku wodził ją za nos i oszukiwał.

– Kiedy zamierzał mi pan o tym powiedzieć?

Zastanawiał się nad odpowiedzią, którą byłaby w stanie zaakceptować, jednak uznał, że prawda będzie lepsza.

– Pod koniec śledztwa, gdy morderca siedziałby już w areszcie.

– Chwila triumfu, tak? Policjant mądrzejszy od innych?

– Zgadza się. Paryska ekipa, z którą nikt nie może się równać.

Powiedział to drwiącym, podszytym goryczą tonem. Szydł z siebie i ze swojej głupiej pychy.

– Pieprz się – warknęła, wysiadając z wozu.

Wróciła do lasu w ciepłej kurtce wzdętej jak żagle statku.

– Stéphane! – krzyknął, biegnąc za nią.

Chwycił ją za rękę. Spojrzenie, jakim go obrzuciła, zabolalo bardziej niż siarczasty policzek. Jej twarz poczerwieniała na wietrze, a może raczej – z gniewu i rozczarowania.

– Posłuchaj mnie. Ta infiltracja, zakopany telefon, ukradkowe rozmowy to był błąd. Zapewniam cię, gorąco żałuję tych idiotycznych metod. Ale teraz muszę jak najszybciej wyciągnąć stamtąd partnerkę i uporać się z poczuciem winy. Ja...

– Nie zamierzam wysłuchiwać pańskich zwierzeń.

– W takim razie powiem inaczej! – wrzasnął. – Mamy dwa trupy. W pierwszym przypadku ledwie starczy nam dowodów, by podjąć

śledztwo w sprawie morderstwa. W drugim nie mamy nawet ciała. A w całym tym bagnie tkwi moja partnerka, która jest dla mnie kimś więcej niż koleżanką z pracy. Nie muszę ci chyba tego tłumaczyć... I która teraz prowadzi grę z amiszami we wspólnocie, wybacz to określenie, coraz mocniej śmierdzącej trupem. Dlatego jesteś mi naprawdę potrzebna.

Stali twarzą w twarz, kołysząc się jak dwoje marynarzy na pokładzie statku.

– Ty i ja – ciągnął – wyciągniemy stamtąd Ivanę i rozwikłamy zagadkę tych dwóch pieprzonych morderstw. Udowodnimy wszystkim, że gliniarz i żandarm to więcej niż spluwa u pasa i kajdanki.

Desnos udawała, że się waha, ale Niémans wiedział, że już podjęła decyzję. Tak naprawdę ani przez chwilę nie zamierzała zbaczać z kursu i kapitulować, dopóki nie dopadnie sprawcy. Niémans potrafił rozpoznać prawdziwego gliniarza, kiedy takiego spotkał.

Wsunęła ręce do kieszeni, a to oznaczało złagodzenie tonu – nie jak te palce na pasie. Wiatr coraz mocniej wzdymał jej kurtkę, toteż wyglądała jak barczysty, masywny facet.

– Jak ma wyglądać dalszy ciąg śledztwa? – spytała, mrugając gwałtownie.

Niémans tylko się zaśmiał.

– Nie mam bladego pojęcia!

Co pan tu robi?

Wrócili właśnie na posterunek, który przypominał teraz górskie schronisko – opatuleni w ciepłe kurtki i kamizelki kuloodporne żandarmi zdawali się szukać swoich śpiworów.

Max Lehmann, konserwator mozaiki i fresków, człowiek o bujnym, wywiniętym wąsie i łagodnym spojrzeniu, czekał w holu.

– Przyszedłem złożyć raport – odparł, wyraźnie zbity z tropu brutalnym powitaniem.

Niémans nawet już nie pamiętał, o co prosił tego faceta.

– O tej porze?

– Sądziłem, że to pilne. Chodzi o datowanie fresków...

Niémans natychmiast złagodził ton i przyjaźnie poklepał go po ramieniu.

– Oczywiście, proszę wybaczyć. Znajdziesz nam jakąś salę? – dodał, zwracając się do Desnos.

Kilka minut później siedzieli we troje w biurze na pierwszym piętrze. Właściwie wszystkie pomieszczenia były tu identyczne, z meblami z metalu i pleksi, linoleum na podłodze i naiwnymi propagandowymi plakatami na ścianach. Jakby tego było mało, plafoniery rzucały światło, w którym twarze stawały się białe.

– Dysponujemy narzędziami analitycznymi, które...

– Niech nam pan daruje szczegóły techniczne.

Lehmann uniósł brwi: nie podobały mu się maniery rozmówcy. Zapanował jednak nad emocjami i szybko przerzucał kartki dokumentacji. Miał długie palce, smukłe jak pędzelki.

Niémans widział liczby, wykresy, równania. Miał na karku zaginione zwłoki i trupa z kamieniem w ustach, a przede wszystkim swoją małą Słowiankę tkwiącą w sekcje morderców. „To nie pora na wykład z matematyki...”

– Czy wspominałem panu o technice buon fresco? – spytał lekkim tonem konserwator.

– Lehmann, czy pan rozumie, co powiedziałem? Interesują mnie tylko pańskie wnioski!

Tym razem konserwator nie krył oburzenia.

– Proszę wybaczyć – powiedział spokojniejszym głosem Niémans.

– Mamy urwanie głowy z tym śledztwem. Może napije się pan kawy czy czegoś innego?

Lehmann skwitował propozycję machnięciem ręki.

– Chce pan omówić to szybko? – rzucił ostro. – Doskonale. W takim razie powiem od razu: ukryte freski namalowano w dwudziestym wieku.

– Chwileczkę... Te, które znajdują się pod osiemnastowiecznymi malowidłami?

– Dokładnie tak.

– Jak to możliwe?

– Otóż to niemożliwe.

Niémans oparł dłonie o plastikowy stół i zerknął na Desnos. Wyczytał z jej oczu osłupienie i niezrozumienie.

– Wydaje mi się jednak, że znalazłem wyjaśnienie. Skorzystaliśmy z okazji, żeby ustalić czas powstania wierzchnich fresków. One także są fałszywe.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Jak już wspomniałem, ukryte freski są stosunkowo nowe. Ale te, które widać, również.

– Twierdzi pan, że...

Lehmann uniósł głowę scenicznym ruchem konferansjera.

– Wykorzystano farby, jakich używano w osiemnastym wieku, jednak jest pewna różnica. Analizy chemiczne pozwoliły nam ustalić, że...

– Lehmann...

– Dobrze. Te malowidła to dzieło fałszerza, któremu udało się, chociaż nie wiem jak, zdobyć materiały z epoki albo bardzo do nich zbliżone. Dzięki temu imitacja była doskonalsza. Ale popełnił błąd. Dziś ołów, który jest składnikiem pigmentów, nie pochodzi już z europejskich złóż, jak to było w osiemnastym wieku, ale z kopalni w Ameryce i Australii.

– To istotna różnica?

– Jeśli stosuje się pewne techniki analityczne, tak. Inny jest skład izotopowy, a także pierwiastki śladowe.

Niémans bezwiednie podszedł do eksperta, podobnie jak Desnos. Oboje chcieli zerknąć na notatki, które nagle nabrały większego znaczenia. Wyglądali jak piraci pochyleni nad mapką, na której zaznaczono miejsce ukrycia skarbu.

– Oto mój wniosek – powiedział konserwator tonem wykładowcy.
– Oba freski powstały w tym samym okresie, prawdopodobnie na początku dwudziestego wieku. Nasz fałszerz najpierw namalował sceny biblijne o charakterze koszmarów, swobodnie wyrażając swój styl i wizję, ale ściśle trzymając się, chociaż nie wiem dlaczego, manieri późnośredniowiecznej. Potem je przykrył, używając wapna i gipsu. Następnie namalował na powierzchni nowe sceny, celowo nieudolnie, tym razem w stylu osiemnastego wieku i jak sądził, osiemnastowiecznymi pigmentami.

Zapadła cisza. Niémans wyjął komórkę i przyglądał się obrazom. Tym widocznym i neutralnym, jak narodzenie Chrystusa, Święty Krzysztof, kazanie do ptaków. I tym ukrytym: Adamowi i Ewie, wieży Babel, czterem jeźdźcom Apokalipsy...

– Zna pan historię anabaptystów? – zapytał Lehmann.

– Owszem, zaczynam się z nią zapoznawać.

– Na początku ubiegłego stulecia do ich Wspólnoty przybył, a może raczej wtargnął interesujący człowiek.

– Otto Lanz.

– Właśnie. To jedyny obcy, który został zaakceptowany przez Emisariuszy.

Niémans pomyślał o Paulu Paridzie, ale chwila nie była odpowiednia, żeby wspominać tego pasożyta.

– Lanz był malarzem – ciągnął konserwator. – Znalazłem kopie jego nielicznych znanych prac. To ten sam nawiedzony styl, średniowieczna ekspresja, ale pełna dwudziestowiecznych dysonansów.

– Czy czas powstania fresków zbiega się z okresem jego pobytu w Posiadłości?

– Owszem. Z grubsza rzecz biorąc, to lata dwudzieste.

Niémans pomyślał, że musi dokładniej przyjrzeć się historii Ottona Lanza. Pamiętał, że ten człowiek miał silny wpływ na Wspólnotę. Z pewnością pozostawił na kopule Saint-Ambroise jakieś przesłanie, a nawet więcej niż przesłanie – rozkaz, credo...

– Emisariusze kupili kaplicę na początku dwudziestego wieku – ciągnął Lehmann. – Lanz zamknął się w niej, namalował swoje majaki, a potem zakrył je innymi zdobieniami. Po co tyle komplikacji? Tego nikt nigdy się nie dowie.

Niémans pomyślał, że jego praca polega właśnie na odkrywaniu takich tajemnic.

– Tak, oczywiście.

Lehmann rozciągnął się jak lornetka korsarza i ruszył w stronę drzwi. Policjant poszedł za nim i odprowadził go do holu, a Desnos bez słowa wróciła do bieżących spraw.

Kiedy konserwator odjechał, Niémans został na chwilę na parkingu, żeby wszystko przemyśleć. Nie trzeba było kończyć akademii sztuk pięknych, żeby odgadnąć, że ważne były te freski, które zostały ukryte: prawdziwe-fałszywe freski średniowieczne, rzucone na to sklepienie z pasją i szaleństwem.

Należało je rozszyfrować. A do tego potrzebny mu był ekspert, prawdziwy znawca katolickiej ikonografii. Kiedy snuł te rozważania, rozdzwonił się telefon.

„Synchronizacja, Niémans. Synchronizacja...”

Od razu rozpoznał cichy głos eremity. Ducha klasztorów...
– Raczyłeś przerwać odosobnienie?

- Dla ciebie zawsze.
- Przyjedź do mnie do Alzacji.
- Hmm, hmm...
- Kiedy możesz tu być?

Oblat nie odpowiedział. Niémansowi przemknęły przed oczyma migawki – kolejne scenki z osobliwego życia Érica Aperghisa, alias Antoine’a.

Poznał go za czasów „Antynarkotykowej”. Marzyły mu się wtedy siłowe operacje, interwencje z bronią w ręku. Zamiast tego kazano mu przeniknąć do nocnego świata i udawać narkomana, żeby rozpracować nowe siatki: kwas, ecstazy, kokainę, ketaminę, LSD...

Niémans musiał żyć nocą, chociaż jego rytm biologiczny był typowy dla nauczyciela wychowania fizycznego. Włóczył się po barach, dyskotekach, squatach, szalonych imprezach. Bębenki pękały mu od decybeli, wciągał i łykał. To wtedy spotkał Aperghisa.

Pół światowiec, pół żebrak. Narkoman żył dzięki hojności przyjaciół, a okresy zabawy przeplatały się z lądowaniami na ulicy. Niémans posłużył się nim, żeby przycisnąć kilku dilerów. Płacił mu środkami psychoaktywnymi. Zobojętniały na wszystko Aperghis dryfował, często zmuszony kraść napiwki kelnerów w klubach albo obciążać byle komu za działkę. Wtedy czekał już tylko na śmierć, pocieszając się faktem, że nawet nie zauważy, kiedy ta nadejdzie.

Ale stało się zupełnie inaczej – chemia przyniosła mu objawienie, jak Świętemu Pawłowi na drodze z Damaszku czy Świętemu Augustynowi w mediolańskim ogrodzie. W przypadku Aperghisa była to wizja w wykładanym kafelkami srczu w miejskiej łaźni.

Kiedy się ocknął, wierzył w Boga. Nie jak niedzielny katolik czy okazjonalny czytelnik katolickiej gazety. Odtąd wiara stała się sensem jego życia. Aperghis wstąpił do oblatów, proponował swoje

usługi różnym zakonom, które w zamian pomagały mu wyjść z nałogu. To nie stało się z dnia na dzień, jednak nie był już sam – Bóg był z nim.

Obronił magisterium z teologii w paryskim Instytucie Katolickim i został specjalistą z zakresu Dziejów Apostolskich. W ciągu kilku lat zyskał uznanie, zajmując się egzegezą historyczną i krytyczną Nowego Testamentu. Równolegle zgłębiał dzieje ikonografii katolickiej. Był wykładowcą w Theologicum, czyli na wydziale teologii paryskiego Instytutu Katolickiego, ale zrezygnował z tej pracy.

Nie interesowała go dydaktyka. Wszystko, czego pragnął, to bez reszty poświęcić się Biblii, aby podźwignąć się i wznosić, wciąż wyżej i wyżej. Istniał ten ziemski padół i istniało to, co w niebiosach, a gdzieś pomiędzy jednym a drugim był dawny ćpun z przepalonym mózgiem.

– Za ile możesz tu być? – ponowił pytanie Niémans.

– To zależy.

– Od czego?

– Zawsze jeżdżę autostopem.

Niémans westchnął.

– Z samego rana poślę po ciebie żandarma.

Kiedy już się rozłączył, dotarło do niego, że teraz nie może zrobić nic więcej, że pozostało mu tylko czekać, i niemal wpadł w panikę. Bo i to czekanie na nie wiadomo co nie miało większego sensu.

Na domniemanym miejscu zbrodni w lesie nie uda się znaleźć niczego istotnego. Z rozszyfrowaniem fresków trzeba czekać na Érica. Śledztwo w sprawie śmierci Samuela dobiegło końca – czyli nie doprowadziło do niczego. A śledztwa w sprawie śmierci Marcela nie można było podjąć, ponieważ nie znaleziono zwłok.

Odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę posterunku. Zamiast tkwić tu beczynnie, znajdzie sobie jakąś lekturę. Desnos na pewno zebrała już materiały o Ottonie Lanzu, proroku krwawych winnic.

Dokumentacja istniała, a Desnos chyba ucieszyło, że ktoś się nią zainteresował. Położyła przed nim plik papierów w małym pokoiku na pierwszym piętrze, gdzie Niémans postanowił się zaszyć niczym murena w szczelinie skalnej.

– A ty co teraz robisz? – spytał, nie mając dla niej żadnych rozkazów.

– Wracam do lasu.

– Coś nowego? Znaleźli tam coś?

Odeszła, nic nie mówiąc – odpowiedź była oczywista. Niémans zamknął drzwi. Nie zamierzał się zniechęcać. W środku nocy, pośród takiej nicości, przygnębienie było najgroźniejszym wrogiem.

Poprosił, żeby przygotowano mu termos kawy, i ostro zabrał się do roboty.

Otto przyszedł na świat w roku 1872 w Belfort. Miasto niedawno wpadło w ręce Prusaków po stu dniach oblężenia. Ledwie pogrzebano zwłoki, a miazmaty tyfusu wciąż jeszcze zagrażały ocalonym. Był jednym z ośmiorga dzieci w rodzinie, którą rozdzierały sprzeczności: matka dewotka, krawcowa; ojciec ateista, alkoholik, kowal. Ojciec całymi dniami przesiadywał w kuźni, zżerany przez nienawiść do Prusaków, i popijał, kując rozgrzane do temperatury ośmiuset stopni żelazo. Wieczorem żona i dzieci zastępowały mu kowadło.

Otto wcześniej porzucił szkołę. Nie chciał też uczyć się kowalstwa. Za karę ojciec napiętnował jego lewy nadgarstek rozpalonymi do białości kleszczami kowalskimi – do końca życia chłopak miał niesprawną rękę.

W wieku trzynastu lat uciekł i powędrował alzackimi drogami. Czasem kradł, czasem żył z dorywczych prac. W końcu został uczniem w drukarni w Sélestat i tu zaczął rysować. Błyskawicznie źródłem jego utrzymania stały się portrety, karykatury, pejzaże. Wciąż w drodze, padał ofiarą przemocy, był wykorzystywany

seksualnie, poniżany. Godził się z tym w nadziei na lepsze dni, ale w tym kalece, genialnym i często głodującym, kipiał tłumiony gniew.

Gdy trafił do Brason, w Diecezji dostrzegł jedyną szansę ocalenia.

Anabaptyści nie mogli odmówić mu prawa do tego, o co błagał: udzielenia chrztu. Pragnął zawierzyć Bogu. Był to akt świadomy, celowy, przemyślany. Tak właśnie postrzegali chrzest Emisariusze. Ochrzczono go. Przygarnięto. Był dobrym kowalem, a fachu uczył go ojciec, nie skąpiąc razów. I był porządnym człowiekiem, który zmył swe grzechy, wyzbył się gniewu i porywczosci, przyjmując nauki boże.

Czytał Biblię. Czytał Księgę męczenników. Chłonał historię rzezi, tortur, topienia – tego, czego doświadczyli Emisariusze. Gniew ożył, ale przyjął specyficzną formę, jak żelazo okiełznane w ogniu. Lanz przysiągł sobie chronić Emisariuszy, bronić ich przed występkiem i brutalnością.

Wieczorami, zamiast rysunkom, poświęcał czas księgom prawniczym. Interesował się aktami własności Posiadłości, zadbał, by zarejestrowano je u rejenta, założył kooperatywę, która odtąd funkcjonowała jak prywatna firma, podobnie jak inne winnice w regionie. Można powiedzieć, że naraził się na zepsucie typowe dla „światowych”, byle Emisariusze już nigdy nie musieli brudzić sobie rąk.

W Diecezji zdania były podzielone. Lanz nie był jednym z nich, raz po raz łamał zasady „porządku i posłuszeństwa”, żył we Wspólnocie, ale na marginesie – jego krew była obca. Był grzesznikiem, pariasem, świętokradcą. Lecz niektórzy uważali go za męża opatrnościowego. W czasach, które nadchodziły, niosąc chaos i konflikty, Otto stał się dla nich tarczą.

Wielka wojna światowa dowiodła, jak był ważny. Anabaptyści odmawiali udziału w walce z bronią w ręku. Trafiali za to do więzienia, byli rozstrzeliwani. Otto wykorzystał cały ten zamęt, by przestawiać pionki na szachownicy. Przekonał niemieckie władze (Alzacja należała wówczas do Rzeszy Niemieckiej) o przydatności anabaptystów na tyłach: w szpitalach, łączności, kantynach... Byle gdzie, jeśli tylko nie muszą dotykać broni... Niemieccy generałowie,

świadomi rzezi w okopach, przystali na to – Emisariusze nie musieli walczyć.

Po zakończeniu wojny Alzacja powróciła do Francji, a anabaptyści do swoich winnic. I gdy znów płynęło wino, pozycja Lanza we Wspólnocie stawała się coraz silniejsza. Został arcybiskupem Diecezji, co było niezwykle, jako że nie przynależał z urodzenia do Wspólnoty.

Wszyscy byli mu wdzięczni za rozkwit winnicy, która – dobrze zarządzana – gwarantowała Diecezji niezależność. Co więcej, Lanz przeczuł nowe zagrożenie – turystów. Ogrodzenia, strażnicy, teren prywatny – oto co uniemożliwiło ciekawskim wkraczanie na ich ziemię. Nawet podczas okupacji Emisariusze byli chronieni dzięki inteligencji Ottona Lanza. Znał dwa języki, więc potrafił powstrzymać nazistowskich okupantów od wtargnięcia do Posiadłości, z której pochodziły specyficzne wina, przesłodzone i niezwykle lubiane przez niemieckich generałów, szanujących umiejętności Emisariuszy.

W ostatnich latach życia – a zmarł na raka jelita grubego w roku 1957 – Lanz stał się mentorem Emisariuszy. Nauczał, prowadził, komentował Pismo Święte. Skromny, ascetyczny, nigdy się nie ożenił, bo jako obcy nie mógł łączyć swojej krwi z krwią anabaptystów. Między innymi dlatego w oczach ludzi urósł do rangi istoty wyższej, uduchowionej, bliższej Panu niż Emisariusze, którzy pozostali więźniami swej cielesności i żądz.

Niémans przerwał lekturę. Niezły numerek był z tego Lanza, to pewne. Ale jaki mógł być jego związek z tą sprawą? Policjant wyobrażał go sobie wymykającego się nocą do Saint-Ambroise, żeby malować freski. Czy nie zostawił na nich żadnej wskazówki? Może najważniejszej ze wszystkich, jakich udzielił przez całe swoje panowanie?

Po jego śmierci nie było żadnych ceremonii. Otto Lanz nie spoczął nawet na cmentarzu Emisariuszy. Cisza, a może nawet zapomnienie – taki był los „intruza”. Choć nigdy nie został przyjęty i nie zintegrował się ze Wspólnotą, pozwolił anabaptystom przetrwać we współczesnym świecie. A swój testament pozostawił w kaplicy...

Niémans był pełen podziwu dla wyniku poszukiwań Desnos. Musiała spędzić wiele godzin w alzackich bibliotekach i przeszukać archiwa anabaptystów we wszystkich ośrodkach, jakie istniały jeszcze w Europie.

Brakowało tylko jednego – wizerunku tego człowieka. Emisariusze odrzucali wszelkie obrazy, szczególnie portrety, które wiązały się z kultem osoby. Lanz prawdopodobnie nigdy się nie fotografował.

Niémans wsunął ręce do kieszeni – przesiedział nad dokumentacją kilka godzin, nawet nie zdjął palta. Potem próbował dodzwonić się do Desnos, ale nie odbierała. Na pewno niczego nie znaleźli.

Policjant łamał sobie głowę, nie wiedząc, jak zacząć nadchodzący poranek. Zarzucić sieci na Emisariuszy? Przetrzęsnać Diecezję w poszukiwaniu broni? Zaglądać pod łóżka, szukając zwłok Marcela? Nic by to nie dało. Takimi metodami mógłby tylko zrazić Emisariuszy i pogłębić ich niechęć do zeznań.

Co robić?

Spojrzał na zegarek i poderwał się z krzesła – była już za kwadrans piąta. Za piętnaście minut miał się spotkać z Ivaną w Saint-Ambroise. Wyszedł z biura, zostawiając na biurku dokumenty.

Może mała Słowianka podsunie mu jakiś pomysł.

Teatr. Ta pusta kaplica z posadzką oświetloną przez jaskrawe reflektory policyjne, których jeszcze nie zabrano, była sceną. Płachty rozwieszane na rusztowaniach – kurtyną. A oni, wędrowni gliniarze, bladzi, nieruchomi – aktorami. Wszystko było już gotowe do spektaklu Pirandella.

– Udało ci się wymknąć? – rzucił na powitanie.

– To zaczyna mi wchodzić w krew. Masz baterię?

Niémans podał jej swój powerbank, do którego szybko podłączyła telefon. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że to ona chce podładować akumulatory. I sprawiło mu to przyjemność.

– Macie coś nowego?

– Nie.

– To po co kazałeś mi tu przychodzić? Ryzykuję własną skórą, kiedy wymykam się za to ich cholerne ogrodzenie!

Podszedł do niej. Nawet w tych starych ciuchach, nawet po koszmarnej nocy, nawet ocierając się o śmierć i groźby, Ivana zawsze pachniała tak samo. I nie był to zapach prawdziwych perfum. Połączenie lawendy i mlecza dla niemowląt. Roślinny i dziecięcy, całkowite przeciwieństwo tego, czym była: tych czterdziestu trzech kilogramów wrogiej siły, dziewczyny sypiającej z bronią pod poduszką.

Po raz kolejny przedstawił swój trój etapowy scenariusz. Bójka z Paulem Paride'em. Morderstwo popełnione przez człowieka z węglem. Zawalenie stropu spowodowane przez Emisariuszy, którzy chcieli ukryć, że Samuel padł ofiarą zabójcy.

– Czy ty odrobinę nie przesadzasz?

Najpierw bez słowa pokazał jej zdjęcia rentgenowskie ukrytych fresków. Potem opowiedział historię Ottona Lanza, mentora Emisariuszy, który nocami malował sklepienie Saint-Ambroise. To tam krył się sekret.

– Nic z tego nie rozumiem – szepnęła Ivana. – Z jednej strony twierdzisz, że ten plafon ma dla Emisariuszy kapitalne znaczenie, a z drugiej, że bez wahania zniszczyli jego część

– No właśnie. Upozorowanie wypadku było jeszcze ważniejsze i zaczynam myśleć, że zależało im na ukryciu czegoś innego niż kryminalny charakter śmierci Samuela.

– Czego?

– Ustalę to.

Ivana odruchowo zerknęła na okna, w których witraże zastąpiono płachtami. Nie dało się wyjrzeć na zewnątrz.

– Która godzina?

– Za kwadrans szósta.

– Muszę już wracać.

– Nie ma mowy. Właśnie o tym chciałem z tobą pomówić. Jedziesz ze mną.

– Już o tym rozmawialiśmy – odpowiedziała głosem, w którym słychać było znużenie.

Niémons chciał za wszelką cenę zachować spokój. Wiedział, że z Ivaną nic nie wskóra, jeśli pozwoli sobie na nerwowość. Silne reflektory rzucały na płyty posadzki plamy światła otoczone mrokiem, jak na teatralnej scenie.

– Kotku, masz wyrok w zawieszeniu. Czy to do ciebie dotarło? Zabiją cię, kiedy będą chcieli, a my nie zdołamy temu zapobiec.

– Winobranie już się kończy. Czuję, że wkrótce coś się stanie.

– Co?

– Nie wiem. Po winobranii zamierzają spalić wszystkie odpady, gałęzie, narzędzia, ubrania. Ostatniej nocy zapłoną gigantyczne ogniska. A nazajutrz oni będą się modlili w deszczu popiołów.

– Świetnie. Ale co z tego?

Ivana cofnęła się i oparła o kamienny ołtarz przesunięty w głąb, jakby chciała dodać mocy swojemu przeczuciu.

– Wtedy z lasu wyjdzie zabójca. Jestem tego pewna. Nie tylko ty masz intuicję. Ja...

Ivana obróciła się w stronę ołtarza. Bez słowa wyciągnęła palec, wskazując coś na prawo od kamiennej bryły. Niémansowi wystarczyła sekunda, żeby dostrzec to, co zobaczyła pierwsza: zza

gresowej płyty wystawały dwie nogi w butach, jakie nosili Emisariusze. Wyglądało to jak scenka z komiksu.

Niémans rzucił Ivanie parę nitrylowych rękawiczek, a potem włożył swoje. Pochylili się jak na komendę. Między ołtarzem a murem było akurat tyle miejsca, żeby zmieścić tam zwłoki. I właśnie zwłoki tam znaleźli. A mówiąc dokładniej – zobaczyli ciało człowieka, którego oboje znali: samego Jakoba.

– Pomóż mi – rozkazał Niémans.

Ivana nawet nie drgnęła, jakby popadła w stupor.

– Pomóż mi, do cholery!

W końcu dołączyła do Niémansa, który zmagął się z kamiennym ołtarzem, usiłując odsunąć go od ściany. Po chwili bryła obróciła się pod kątem czterdziestu pięciu stopni, ze zgrzytem, jak z profanowanej świątyni.

Policjant poszedł po jeden z reflektorów i ustawił go tak, żeby oświetlić makabryczne znalezisko.

Teraz mogli mu się przyjrzeć.

Na pierwszy rzut oka nie miał żadnych śmiertelnych ran. Lecz kamizelka i koszula były rozpięte, a na obnażonym torsie widniały litery: MLK.

„Nie myśl”, nakazał sobie Niémans, po czym pochylił się i rozwarł szczęki denata. Z ust wyciągnął kamień. Zważył go na dłoni i obejrzał: lekki, szarawy, jakby spękany. To nie był kamień, lecz węgiel drzewny.

Kontynuował oględziny. Delikatnie uniósł głowę zmarłego i wsunął palce pod jego kark. Otwarta rana usytuowana była na poziomie kręgów szyjnych. Jakoba zabito, jak to się mówi, tępym narzędziem, a ściślej, biorąc pod uwagę okoliczności, dużym kamieniem.

Niémans wyprostował się i wyjął telefon.

Mając przed oczyma trupa, trudno mówić o dobrej wiadomości. Ale ten, po nocy błędzenia po pustyni, pozwoli mu w końcu wyrwać się z martwego punktu śledztwa. Nowy element mozaiki, którą układał morderca.

Upłynęły trzy godziny, a Ivana znów znalazła się praktycznie w tym samym miejscu, ale po przeciwnej stronie.

Saint-Ambroise, jego gresowe ściany, jego ślepe okna, jego trup. A teraz jeszcze Emisariusze, pracownicy sezonowi, dziennikarze... Wszyscy skupieni za taśmami i pilnowani przez żandarmów.

Była tam wraz z innymi, patrzyła na drzwi małej świątyni, w których miał się pojawić Jakob, sztywny jak kołek. Najdziwniejsza była cisza. Emisariusze nie odzywali się ani słowem. Zapewne modlili się w duchu. W tej atmosferze sezonowi nie ważyli się zakłócać spokoju; nawet dziennikarze milczeli, wyciągając tylko mikrofony, czekając z kamerami – oni, zwykle tak elokwentni.

Zaczął się pośmiertne czuwanie przy zwłokach Jakoba.

Ivana nie musiała udawać osłupienia – od odkrycia ciała była, by tak to ująć, w stanie hipnozy. Cichaczem wróciła do obozowiska, wśliznęła się do zimnego łóżka i skulona czekała na świt, szeroko otwartymi oczyma wpatrując się w noc, która zdawała się równie bacznie ją obserwować.

Przed jej odejściem Niémans próbował jeszcze nakłonić ją do zmiany zdania i przekonywał, że czas wrócić do oficjalnej roli policjantki. To kolejne morderstwo oznaczało szaleńcze tempo zdarzeń. Ona jednak, powodowana jakimś samobójczym popędem, chciała wytrwać i działać pod przykryciem do ostatniej godziny winobrania.

Chciała obserwować reakcje, zadawać pytania, dostrzec jakiś szczegół. Zrezygnowany Niémans pozwolił jej kontynuować, błagając, żeby była ostrożna.

Wiadomość spadła na nich około siódmej rano, kiedy robotnicy sezonowi wychodzili spod natrysków. Jakob został zamordowany! Te niesamowite słowa szeleściły w obozowisku niczym wąż sunący przez zarośla, wywołując jeśli nie panikę, to przynajmniej ogromne poruszenie. Nie przyjechały po nich ciężarówki. Godzina wyjazdu na

pola minęła. Emisariusze, którzy ich nadzorowali, po raz pierwszy sprawiali wrażenie zagubionych.

W końcu wszyscy udali się do Saint-Ambroise. Poszli pieszo, zobaczyć, co się tam dzieje. Rozpadało się, woda oblepiała ciała ubraniami, wciskała się każdą szczeliną, dobijając ludzi i stopniowo spowalniając ich ruchy.

Teraz czekali, dygocząc, a Ivana dochodziła do siebie, podziwiając wielki pokaz zorganizowany przez Niémansa. Musiał obejść się smakiem w przypadku Marcela, tym bardziej więc nie mógł zmarnować okazji z Jakobem. Żandarmi, ekipa kryminalistyki, ludzie z zakładu pogrzebowego... Mundury i kombinezony ze swoistą gracją odcinały się od pociemniałych na deszczu murów kaplicy i wirujących niebieskich świateł radiowozów. Nieźle to wyglądało.

Ivana od czasu do czasu wspinała się na palce i rozglądała, próbując odszukać w tłumie Rachel. Na próżno. Czyżby została w Posiadłości? A może przyjechała samochodem? Ivana chciała z nią porozmawiać, uspokoić ją. Wciąż widziała w niej kruchą dziewczynkę, podczas gdy ta młoda kobieta miała w sobie przemożną siłę: swoją wiarę.

Przypomniała sobie, jak w 2006 roku w Pensylwanii szaleniec wtargnął do szkoły amiszów i zabił osiem dziewczynek, a potem odebrał sobie życie. Amisze przyszli na jego pogrzeb, by okazać, że mu wybaczą, i urządzili zbiórkę, chcąc wesprzeć finansowo wdowę po mordercy.

A Niémans? Na pewno był wewnątrz, naradzał się z politykami albo innymi urzędnikami. Wołała być teraz na swoim miejscu. Czuła się znacznie lepiej w tej zapłakanej ciszy, prawie organicznej, w szeregach tej armii, która nigdy nie poniesie klęski, ponieważ nie dąży do żadnego zwycięstwa.

Wreszcie w progu pojawiła się nowa partnerka Niémansa, kapitan żandarmerii z wielkimi buforami. W obcisłej kurtce przypominała ludzika Michelina, bibendum, i nie bardzo wiedząc czemu, Ivana się z tego ucieszyła. Dopiero po chwili zrozumiała, że jest zazdrosna o tę cycatą dziewczynę, odkąd ją zobaczyła, bo zna swojego Niémansa.

Kapitan, czując na sobie jej wzrok, popatrzyła na nią. To spojrzenie, płynące spod ciężkich rzęs, na których zawisły krople deszczu, było porozumiewawcze. Wiedziała, na pewno wiedziała. Niémans nie miał już wyboru: by uzasadnić operację Marcel, musiał ujawnić źródło.

Mimowolnie Ivana przesłała jej dyskretny uśmiech, odwzajemniony jak w lustrze. Ta niema rozmowa przez zasłonę deszczu dodała jej otuchy. Miała tu sprzymierzeńca, a w tej sytuacji było to niezwykle ważne.

Kapitan zaraz zniknęła, rozchlapując kałuże wojskowymi buciorami. Ziemia wokół murów stopniowo zamieniała się w bajoro i już teraz nie było pewne, czy samochody zdołają się stamtąd wydostać.

Nagle jednak stało się coś, co odwróciło jej uwagę od takich problemów, coś zupełnie nieoczekiwanego.

Z Saint-Ambroise wyszła Rachel. Sama, ociekająca wodą, drobna jak lalka voodoo. Sukienka oblepiała jej sylwetkę niczym druga skóra, czarna i lśniąca. Jej cukrowa buzia rozpływała się, łzy wolno spływały po policzkach, nie mieszając się ze strugami deszczu.

W porywie serdeczności Ivana spontanicznie zwróciła się do Emisariusza, który stał tuż obok niej – rudego, barczystego olbrzyma w kapeluszu ociekającym jak kulka mozzarelli.

– Co ona tam robi? – wykrzyknęła.

I dodała, już panując nad emocjami:

– Mówię o Rachel. Dlaczego była w kościele?

Mężczyzna odpowiedział, nawet na nią nie patrząc.

– Ponieważ zmarły to jej mąż.

– Jej mąż? Jakob?

Olbrzym nie raczył już się odezwać. Emisariusze nigdy nie byli rozmowni. Wielu nie odpowiedziałyby jej wcale.

Ivana poczuła zawrót głowy. Deszcz strumieniami spływał jej z ramion. Zamieszanie wokół zdawało się narastać, słychać było szelesty i pluski.

Jak mogła tego nie zauważyć? Jakob, zarządzający Wspólnoty. Jeden ze starszyzny, czy to się komuś podobało, czy nie. Jakob, który był co najmniej trzydzieści lat starszy od młodziutkiej Rachel...

Chociaż nie potrafiłaby tego logicznie uzasadnić, ta wiadomość wydała jej się niezwykle ważna. Czuła, że to zasadniczy element całej historii. Ale jakie to mogło mieć znaczenie?

Rachel jej nie widziała. Zresztą chyba nie widziała nic wokół siebie. Szła z podniesioną głową, pełna stoicyzmu, tylko jej krok był niepewny. Popychana przez żandarmów, omijając kręcących się ludzi, wyglądała jak lunatyczka. Ivana już zamierzała przejść pod taśmą i do niej dołączyć, kiedy grabarze wynieśli ciało Jakoba.

Wystawiony na deszcz worek dudnił jak AK-47. Rachel wydała rozdzierający krzyk i rzuciła się na zwłoki. Ivana widziała dziesiątki takich scen, zawsze przygnębiających, tym razem jednak była naprawdę wstrząśnięta. Dwudziestodwuletnia dziewczyna, matka trojga dzieci przekonana, że żyje w nowym Edenie, utraciła męża w najbrutalniejszy sposób, jaki można sobie wyobrazić.

Teraz Rachel chwyciła się zwłok, wbijała palce w materiał, jakby chciała go rozerwać. Już nie krzyczała, nie płakała, a tylko wydawała jęki, które brzmiały jak skowyt konającego zwierzęcia.

Żandarmi próbowali ją powstrzymać i w zamieszaniu ciało zsunęło się, a worek rozchylił – suwak musiał być niedbale zapięty. Lewa ręka Jakoba wypadła, uderzając płasko w czarną wodę w kałuży.

To, co zobaczyła wtedy Ivana, sprawiło, że krzyk zamarł jej w ustach.

Nareszcie jakiś trop. I to nie byle jaki: to było jak zupełnie nowe rozdanie kart.

Twoja wersja nie trzyma się kupy.

– Nie mogę ci przedstawić żadnej innej.

Niémans dawno nie widział Schnitzlera, ale stwierdził, że czas obszedł się z nim łaskawie. Alzacyjny wciąż był przystojnym mężczyzną. Wysoki, elegancki, miał teraz przeplatane srebrem włosy i jedwabistą brodę w tej samej tonacji. Model szykowny, szpakowaty, oferowany w każdym dobrym sitcomie – sędzia albo adwokat, bystry i uwodzicielski, zawsze gotów zdemaskować mordercę albo usidlić protokolantkę.

Witali się tak, jakby pożegnali się wczoraj. Żadnej wylewności, żadnych uścisków, żadnego: „Ile to już czasu?”. Mieli ważniejsze sprawy niż wspomnianie przeszłości: teraźniejszość, która zapełniała się trupami. I nie tylko.

Policjant przedstawił mu swój punkt widzenia, stojąc pod dziurawą kopułą i mokrymi plastikowymi płachtami. Pył i wilgoć tworzyły wrażenie, że prace remontowe toczą się w najlepsze. W powietrzu unosił się zapach świeżego cementu.

– Wynośmy się stąd – rozkazał Schnitzler.

Za dużo tu było ludzi, za dużo spojrzeń, za dużo uszu. Okrążyli budynek i ruszyli ścieżką osłoniętą koronami drzew. Wiosną to miejsce musiało być urocze, ale w listopadzie czarne konary spletały się, najeżone jak drut kolczasty cieńszymi gałęziami. Wyglądało to jak wejście do więzienia o zaostrzonym rygorze.

Szli tak przez chwilę, milcząc. Niémans miał posępną minę, ale tylko dlatego, że chciał się dostosować do ogólnego nastroju. W rzeczywistości deszcz go rozweselał. Nic nie cieszyło go tak jak solidna ulewa. Wyczuwał w powietrzu woń odrodzenia, wielkiego prania...

– Tak czy inaczej, to kolejne morderstwo potwierdza moje hipotezy – stwierdził.

– Oczywiście, przecież zawsze byłeś najlepszy.

Niémans nie dał się sprowokować ironicznym tonem tej uwagi.

– Emisariusze doprowadzili do zaważenia kopuły nie tylko po to, żeby ukryć kryminalny charakter śmierci Samuela, ale również, żeby nikt nie ujrzał liter MLK, które z pewnością były na zwłokach.

– Przecież nawet nie wiesz, co oznaczają.

Schnitzler nie był stworzony do tego typu spraw kryminalnych. Bardziej nadawał się na wytwórcę taniego prawnego wina – wymiaru sprawiedliwości, skostniałego i dotyczącego codziennych problemów, które nie miały nic wspólnego z obłądem, jaki owładnął Posiadłość.

– Dobra, a teraz przejdźmy do konkretów – odezwał się po chwili.

– Co mogę powiedzieć mediom?

– Mam gdzieś media.

– Cóż za finezja!

– Powiedz im jak najmniej i pozwól mi spokojnie pracować.

Schnitzler zamilkł. Niémans został dwa kroki za nim, żeby sprawdzić, czy w jego sylwetce wciąż widoczny jest pewien szczegół, który zawsze go frapował. Ten facet wyglądał, jakby źle wyrósł. Miał długie, kobiece nogi, trochę za grube, i sterczące kolana. Jego sylwetka miała w sobie kruchość, była androginiczna, a jego chód był niezdamny.

– A ja wierzyłem, że uda ci się rozwikłać tę sprawę w dwa dni – rzucił przez ramię prokurator.

– Tylko że kiedy do mnie dzwoniłeś, nie byłeś nawet pewien, czy doszło do zabójstwa, a od tego czasu sprawa ciągle się komplikuje.

Schnitzler mruknął coś pod nosem. Niémans pamiętał z dawnych lat, że był to człowiek z gatunku tych, którzy rzadko miewają pomysły, a jeśli już jakiś wyklął się w jego głowie, to jest zły.

– A jeśli chodzi o tego faceta, który pobił się z Samuelem... – rzucił w końcu zatroskanym głosem.

– O Paula Paride’a?

– No właśnie. Przytrzymaj mi go pod kluczem. Jeżeli nie będziemy mieli niczego nowego, przyda się, żeby rzucić go na żer dziennikarzom. Przynajmniej zyskamy na czasie.

Alzacyjny mocno się mylił, ale Niémansowi trudno było wyprowadzać go z błędu, zwłaszcza że nie chcąc komplikować

sytuacji, nie wspomniał mu o śmierci Marcela. Ani o błyskotliwym pomysle wprowadzenia do Posiadłości swojego „kreta”.

Kiedy doszli na szczyt wzgórza, ich oczom ukazał się kościół z otaczającymi go ogromnymi kałużami i tłumem gapiów. Mimo że ciało Jakoba zostało już zabrane, Emisariusze i robotnicy sezonowi nie odeszli, jakby na coś jeszcze czekali.

– Popatrz tylko na tych wszystkich durniów – mruknął Schnitzler, wpatrując się w dziennikarzy niecierpliwących się za taśmą. – Kurwa, nie odpuszczą mi... A nie są jedyni! Deputowani, prefekt, ludzie z ministerstwa... Wszyscy do mnie wydzwanają...

– Powtarzam ci, że robię, co w mojej mocy.

– Czyli nie za dużo.

– O co ci chodzi?

Schnitzler spojrział na Niémansa. Z bliska na jego twarzy widać było jednak zmarszczki i inne dewastacje, jakich dokonał czas. Wyglądał jak przypudrowany stary markiz.

– Pozwól im zakończyć zbiory. Zły rok dla ich gewürztraminera oznaczałby katastrofę.

– Większą niż dwa trupy?

– Nie truj. Tutaj losy całego roku rozgrywają się w ciągu kilku dni. Jeśli coś się opóźnia, jeśli nie przestrzega się terminarza, jest po winogronach.

– Ja chyba śnię.

Prokurator wygładził dwurzędową marynarkę. O dziwo, krople wody nie moczyły jego bujnej siwej czupryny – model gęsie pióra, gęsty i naoliwiony.

– Ufam ci – zakończył, poprawiając węzeł krawata. – Są upierdliwi, ale to doskonali producenci wina, a jak wiesz, w dolinie wszystko kręci się wokół wina.

– Nawet twoja kariera.

Schnitzler parsknął śmiechem, a potem ruszył w stronę dziennikarzy, żeby skierować do nich kilka dobrze przemyślanych słów. Ludzie mieli usłyszeć je w regionalnej stacji France 3, w południowej emisji dziennika.

Niémans poszedł w przeciwną stronę – do kaplicy. Deszcz go uspokajał. Teraz nie był już tak ulewny. Krople stały się lżejsze,

rozpraszają się na wietrze. To był jakby sen o deszczu, krystaliczny, niematerialny.

W miarę jak ulewa zamieniała się w mżawkę, powracały także zapachy mokrej kory i liści, nasilały się, były jak druga fala. Niémans głęboko oddychał, ciesząc się tymi zapachami. Deszcz, kolejne morderstwo... Nie mógł w tej sytuacji nie czuć podniecenia. Ten dzień oznaczał nowy początek.

Przed Saint-Ambroise natknął się na Stéphane Desnos.

– Technicy niczego nie znaleźli – oznajmiła. – Żadnych śladów, żadnych odcisków.

Niémansowi mignęła przed oczyma ta scenka – ciało Jakoba uwięzione za kamiennym ołtarzem, obnażony tors, wycięte litery, roztrzaskana czaszka. I natychmiast stracił dobry nastrój.

– Żadnego śladu na ziemi? Nie ma krwi?

Desnos poprawiła pas.

– Technicy przypuszczają, że sprawca użył jednej z plastikowych płacht. To fachowiec.

– Albo po prostu jest odrobinę mądrzejszy od większości. A wokół kaplicy?

– Nic.

– Na ziemi? W tym błocie? Żadnych śladów butów? Opon?

– Przecież powiedziałam: nic.

– A kamień?

– Jaki kamień?

– Ten, którym roztrzaskano mu głowę.

– Też nie udało się go znaleźć.

Wyczuł, że odpowiadała na jego pytania z wahaniem. Twarz miała napiętą, prawie wykrzywioną, jakby z odrazą wypluła pestkę, którą o mało się nie udławiła.

Niémans ją rozumiał – po raz pierwszy prowadziła prawdziwe śledztwo, dostała wielką szansę.

– Lekarz sądowy określił przybliżony czas zgonu?

– Nie ma lekarza sądowego.

– Co takiego?!

– Zimmermann jest w Colmar, a...

– Nawet nie wspominaj o tym partaczu. Chcę innego lekarza.

- To jedyny, który może przeprowadzić sekcję i...
- Powiedziałem, że trzeba znaleźć innego. Świadkowie?
- Przesłuchujemy Emisariuszy, jednak...

Słowa zamarły na jej ustach. Nie musiała zresztą kończyć zdania: zabójca był niewidzialny, Emisariusze jak niemi. To milczenie towarzyszyło im od początku.

– Masz tu kluczyki do samochodu – powiedział. – Zabezpiecz miejsce zbrodni i znajdź wszystko, co się da.

Desnos skinęła głową. Na tym terenie – na gruncie podręcznika żandarmerii i regulaminowych procedur – czuła się znacznie swobodniej.

– Na razie przeczesujemy teren, zataczając coraz szersze kręgi. Metoda ślimaka.

- Ta nazwa do mnie nie przemawia.
- Niech pan przestanie – powiedziała urażona.

Wskazał bandę w bieli i czerni, te twarze jak umazane mokrą kredą, te rude brody. Tych ludzi bez emocji.

– Ale najpierw wyrzuć stąd tych hipokrytów. Zdeptują miejsce zbrodni.

Podążyła mu dowód osobisty.

- Wdowa po Jakobie chciałaby z panem pomówić.
- Świetnie się składa, bo ja też chcę z nią porozmawiać.

Kiedy ją zobaczył, pomyślał o Debussym. Nie o jego muzyce, ale o tytułach jego kompozycji fortepianowych. Dziewczyna o lnianych włosach, Zatopiona katedra, Ogrody w deszczu... Rachel Koenig, bo tak się nazywała, wprawiała w takie poetyckie rozmarzenie.

Stała przed nim krucha jak ptak, w tych mokrych ubraniach, modlitewnym czepku oblepiającym kasztanowe włosy. Nie sięgała mu nawet do ramienia, ale dzięki długiej szyi wydawała się wyższa. A jej okrągła twarz przypominała mały księżyc z kraterami jasnych oczu, tak wodnistych, że mogłyby zwinnie pływać w tym przemoczonym świecie.

– Dzień dobry pani – powiedział łagodnym tonem Niémans, a potem się przedstawił. – Pozwoli pani ze mną?

Rachel nie ruszyła się z miejsca. Niémans wykorzystał tę chwilę, żeby uważniej jej się przyjrzeć. Jej młodość była porażająca. Z dokumentów wynikało, że ma dwadzieścia dwa lata, jednak trudno było w to uwierzyć. Bo partytura nie daje wyobrażenia o emocjach, jakie wzbudza interpretacja utworu.

– Proszę pani...

W końcu zareagowała.

Nie mógł zabrać jej na posterunek. Wystarczy, jeśli porozmawiają w mégane. Idąc do samochodu, zatrzymał wzrok na formule, która widniała na drzwiach: „ZANDARMERIA. NASZE ODDANIE, WASZE BEZPIECZEŃSTWO”. Naprawdę przyszedł czas zmienić to hasło.

Otworzył tylne drzwi i gestem poprosił, żeby wsiadła. Wyczuwał, że w tej kobiecie niezłomna wiara łączy się z zaślepieniem młodości.

Spodobała mu się ta myśl. Uważa się, że mijające lata nas bogacą, czynią silniejszymi. Tymczasem jest odwrotnie. Czas nas wysysa, rozbija. Doświadczenie jest jak gangrena naszej woli i niszczy marzenia. Młodość nic nie wie, we wszystko wierzy, nie docenia starych, i właśnie dlatego jest genialna.

– Przede wszystkim – zaczął, siadając obok niej – pragnę złożyć wyrazy współczucia. Wiem...

– Długo to potrwa?

Siedziała wyprężona, z rękami splecionymi na kolanach. Jej profil odcinał się na tle szyby pokrytej kroplami wody. Zaokrąglona linia czoła, załamane na wysokości oczu, zadarty, wścibski nos, usta układające się w lekki dzióbek. Naprawdę niebanalna istota.

– Tylko kilka minut – zapewnił.

Ku jego zaskoczeniu wyjęła z wilgotnej saszetki tytoń i bibułka. Przez moment obawiał się nawet, że zwinie sobie jointa, ale nie, to był tytoń, pewnie uprawiany między winoroślą.

– Muszę wracać do pracy. To ostatni dzień winobrania.

Nie była oziębła, ale raczej – nieobecna.

– Kiedy widziała pani męża po raz ostatni?

– Wczoraj wieczorem. Wpadł zobaczyć się z nami do naszego domu w Diecezji.

– Nie mieszkacie razem?

– Mieszkamy, ale w tej chwili on ma... To znaczy: miał mnóstwo obowiązków. Sypiał w kooperatywie.

Zapaliła papierosa. Kabinę wypełnił niezwykle zapach. Zapach lasu, grzybów. Ożywczy i świeży, ale też kryjący w sobie woń rozkładu. Coś, co kojarzyło się z ziemią, miękkim ruchem i zgnilizną śmierci.

– Po co do pani przyszedł?

Rachel chyba dopiero teraz uświadomiła sobie, że już zadymiała kabinę. Szukała przycisku, żeby otworzyć okno, ale mechanizm nie działał. Niémans nie chciał jej wyjaśnić, że w tego typu pojazdach tylne szyby są zawsze zablokowane.

Bez słowa wyciągnął się, uderzył w głowę, wcisnął między dwa fotele i w końcu zdołał dosięgnąć przycisku centralnego. Kiedy okno się wreszcie otworzyło, owiało ich świeże powietrze. Rachel przymknęła powieki, jakby doznała nieoczekiwanej przyjemności.

– Chciał ucałować dzieci – powiedziała, zaciągnąwszy się i wolno wypuściwszy dym.

– Ile macie dzieci?

– Troje.

Uśmiechnęła się. Uśmiechem zawieszonym w przestrzeni.

– A potem?

– Wyszedł około dwudziestej pierwszej trzydzieści pilnować kadzi w piwnicy. – Długo kiwała głową, jakby chciała położyć nacisk na to, co zamierzała powiedzieć. – Podczas winobrania nie ma wolnej chwili ani w dzień, ani w nocy.

– Wspominał, że wybiera się do kaplicy?

– Nie.

– A miał powód, żeby tam iść?

– Nie.

Niémans milczał przez kilka sekund. Musiał ją oszczędzać, ale i zrobić to, co do niego należało.

– Czy Jakob miał wrogów? – zapytał wprost.

Rachel cmoknęła, tylko raz, a potem oparła się i wysunęła rękę z papierosem za okno. Nagle jakby się odprężyła. To było nie tylko zaskakujące – ta poza miała w sobie coś z rozmarzenia.

– W Posiadłości nie ma ani przyjaciół, ani wrogów. To pojęcia obce naszej Wspólnocie.

– A na zewnątrz? Nigdy nie miał żadnych problemów?

– Jakob nie opuszczał Posiadłości.

– Nawet w sprawach związanych ze sprzedażą wina? Mówiono mi, że był pośrednikiem między wami a światem zewnętrznym.

Rachel wciąż trzymała rękę za oknem, jakby nie przeszkadzało jej, że deszcz moczy papierosa, a wiatr smaga skórę (o dziwo, miała podwinięte rękawy). Niémans zauważył na jej lewym przedramieniu znamię. Kształtem przypominało salamandrę – ten stygmat czarownicy zupełnie do niej nie pasował.

– Ludzie przychodzili do niego – odparła. – A ten, kto tu przychodzi, musi przestrzegać naszych zasad. Czy pan wie, że w Posiadłości pieniądz nie jest w obiegu?

Niémans skinął głową, ale znał ludzi i wiedział, że żaden bóg nigdy nie zmieni ich prawdziwej natury. Przeciwnie – religie nasilają ludzkie namiętności, ułomności ducha, grzeszność ciała...

– Jak opisałaby pani jego osobowość?

Nie zmieniła pozycji, odwróciła się tylko twarzą do Niémansa. Jej oczy błyszczały, jakby skupiło się w nich całe światło deszczu.

- Był człowiekiem... spełnionym?
- Spełnionym dzięki czemu? Swojej rodzinie? Pracy?

Zgaszonego papierosa schowała do kieszeni fartucha. Niémans zamknął okno.

– Spełnionego w naszym Panu – szepnęła, przyjmując pierwotną pozycję. Znów siedziała wyprężona i sztywna jak kołek. – Był człowiekiem pełnym pokoju i pogody.

Niémans nie dopytywał. Chwila nie była odpowiednia na brukanie tego obrazu, nie miał zresztą nic do zarzucenia Jakobowi.

- Czy mówił pani o freskach ukrytych w kaplicy Saint-Ambroise?
- Nigdy.
- Ale renowacja tego miejsca leżała mu na sercu?
- Oczywiście, podobnie jak nam wszystkim.
- Dlaczego?

Zerknęła na niego jasnoniebieskimi oczyma, a on poczuł się tak, jakby ochlapała go krystaliczną wodą.

- Dlaczego co?
- Dlaczego tak bardzo zależy wam na renowacji tej kaplicy?
- Służyła nam za schronienie, gdy...

Przerwał jej, unosząc rękę i natychmiast pożałował, że zadał to pytanie. Znów usłyszałyby oficjalną wersję.

- Czy litery MLK z czymś się pani kojarzą?
- Nie.
- A rytuał umieszczania kamienia w ustach zmarłego?

Rachel zadrżała. Znów na niego zerknęła.

- W ustach Jakoba znaleziono kamień?
- Z pewnością w ustach pierwszej ofiary – odparł wymijająco.
- Samuel...

Wypowiedziała to imię szeptem, jakby dopiero teraz przypomniała sobie, że śmierć Jakoba nie była pierwszą, do jakiej ostatnio doszło. Gdzieś istniała lista, a ta lista była obrazą boską.

- Czy z czymś się to pani kojarzy? – nie ustępował Niémans.
- Nie – powiedziała Rachel, wyglądając na zewnątrz.

Nie wiedział dlaczego, ale przekroczyli czerwoną linię – ta młoda kobieta nie powie już ani słowa.

- Muszę wrócić do pracy – odezwała się, jakby na potwierdzenie.

– Każę panią odwiedzić.

Rachel już otworzyła drzwi.

– Nie, chcę wrócić ciężarówką, ze wszystkimi.

Niémans nie zdążył już nic powiedzieć – Rachel zatrzasnęła za sobą drzwi i pobiegła w deszczu. Patrzył, jak ta drobna postać się oddala, jak drepcze, przecinana strugami wody spływającymi po szybie.

– Dziewczyno – szepnął. W kabinie unosił się jeszcze zapach jej dziwnego tytoniu. – Siedzisz w tym bagnie po uszy.

Gdyby przypadkiem Emisariusze dopadli winnego przed nim, właśnie taka młoda kobieta, może sama Rachel, wcieliłaby się w rolę kata. „Zapłatą za grzech jest śmierć”, powiedziała Desnos, przytaczając słowa Świętego Pawła adresowane do Rzymian.

Mimo że Rachel nie wyglądała nawet na swój wiek, była ważna, bardzo ważna. Tak ważna jak biblijne ruiny, zabytki dawnych czasów, prawo Starego Testamentu. Za pięknem i młodością kryła się skamielina, której nic nie mogło skłonić do zboczenia z obranej drogi.

Kiedy wysiadł z samochodu, musiał zmierzyć się z deszczem, który siekł mu w twarz. Teren wokół kościoła powoli pustoszał. Dziennikarze już się wynieśli, Emisariusze i robotnicy sezonowi zbierali się, żeby wrócić do pracy. Przeszedł kilka kroków, kiedy znów stanęła przed nim Desnos.

– Zwłoki dotarły do Brason. Niedługo zaczniesz się autopsja.

– Tylko mi nie mów, że to znowu Zimmermann...

– Nie mieliśmy nikogo innego, a prokurator przystał na ten wybór.

Niémans był bliski szału, ale zapanował nad nerwami – nie należało teraz prowokować konfliktu. Zaledwie kilka godzin temu zawarli pokój.

– Przez tego typka zmarnowaliśmy mnóstwo cennego czasu – mruknął, nie mogąc się powstrzymać. – Gdybyśmy wiedzieli, że ten kamień...

Wśród zwlekających z odejściem Niémans zauważył Ivanę, która ich obserwowała.

– Dobrze – ustąpił. – Kontynuuj.

– W porządku.

– Ja tymczasem odwiedzę jeszcze raz proboszcza z Brason, chcę wiedzieć, co sądzi o napisie „MLK”. Jestem pewien, że te litery mają jakieś znaczenie w biblijnym uniwersum. Być może to coś starohebrajskiego.

– Dlaczego?

– Ponieważ pierwotnie w hebrajskim nie zapisywano samogłosek – wyjaśnił, patrząc na nią z przyjaznym uśmiechem. – Widzisz, można być starym macho, a mimo to posiadać elementarną wiedzę.

Wskazał żandarmów i techników kryminalistyki, którzy zapuszczali się w las w szarawym świetle deszczowego dnia.

– A twoja operacja Ślimak? Posuwa się?

Desnos spłoszyła.

– Żartowałem – uśmiechnął się znowu. – Po rozmowie z księdzem pojedziemy oboje złożyć wizytę Zimmermannowi.

– Dlaczego mam z panem jechać?

– Bo ktoś musi mnie powstrzymać przed spraniem go po pysku.

– Chwilami zastanawiam się, w jakim jest pan wieku umysłowym.

Nie odpowiedział – Ivana dała mu dyskretny znak, wskazując lasek za kaplicą, ten, w którym odbył potajemną naradę ze Schnitzlerem.

Pokiwał głową. Randka z przełożonym w biały dzień, w miejscu pełnym Emisariuszy i żandarmów!

W roli „kreta” pozwalała sobie naprawdę na szaleństwo.

Idąc znów ścieżką, Niémans wypatrzył zarośla po lewej stronie, gdzie jeszcze nie podjęto poszukiwań. Wśliznął się między dwa drzewa, jak ktoś, kto znalazł ustronne miejsce, żeby się odlać, a potem zbiegł po zboczu. Suche liście, gałęzie i kora pękały z trzaskiem pod jego butami. Był pewien, że Ivana czeka na dole.

Zobaczył polankę, a zaraz potem usłyszał za sobą kroki, lżejsze od jego własnych. Okazało się, że Ivana idzie jego śladem. Patrząc na nią, przez moment pomyślał o Rachel. W tym stroju wyglądały jak dwie strony monety.

– Gratuluję imponującego pokazu – rzuciła, ciężko dysząc.

– Nie mam z tym nic wspólnego. Wiadomość wyciekła, nie wiem jak. Pewnie wygadał się któryś z żandarmów.

– U Emisariuszy wiadomość gruchnęła o siódmej rano. Wszyscy rzucili sekatory i pognali do kaplicy. Na jakim etapie jesteście?

– Działania na miejscu zbrodni zostawiłem cruchotom.

– Nie sądzę, żeby standardowe metody cokolwiek dały.

– Zawsze jest szansa. A ty? Masz coś nowego?

Ivana beznamiętnym tonem, z miną osoby, która nie ma nic ciekawego do dodania, przekazała mu prawdziwie sensacyjną wiadomość: tą młodą kobietą, do której się zbliżyła, była właśnie Rachel Koenig.

– Nie mogę uwierzyć, że to przeoczyłam. – Westchnęła.

– Znam inne słowa na określenie tego błędu.

– Nie zaczynaj. Ta dziewczyna to Emisariuszka lambda, wpatrzona wyłącznie w Biblię. Chciałam dzięki niej lepiej poznać Wspólnotę, a nie wnikać w życie osobiste jednostki.

Ivana pomyliła się w ocenie. Rachel nie była standardową Emisariuszką, czuł to. Jej wiara osiągnęła poziom groźnej niezłomności i oddania. Niémans zetknął się z wieloma terrorystami, a w niej dostrzegał charakterystyczne dla nich mistyczne zaślepienie i zakłamanie krętaczy.

– Co o tobie wie? Tylko mi nie mów, że się wygadałaś.

Ivana nie odpowiadała. Z jej ust wydobywała się para, nabierająca na tle mchów i zarośli zielonkawego zabarwienia. Niémans miał wrażenie, że nie może ustać w miejscu.

– Nie – odezwała się w końcu. – Ale to ona uratowała mnie po wyprawie do szopy. Gdyby nie jej pomoc, skończyłabym pewnie tak samo jak Marcel.

– Co jej powiedziałaś?

– Że jestem dziennikarką i zbieram materiały o Wspólnocie.

To nie było najgorsze, ale Rachel nie była naiwna. Należało naprawdę skończyć z tą maskaradą. Niémans jednak nie odważył się rozkazać Iwanie, żeby zrzuciła ten cholerny fartuszek i nie wracała do Posiadłości.

Deszcz ustał, a ziemia parowała, spowijając się mgłą – lekkim oddechem, który pachniał zwiędłymi liśćmi i rozkładem.

– Tylko dlatego chciałaś się ze mną zobaczyć?

– Nie. Dziś rano zrozumiałam coś jeszcze.

Zwróciła swe zielone oczy na Niémansa. To spojrzenie przenikało przez jego źrenice, trafiając prosto w serce. Jak to się często zdarzało, pomyślał o kulkach z dzieciństwa. Subtelnie mieniące się szkło ukazywało w głębi zwyczajnej kulki złożoność świata. Mimo woli usłyszał nagle twarde stukanie kulek na dnie swojej torby.

– Jakob i Rachel byli nie tylko mężem i żoną. Byli też bratem i siostrą.

– Co ty opowiadasz?

– Oboje mieli na lewym przedramieniu identyczne znamię.

Migawka: dziwna salamandra w kolorze sepii na jasnej skórze.

– Sprawdź to, Jakob ma dokładnie takie samo znamię. Jeśli nie był jej bratem, to może ojcem.

Niémans od początku wyczuwał w tej sprawie coś podejznanego. Nie zapomniał dziwnej historii Paula Paride'a, obcego elementu usuniętego ze Wspólnoty.

Czy istniała szansa, żeby dobrać im się do skóry za kazirodcze związki? Wykluczone. Emisariusze prowadzili swoje księgi stanu cywilnego. Dostarczali merostwu w Brason te informacje, które chcieli. Poza Posiadłością nikt nie wiedział, kto jest kim. Ale ta

wiadomość była na wagę złota – silny pionek, który we właściwym momencie należy przesunąć na szachownicy.

– Jaki jest kolejny etap? – spytała Ivana.

– Odkryć znaczenie inicjałów na torsie Jakoba i węgla drzewnego w ustach.

– Planujesz kolejny najazd na Posiadłość z tą całą hordą?

– Jasne. I przesłuchanie wszystkich.

– Nie będą odpowiadali na żadne pytania. I nie przerwą pracy. Do końca winobrania zostało tylko kilka godzin. Pozwól im to zrobić!

Jakby wszyscy się zmówili! Ale Ivana miała rację, teraz tylko ona mogła pociągnąć za język Rachel i innych. Kto wie? Może rozpacz i łyzy trochę zmiękczą charaktery, jak deszcz rozmiękcza plakaty...

Niémans wyciągnął glocka i podał go jej.

– Weź przynajmniej to.

– Chyba żartujesz!

– Nie pozwolę ci tam wrócić bez broni.

– To by było prawdziwe wypowiedzenie wojny.

– Moim zdaniem wojna trwa już w najlepsze.

Czule ujęła go za rękę.

– Niémans, pozwól mi działać. Trzymaj się na dystans i zaufaj mi.

Chcąc ukryć wzruszenie, policjant oswobodził rękę. Nie bał się brutalnej przemocy, ale bał się czułości. Zwłaszcza czułości Ivany. Zawsze, gdy go dotykała, gdy się o niego ocierała, tworzyła zagrożenie dla domu z kart, który budował za cenę własnej krwi. Złe wybory, przy których trwał z uporem, błędne decyzje, którym zawdzięczał opinię twardziela – oto co chroniło go przed sentymentalizmem.

Gadanie! Czułość Ivany, choćby tylko lekkie muśnięcie, natychmiast przypominała o wszystkich niedoszłych spotkaniach. O żonie, której nie miał, dzieciach, o których marzył, miłości, której nigdy od nikogo nie potrafił przyjąć.

– Nie wyłączaj telefonu. Zadzwoń.

– Nie mogę, to zbyt niebezpieczne.

– Naprawdę mnie irytujesz. – Spojrzał na zegarek. – Spotkajmy się tu o dziewiętnastej. Pociągnij dziewczynę za język, zna lwią część prawdy.

– Możesz na mnie polegać.

Po jej twarzy przemknął cień zaniepokojenia. Jej uczucia można było wyczytać jak z otwartej księgi. Ta jasna skóra była delikatną, cienką membraną, bardzo czułą i reagującą na światło, a jeszcze silniej – na mróz...

– Tak czy inaczej – dodał, żeby ją uspokoić – każę pilnować Posiadłości.

– Nie potrzebuję ochrony!

– Wcale nie chodzi o ciebie, tylko o Emisariuszy. Jakiś morderca postanowił wybić tę wspólnotę i nie poprzestanie na tym, co zrobił, możesz mi wierzyć.

Na twarzy Ivany pojawił się przelotny uśmiech, blask, który na sekundę rozpałił jej oczy.

Chyba odzyskała pewność siebie. Choć z rąk zabójców Marcela groziła jej śmierć, choć utknęła między dwoma trupami, w tej fanatycznej Wspólnocie nagle wydała mu się beztroska, może nawet za bardzo.

Niémans znał ten narkotyk: mała Słowianka po prostu odleciała na haju śledztwa, była upojona wydzieraniem prawdy z trzewi zmarłych i przemocą. Był w szponach tego samego uzależnienia, ale „upijał się na smutno”.

– Zmykaj – rzucił, puszczając do niej oko. – Tylko uważaj, żebyś i ty nie oberwała kamieniem w głowę.

Ivana ruszyła biegiem i udało jej się zdążyć przed odjazdem jednej z ostatnich ciężarówek, które przyjechały po robotników sezonowych. Ludzie, wszyscy w szoku, siedzieli w milczeniu. Aż dziwne, że nie wzięli nóg za pas. No cóż, został im już tylko jeden dzień pracy, wypłatę mieli dostać nazajutrz.

A po nich choćby potop...

Milczeli. Kołysząc się i podskakując na wybojach, wracali, żeby do końca dnia zbierać owoce, które przemieniły się w grona strachu.

Pogoda diametralnie się zmieniła. Po praniu przyszedł czas na suszenie – wiatr w kolorze stali przenikał przez ubrania. Najpierw przemoczeni do suchej nitki, teraz przewiani, narażali się na ciężkie przeziębienie, ale nikt nawet nie wspomniał, że powinni się przebrać i rozgrzać. Chcieli jak najszybciej to zakończyć.

Ciężarówka się zatrzymała. Wszyscy wyskoczyli. Każdy chwycił kosz i sekator. Niektórzy już pracowali. Robotnicy sezonowi, Emisariusze byli w winnicy, pośród pożółkłych liści – pochyleni, przemarznięci, skupieni. Pracowali ciężko, jakby nic się nie stało, tylko ich ruchy były szybsze – musieli nadrobić opóźnienie.

Ivana wyciągnęła szyję: chciała wypełnić swoją misję i wśliznąć się między Emisariuszy. I wtedy zobaczyła coś nieprawdopodobnego.

Wśród kobiet w białych czepkach była Rachel. Wiernie trwała na posterunku. Bez namysłu, lekceważąc zalecenia Emisariuszy, Ivana pobiegła przez winnicę. Miała wrażenie, że wiatr ją popycha, zachęca, niosąc mdły zapach przejrziałych winogron, tę woń zachłannej śmierci.

Kiedy znalazła się na wprost Rachel, ruszyła szybko, odpychając pracujących w tym samym rzędzie i nawet nie przepaszając.

Zatrzymała się obok przyjaciółki i zabrała się do swojej pracy. Ułożyła sobie mnóstwo zdań, by wyrazić współczucie i pocieszyć, ale zdołała tylko zapytać:

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Rachel nie oderwała oczu od kiści winogron.

– Czego ci nie powiedziałam?

– Że Jakob jest twoim mężem.

Młoda kobieta przymknęła oczy, wykonując mechaniczne gesty. Ciach-ciach-ciach... Kiedy ścięła już wszystkie kiście, spojrzała na Ivanę. Jej tęczołki poszarzały, jakby przeglądały się w nich skały nieba.

– Chodzi o ten twój artykuł, tak? Chciałabyś poznać szczegóły mojego życia? Powinnaś się cieszyć, wdowa po zamordowanym to prawdziwa sensacja!

Nagle twarz Rachel rozplynęła się jak gorący wosk. Jej uroda nie przetrwała starcia z palącym bólem. Została tylko miękka, bezkształtna, ohydna maska.

Ivana przytrzymała ją serdecznym gestem za ramiona. Potem objęła ją wpół.

– Odprowadzę cię do domu. Nie jesteś w stanie teraz pracować.

Rachel uległa, a inni Emisariusze schodzili im z drogi. Ivana zauważyła w ich oczach wyrzut i milczące potępienie – Rachel się załamała, okazała słabość, a teraz pozwoliła, żeby „światowa” jej pomagała.

Doszły do terenówki zaparkowanej przy polanie, gdzie świętej pamięci Jakob odmawiał poranne modlitwy. Ivana otworzyła drzwi, a Rachel, u kresu sił, osunęła się na stopień samochodu. Tym razem załapała się łzami na dobre, jak zrozpaczona kobieta, która nie boi się płakać.

Mijały minuty. Ivana nie śmiała się odezwać. Kiedy Rachel wreszcie trochę się uspokoiła, Ivana wpadła na pewien pomysł – łajdacki pomysł policjantki. To była najlepsza okazja – teraz, kiedy przeciwnik leżał na łopatkach – żeby wydobyć z niej informacje.

– Widziałam zwłoki Jakoba – rzuciła.

Rachel nie reagowała. Siedziała oparta o drzwi i z podkulonymi kolanami, a jej ciężkie buty grzęzły w czerwonym błocie. Wyglądała jak zranione zwierzę, istota na tym padole bez znaczenia, ale w królestwie niebieskim mająca swe miejsce wśród pierwszych.

– Widziałam znamię na jego przedramieniu.

Rachel uśmiechnęła się i pokiwała głową. Cyniczna, a zarazem rozgoryczona.

Ivana brutalnie podciągnęła rękaw anabaptystki i odsłoniła takie samo znamię.

– Byliście rodzeństwem, tak?

Rachel bez słowa patrzyła na znak na swojej skórze. Gwałtownie odsunęła się od Ivany i wstała.

– Bóg nad nami czuwa – szepnęła rozmarzonym głosem. – Zesłał nam ten wiatr, aby wszystko wysuszył. Wieczorem zapłonie ogień.

– A może Jakob był twoim ojcem?

– Tylko popioły mogą nas wybawić... – szeptała Rachel. – Po ogniu nadejdzie wreszcie nowy sezon.

Ivana miała ochotę ją spoliczkować. Powstrzymała się, ale znów chwyciła ją za rękę i wycedziła przez drżące, zaciśnięte usta:

– Odpowiadaj!

Rachel znów się wyrwała i zmierzyła Iwanę od stóp do głów, jakby oceniała jej intelekt albo siłę fizyczną. Może zastanawiała się, ile dotrze do tej obcej. Potem otworzyła drzwi samochodu.

– Prowadź. Chcę ci coś pokazać.

Najpierw pojechały do szkoły po dwie córki Rachel: ośmioletnią Esther i pięcioletnią Marie. Dwie krystaliczne istotki o oczach barwy surowego srebra, wierne kopie matki, ale w mroczniejszej wersji.

Ivana nie rozumiała, co się dzieje.

Kiedy Rachel rozmawiała z nauczycielką, ona próbowała nawiązać kontakt z dziewczynkami, ale na próżno. I tak jej się powiodło – była w sercu Diecezji, tam, gdzie nigdy nie dotarł żaden „światowy”. I była tu oficjalnie, nie zakradła się jak wtedy z Marcelem.

Wokół rozpościerał się szkolny dziedziniec, a raczej zwykła skoszona łączka, na której kipiało życie i rozbrzmiewały krzyki. Dzieciaki – wesołe, o błyszczących oczach i policzkach czerwonych od zimna – ganiały się albo wspinały na ogrodzenie, żeby potem z niego zwisać.

– Załatwione. Możemy jechać.

W samochodzie Rachel nie odezwała się już ani słowem. Nie uroniła też ani jednej łzy. Od czasu do czasu gestem wskazywała drogę. Ivana nie potrafiła powściągnąć nadziei, że młoda Emisariuszka pokaże jej ukryte miejsce, zdradzi sekret, wyjawi straszliwą prawdę...

Przejechały tak wiele kilometrów. Diecezja była bardziej rozległa, niż Ivana przypuszczała. Krajobraz był natomiast znajomy – wciąż winnice, wciąż pochylone plecy wśród liści. Od czasu do czasu jednak, na łąkach, które tu i ówdzie przetrwały pośród upraw, Emisariusze poświęcali się innym zajęciom: pchali taczki pełne pędów, ciągnęli wiązki drewna, nosili naręczna ubrań.

– Co oni robią?

– Już ci mówiłam, szykują ogniska.

Zauważyła też innych mężczyzn idących drogą. Mieli osmalone twarze, brudne koszule, a w rękach płócienne worki. Ich białe kapelusze mocno ucierpiały.

– A ci?

– Znoszą węgiel drzewny, żeby ogień łatwiej się rozpałił.

Jak mogli na to nie wpaść? Teraz, kiedy Posiadłość lada chwila miała przeobrazić się w wielkie ogniska, węgiel drzewny w ustach Samuela i Jakoba symbolizował autodafe, spalenie. Zabójca wskazywał dzień popiołów. Ale dlaczego?

– Mamusiu, dokąd jedziemy? – spytała jedna z siedzących z tyłu dziewczynek.

– Odwiedzić Jeana.

Małe pisnęły z radości. Ten dzień, kiedy nagle wyszły ze szkoły na tajemniczy spacer, był dla nich wspaniałą zabawą.

– Kim jest Jean? – spytała Ivana.

Rachel nie odrywała oczu od drogi, która na tym odcinku była błotnista, pełna dziur i czerwonych kałuż.

– Ich bratem – powiedziała krótko.

– Ile ma lat?

– Siedem.

– I... gdzie jest?

– U innych! – krzyknęły chórem dziewczynki.

Przybrały na pół rozbawiony, na pół przerażony ton dzieci, które zdradzają sekret.

– U innych? – powtórzyła Ivana, zerkając na nie w lusterku wstecznym.

Dziewczynki zaczęły się śmiać, ale Rachel odwróciła się i spiorunowała je wzrokiem. Dzieci zamilkły.

– Co to za inni? – dopytywała Ivana.

– Zdobądź się na odrobinę cierpliwości.

Na horyzoncie ujrzała dwa pawilony układające się na równinie w literę L. Wybudowane z cegły, kryte dachówką, w niczym nie przypominały drewnianych szop Emisariuszy. Wszystkie okiennice były zamknięte, co wzmagało wrażenie, że ten kompleks jest odseparowany od świata. Ivana mimowolnie pomyślała o trzech małych świnkach i ceglany domu tej najrozważniejszej.

– Zaparkuj tu – poleciła Rachel.

Jeszcze manewrując, Ivana zauważyła coś, co ją zdziwiło – zaparkowane wokół pojazdy nie były typowymi tu furgonami ani maszynami rolniczymi, na których wykorzystywanie pozwalały Ordnung i Gelassenheit. Wyglądały jak ambulanse albo samochody dostawcze, ale bez żadnych symboli i oznakowań.

Wysiadły i szły w milczeniu, wyprzedzane przez dziewczynki, które trzymały się za ręce i podskakiwały. Pierwszą niespodzianką okazały się już drzwi wejściowe – rozsuwające się skrzydła z matowego metalu, otwierane za pomocą kodu, co w posiadłości znanej z tego, że nie dotarły tu żadne nowinki techniczne, zdumiało Ivanę.

Rachel bez zawahania wstukała kod. W tej chwili nie była już niewinną owieczką odciętą od świata zewnętrznego. Nie była nawet roztrzęsioną wdową. Pewność jej gestów, determinacja w oczach wskazywały na to, że była to nowoczesna kobieta, oswojona z technologią.

Drzwi się rozsunęły, ukazując hol skąpany w jaskrawym świetle i stojące w nim ławki. Dzieci, najwyraźniej przyzwyczajone do tego miejsca, zdjęły buty. Ivana zaczynała rozumieć: te plafoniery, białe ściany, lśniąca czystością podłoga, a przede wszystkim charakterystyczny zapach, detergenty i leki. Szpital.

– Zdejmij buty i włóż to. Potem załóż tę sukienkę.

Rachel wskazała jej obuwie w typie crocsów i fartuch z niebieskiego papieru. Ivana wypełniła polecenie, starając się nie

zaplątać w obszernym fartuchu i troczkach. Kręciło jej się w głowie. To przejście z jednego świata do drugiego było zbyt szybkie, brutalne, a przede wszystkim niezrozumiałe.

Matka i córki były już gotowe do wejścia na korytarz, który zaczynał się za podwójnymi szklanymi drzwiami. Znowu kod. Światło załamujące się na murach i terakocie tworzyło wrażenie nieważkości, jakby sufit i podłoga mogły zamienić się miejscami bez naruszenia równowagi.

Ale najbardziej przeszkadzała Iwanie cisza. Po dniach spędzonych na łonie przyrody, rozśpiewanej i szumiącej, brak dźwięków dosłownie ranił jej bębniarki uszne. Jeszcze gorzej poczuła się, usłyszawszy dobiegające skądś lekkie syczenie. W tego typu aseptycznych pomieszczeniach zawsze utrzymywano wysokie ciśnienie powietrza, żeby nie mogły się tu dostać żadne zanieczyszczenia.

Ivana na każdym kroku przekonywała się, z jakim kłamstwem miała do czynienia. Posiadłość, a zwłaszcza Diecezja znane z tego, że czas się w nich zatrzymał, że wszystko opiera się na rękodziele, tradycyjnym rzemiośle, wyrobie wina, dysponowały futurystyczną placówką.

Kolejny kod, jeszcze jedno szklane drzwi.

Następne pomieszczenie powierzchnią dorównywało dużej szopie, ale jego ściany obito wykładziną, a na podłodze położono miękkie linoleum. Plafoniery rzucały jaskrawe, choć nieco łagodniejsze niż w sąsiednich salach światło.

Na podłodze leżały zabawki, pod ścianami stały łóżka, stojaki do kroplówek, małe apteczki, ergonomiczne sprzęty dla niepełnosprawnych.

A wszędzie były dzieci.

Siedziały na podłodze, leżały na noszach, poruszały się na wózkach inwalidzkich. Wszystkie cierpiały na atrofie, wiele było zdeformowanych. Zebrano ich tu około trzydziściorga, żyjących poza czasem, poza ludzką świadomością. Niektóre miały bezmyślne twarze, inne były wesołe, jeszcze inne nienaturalnie skupione albo pobudzone bez widocznej przyczyny, jak uszkodzony mechanizm.

Słowianka, zawsze nadwrażliwa na los dzieci, zmusiła się, żeby obserwować je chłodnym okiem profesjonalistki, tak jak patrzyłaby na dowody rzeczowe. Co najmniej jedna trzecia dzieci przejawiała cechy zespołu Downa: miały okrągłe głowy, za szeroko rozstawione oczy, płaskie nosy. Deformacje u innych były jeszcze poważniejsze – szpiczasta czaszka, nos prawie nieistniejący, ciężkie wady uzębienia, oczy wytrzeszczone, jakby miały wypaść z oczodołów.

Ivana nawet nie zdawała sobie sprawy, że płacze. Gorącymi, dużymi łzami, wolno spływającymi jej po policzkach. Dostrzegała w tych biedactwach czystość, którą błędnie przypisała Emisariuszom. Jedynymi niewiniątkami w Diecezji były te dzieci. I trudno powiedzieć, by cieszyły oczy. Wszystkie ubrane w białe koszule (z grubego, surowego płótna w stylu Emisariuszy), wyglądały jak zbłąkane dusze nawiedzające to miejsce, nawet nie rozumiejąc, gdzie się znalazły.

– Jean!

Dziewczynki zauważyły brata. Leżał w łóżku. Był to bardzo chudy chłopiec z za dużą głową, która brodą dotykała piersi.

Trudno było powstrzymać się od skojarzenia z gadem. Oczy miał wyłupiaste, nos szczątkowy, wargi obrzmiałe. W dodatku skóra jego twarzy była naciągnięta jak kauczuk. Iguana z przyklejonym na stałe uśmiechem.

Siostry Jeana podbiegły do niego i tuliły to nieruchome dziecko, chyba kompletnie nieporuszone jego potwornym wyglądem. Całowały brata, pieściły, skakały po łóżku. Pielęgniarki w białych fartuchach pozwalały im na tę zabawę.

Choroba nie była więc ani klątwą, ani nawet problemem. Po prostu stanem faktycznym. Skutkiem woli Bożej, którą należało szanować i cenić. Na myśl nasunął się jej cytat z Biblii, dość oczywisty w tym miejscu: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie”^[13].

Nie śmiała podejść do Jeana i dziewczynek. Odmienność, jakakolwiek była, zawsze wprawiała ją w zakłopotanie. Ivana nie potrafiła zdobyć się na żaden gest, bała się zburzyć kruchą harmonię, która panowała wśród tych anormalnych.

- Teraz rozumiesz? – spytała Rachel, zbliżając się do niej.
- Nie, właściwie nie.
- W takim razie chodź. Wyjaśnię ci to.

Wiesz, co to jest endogamia?

– O ile się nie mylę, to zawieranie małżeństw w zamkniętej społeczności, której członkowie w rezultacie są ze sobą coraz mocniej spokrewnieni.

– Właśnie. To ludzie tacy jak my.

Kobiety przeszły do nieco oddalonego korytarza z rzędami krzeseł przytwierdzonych do ścian, jak w typowej poczekalni.

– Od czterech stuleci rozmnażamy się wyłącznie w ramach Wspólnoty.

Anabaptystka siedziała bokiem, odwrócona do niej, z rękami splecionymi na kolanach, w pozie cierpliwego nauczyciela, jakby mówiła do opóźnionej umysłowo. W tych okolicznościach był to już szczyt wszystkiego.

– Oznacza to, że z pokolenia na pokolenie nasze dziedzictwo genetyczne stawało się tak bliskie, że wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami.

Podwinęła rękaw, odsłaniając znamię.

– Wszyscy takie mamy. To nasz znak. Znak boży.

– Co w związku z tym? – rzuciła ostro Ivana.

– Złe geny muszą się ujawniać i umierać w... powiedzmy... swoim kąciuku, tak aby dobre nasienie krążyło wśród wybranych. Przypomnij sobie tę przypowieść o dobrym nasieniu i chwaście z Ewangelii Świętego Mateusza.

– Innymi słowy, te dzieci to chwasty?

– Skądże znowu. To nasi bracia, nasze siostry, nasze dzieci. Musimy je kochać i otaczać opieką. Ale Bóg wybrał dla nich inną drogę.

Rachel nie była już smutna ani zrezygnowana. Popadła w swoistą egzaltację, nad którą nie panowała.

– Jakob mawiał, że są ceną, jaką musimy płacić za naszą czystość.

– Za czystość?

– Podążamy własną drogą. Z każdym pokoleniem osiągamy wyższy poziom czystości, coraz bardziej oddalamy się od innych ludzi.

Przymknęła oczy i policjantka zaczęła się obawiać, że wpadnie w trans albo podobny stan.

– „Przypatrzcie się liliom na polu, jak rosną: nie pracują ani przędą. A powiadam wam: nawet Salomon w całym swym przepychu nie był tak ubrany jak jedna z nich”^[14].

Uniosła powieki – ze wzruszenia zaczerwieniły jej się oczy.

– Wkrótce staniemy się jak jedna istota, rozumiesz? – Słowa drgały na jej ustach. – Wyjątkowa istota, stworzenie boże oddane Mu bez reszty, ze wspólnym DNA. Naszą najpiękniejszą modlitwą jest nasze ciało, Ivano.

Policjantka podczas przesłuchań miała już okazję obserwować totalne odloty podejrzanych. Kiedy do tego dochodziło, należało wrócić do konkretnych pytań.

– Finansujecie ten szpital z zysków z wina?

– Tak.

– A kim są lekarze, którzy was leczą?

– Przygotowujesz artykuł? Może chcesz zrobić sobie notatki?

Ivana nie wiedziała, co powiedzieć. Najchętniej rzuciłaby jej prosto w twarz: „Jestem policjantką, kotku, i nie wiem, co powie o waszych kombinacjach sąd, ale znajdziemy podstawy, żeby zamknąć was na parę ładnych lat”.

Ale Rachel nie dała jej czasu na obmyślenie lepszej odpowiedzi.

– Chodź ze mną – poleciała, wstając. – Nie skończyliśmy zwiedzania.

Poszły w stronę drzwi na końcu korytarza. W crocsach i papierowych fartuchach szeleściły i plaskały.

Ivana czuła telefon komórkowy w kieszeni. „Zawiadomić Niémansa...” Ale anabaptystka otworzyła drzwi, wystukując kolejny kod. Błysnęło białe światło, jeszcze jaskrawsze niż wcześniej. Pchnęła policjantkę do środka.

Oślepiąca Ivana mogła rozejrzeć się dopiero po kilku sekundach. Sala miała około dwudziestu metrów kwadratowych i była pełna

fiolek, słoików, leków. Nie dało się zobaczyć, co zawierają opakowania, ale może lepiej było tego nie wiedzieć.

Rachel odwróciła się i niczym rozgniewana dziewczynka splotła ręce na piersi.

– Przecież po to tu jesteś, co?

Ivana osłoniła oczy ręką, żeby spojrzeć na Rachel, która niknęła w jaskrawej bieli.

– Czyli po co?

– Żeby znaleźć zabójcę Samuela i Jakoba. Po to tu jesteś, prawda?

Ivana chciała odpowiedzieć, ale język stanął jej kołkiem w gardle.

– O czym ty mówisz?

Pojawili się dwaj mężczyźni, którzy chwycili ją za ręce. Chyba chcieli przygnieść ją do ziemi. A Ivana nagle poczuła, że nogi ma jak z waty.

– Coś ty sobie wyobrażała? – dodała Rachel. – Że łykałam te twoje kłamstwa? Robotnica sezonowa? Dziennikarka? Głupia... Nosisz na czole policyjną odznakę...

Światło było coraz bardziej oślepiające. Migotało, drgało, żyło, raniło oczy jak odłamki szkła.

– Marcel też nie uwierzył w twoje bajki, ale nic nie wiedział. Inaczej na pewno by powiedział.

– To... To ty go torturowałaś?

– Czy to ważne, kto trzyma narzędzia? My tu jesteśmy jednością.

– Jesteście zdegenerowanymi fanatykami! – wybuchnęła Ivana.

Rachel pokiwała głową. Podły uśmieszek nie zniknął z jej ust.

– Nie wtrącamy się do waszego świata, wy nie wtrącajcie się do naszego. Popełniłaś straszny błąd, zbliżając się do fresku.

– Dlaczego? – wrzasnęła Ivana.

– To, co jest naszym powołaniem, musi pozostać niewidoczne.

Ivana próbowała się uwolnić od dwóch osiłek. Nie zdołała – ich palce wbijały się w jej ramiona jak haki.

– Po co w takim razie Otto Lanz namalował te freski?

To był zwykły blef, ale rezultat przeszedł najśmielsze oczekiwania. Na twarzy Rachel, i tak już wrogiej, teraz malowała się nienawiść. Gdy przekroczyły próg szpitala, przybyło jej dziesięć lat. Kości

policzkowe ostro rysowały się pod skórą, jakby oblicze śmierci wyłaniało się spod delikatnej cery młodej dziewczyny.

– Ważne jest nie to, co zostało namalowane, ale to, czego nie ma. Nigdy nie odkryjecie naszej tajemnicy.

Tym razem to Ivana się uśmiechnęła. Wiedziała, że sama już przepadła. Ale Niémans potrafi rozgryźć ich cholerne machlojki. Wyrwie z nich prawdę, jak zrywa się skalp z czaszki.

Spróbowała jeszcze honorowych negocjacji, przemawiając Rachel do rozsądku.

– Najważniejsze jest wykrycie mordercy, człowieka, który zabija waszych braci – powiedziała spokojniejszym głosem. – A do tego potrzebujecie policji. Prowadzimy wspólną walkę.

– Nikogo nie potrzebujemy. Zapewniam cię, że znajdziemy zabójcę. Ale wszystko w swoim czasie. Najpierw musimy zakończyć winobranie i przygotować dzień popiołów.

Iwanie zabrakło argumentów. Jej myśli topiły się w świetle, a panika brała górę nad rozumem.

Rachel wsunęła rękę do kieszeni fartucha.

– Pytałaś mnie, kim są pielęgniarki zajmujące się dziećmi. To my, robimy to kolejno, moja śliczna. Wszystkie mamy wykształcenie medyczne.

Trzymała w ręku strzykawkę, której igła połyskiwała i znikiała w świetle plafonier.

Ivana próbowała coś krzyknąć, ale słowa uwięzły jej w gardle.

– Siejemy i zbieramy. Potrafimy również niszczyć.

– Co to ma być? – zdołała spytać.

Rachel wcisnęła tłok. Kropelka roziskrzyła się jak w słońcu.

– „Ktokolwiek sprzeciwi się twojemu głosowi i nie będzie posłuszny twemu słowu we wszystkim, co mu rozkażesz, musi umrzeć”^[15], głosi Biblia.

– CO TO JEST?!

Kropła światła zsunęła się wzdłuż igły, zanim ta wbiła się w tętnicę szyjną Ivany.

III

OGIEŃ

WNotre-Dame w Brason Niémans minął się z Kosynskim, który wyruszył już do Colmar, aby wziąć udział w spotkaniu diecezjalnym. Natychmiast wsiadł do samochodu, ale zanim dojechał, spotkanie dobiegło końca, a proboszcz udał się już do Gérardmer, gdzie w kościele Saint-Barthélemy czekano na niego z chrztem.

Niémans znów pojechał za księdzem. Mógłby do niego zadzwonić, przesłać zdjęcia zwłok Jakoba, ale chciał zobaczyć jego minę, gdy pokaże mu litery wycięte na torsie Emisariusza. Czasami wyraz twarzy jest bardziej wymowny niż długie wyjaśnienia...

W Saint-Barthélemy trwał już chrzest. Nie można go było zakłócać. Niémans zajął miejsce w ławce, jak dyskretny, skupiony na modlitwie parafianin.

Kościół był wspaniały. Dziewięć betonowych łuków tworzyło przestrzeń przypominającą tunel wykuty w górze. W głębi wznosił się krzyż z czerwonego mosiądzu ze stylizowanym Chrystusem. Niémans poczuł się nieswojo – wystrój kościołów zawsze psuł mu nastrój, ale kiedy ta estetyka mieszała się z nowoczesnością, było jeszcze gorzej.

Prawdę mówiąc, skupiał się na architekturze, żeby nie myśleć. Ani o śledztwie, ani o Ivanie. Po drodze zadzwonił jeszcze do Desnos i poprosił, żeby wysłała żandarma do merostwa. Chciał dostać pełną genealogię Emisariuszy. Musiał się dowiedzieć, kto jest kim, kto kogo poślubił i kto był czyim dzieckiem... Nawet jeśli anabaptyści fałszowali księgi stanu cywilnego, da się na tej podstawie sporo ustalić.

Polecił jej też sprawdzić dokumenty ubezpieczenia zdrowotnego. Wprawdzie nie wyobrażał sobie Emisariuszy z książeczkami ubezpieczeniowymi w rękę, ale leczenie szpitalne zawsze pozostawia ślady administracyjne.

Genetyka. Kazirodztwo. Choroby. Między tym wszystkim istniała ukryta spójność, tylko jak uchwycić jej istotę...

Jacques Lacan powiedział, że Sigmund Freud nie odkrył nieznanego kontynentu, lecz system, który pozwala zrozumieć jego język. Nie był Krzysztofem Kolumbem. Był Champollionem.

Niémans czuł się tak samo w obliczu dowodów tej sprawy. Nic nie służyło do analizy jej pojedynczych elementów. Podobnie jak hieroglify, które nabierały znaczenia dopiero obok innych i tylko wówczas, gdy każdy znalazł się na właściwym miejscu. Niémans jednak nie odnalazł dotąd swojego kamienia z Rosetty.

– Panie komendancie!

Drgnął. Kościół opustoszał, a Kosynski stał przed nim w zielonym ornacie wyszywanym złotą nicią. Pochłonięty myślami policjant nie zauważył, kiedy kapłan się do niego zbliżył.

– Co pan tu robi?

Niémans wstał. Zmęczony, wymięty, czuł się jak kloszard, który zasnął w nawie.

– Chciałbym ojcu coś pokazać.

– Słyszałem w radiu, że jest kolejna ofiara.

Niémans wyjął telefon i zaczął szukać zdjęć.

– Nie – zaproponował ksiądz. – Nie tutaj. To miejsce uświęcone, a ja zaraz mam następny chrzest.

– To zajmie tylko chwilę.

Kosynski rzucił okiem w stronę drzwi, przez które wlewał się już tłum ubranych odświętnie ludzi, a potem ruszył w stronę ołtarza.

– Proszę ze mną.

Skręcili w prawo. Kosynski gestem ręki polecił Niémansowi wejść do czarnego konfesjonału. Zanim Niémans usiadł – albo raczej wcisnął się w ciasną przestrzeń – duchowny już otwierał dzielącą ich kratę.

– Proszę mi to pokazać.

Niémans wahał się przez moment – nie wchodził do konfesjonału od co najmniej czterdziestu lat. Ale ta przestrzeń była wręcz idealna na ich rozmowę.

– Niech pan się pośpieszy.

Policjant podał mu telefon przez okienko. Pierwsze zdjęcie przedstawiało zwłoki Jakoba ułożone na plecach, tak jak znalazł je z Ivaną. Litery MLK na piersi były wyraźnie widoczne.

Duchowny z odrazą zmarszczył nos i rozchylił usta, odsłaniając różowe dziąsła.

- Boże, to jest Jakob?
- Czy te litery coś ojcu mówią?
- Oczywiście.
- To aż takie oczywiste?

Rzucił to pytanie od niechcienia i – wbrew wszelkim oczekiwaniom – chwyciło. Kosynski cofnął się w mrok, drewno posępnie zaskrzypiało. Konfesjonał pachniał politurą woskową i wilgocią.

– Te litery odpowiadają zachodniosemickiemu rdzeniowi oznaczającemu „panować, być królem” – wyjaśnił duchowny. – Bez samogłosek i kontekstu nie da się powiedzieć dużo więcej, ale w zasadzie może to być „król”, po hebrajsku melek, a także „bóstwo”.

- Jakże?
- Nie wiem.
- Tylko tyle może mi ojciec powiedzieć?
- Cóż... Tylko tyle.

– Jak wiązałyby ojciec te litery z freskami, które oglądaliśmy wczoraj?

– Tego dokładnie nie określe. Jak już mówiłem, te inicjały mogą nawiązywać do którejś historii Starego Testamentu.

- Jednej z namalowanych na sklepieniu?
- Nie. Raczej nie. Nie jestem znawcą języków semickich.
- A czy mógłby ojciec to sprawdzić?
- Hmm... Tak, oczywiście.

Kosynski otarł czoło. W tej budce było chłodno, ale jemu chyba zrobiło się gorąco. Niémans wiedział, że nawet nie spróbuje poszukać informacji. Jeśli to zrobi, to wyłącznie po to, żeby powiadomić o sprawie przełożonych, a nie policję. Tym razem milczenie przerwał duchowny. Ich twarze wynurzały się z mroku tylko dzięki światłu ekranu komórki padającemu od dołu.

- Co się dzieje w naszej dolinie? Macie już jakiś trop?

Niémans nie odpowiedział. Miał niejasne wrażenie, że Kosynski mówi prawdę – nie wiedział, o co tu chodzi, ale te trzy litery rozbudziły w nim dawne lęki. Starotestamentowe plagi? Gniew Boży? Das Biest, jak mówiła Ivana?

I nagle Niémansa ogarnęła litość wobec Kosynskiego. Właściwie niepotrzebnie wciągnął proboszcza w cały ten koszmar. Aperghis wkrótce przyjedzie i zniesie ten szok.

Po pierwsze, dlatego że piekło nie było mu obce.

Po drugie, ponieważ był to winien Niémansowi.

– Dziękuję, ojcie. Zadzwoń.

Zabrał telefon i z poczuciem ulgi wyszedł z konfesjonału. Miał wrażenie, że oswobodził się z klatki, takiej, jakiej używają górnicy, zjeżdżając do kopalni.

Jakie światło padało o godzinie szesnastej na drogę do Brason? Z biegiem godzin mozolny świt przerodził się bezpośrednio w błady zmierzch. Teraz dzień powoli dogasał, jak w tych filmach, gdzie pokazuje się zniszczenia po trzęsieniu ziemi w zwolnionym tempie, żeby spotęgować skalę dramatu.

Mgła, która nie ustąpiła przez te wszystkie godziny nawet na chwilę, podniosła się jeszcze, nabierając szarawej barwy. Droga i rozpościerające się po jej obu stronach pola wyglądały tak, jakby gdzieś w okolicy przesiewano rudy żelaza, zasypując wszystko siwymi magnetycznymi opiłkami.

Niémans prowadził jak zawsze – z nogą na gazie, na każdym wirażu ocierając się o skraj drogi. Cieszył się tą prędkością z dwóch powodów: po pierwsze, lubił szybką jazdę; po drugie, miał fizyczne, namacalne odczucie, że przekraczając dozwoloną prędkość, lekceważąc znaki stopu i światła oraz łamiąc niemal wszystkie zasady bezpieczeństwa drogowego, opowiada się za takim życiem, jakie cenił. Miał gdzieś te czasy, które stały się jednym wielkim nakazem ostrożności.

Co można wygrać, jeśli się nigdy na nic nie postawi? Niémans miał tylko jednego wroga: nudę.

Snuł te bzdurne rozmyślenia macho, kiedy Desnos, po którą podjechał, spytała:

– Czy mógłby pan trochę zwolnić?

Uniósł nogę nad pedał gazu, jak dusiciel zmniejsza ucisk na szyję ofiary.

Musiał przyznać, że perspektywa spotkania z tym idiotą Zimmermannem i ścierania się z jego niekompetencją dodatkowo go denerwowała. Miał jednak nadzieję, że tym razem konował zakasze rękawy i wykona solidną robotę.

Rozdzwonił się telefon Desnos. Co najmniej sześć sygnałów, zanim odebrała, bo kurtka, pas, broń i latarka krępowwały jej ruchy.

Potem zaczęła się rozmowa, której lwią część stanowiły tajemnicze „uhm-uhm” i „OK”. Trudno było się zorientować, z kim i o czym rozmawia.

– Co się stało? – spytał Niémans, kiedy się rozłączyła.

– Dzwoniła koleżanka, która bada genealogię Emisariuszy.

– I co?

– Nic. Według pracownika merostwa prowadzone są dla nich odrębne księgi stanu cywilnego, ale z tych ksiąg niewiele wynika. Zgłaszają, co chcą, a większość nosi to samo nazwisko.

Niémans spodziewał się takiej odpowiedzi, ale liczył, że w systemie anabaptystów uda się znaleźć jakiś słaby punkt.

– Ale przecież w aktach stanu cywilnego podaje się nazwiska rodziców, to wymóg prawny. Poza tym jest dokumentacja medyczna, która...

– Nie rozumie pan. Wszystko dzieje się za murami Diecezji. Kobiety rodzą tam bez pomocy lekarskiej, jak dwa tysiące lat temu. Bez opieki przedporodowej, bez USG...

– A ubezpieczenia?

– To samo. Oficjalnie nikt z nich nigdy się nie leczył. Nigdy nie zwrócono im ani euro za koszty leczenia, nie wypisywano recept ani skierowań.

– To niemożliwe. Muszą przecież chorować na raka, na serce, jak wszyscy. Nie wspomnę już o tym, że bliskie pokrewieństwo prowadzi do dziedzicznych chorób genetycznych.

– W takim razie – odparła Desnos – mają własnych lekarzy. Dojeżdżamy.

Na parkingu wciąż nie było ani żywego ducha. Zaparkowali i wysiedli. Ozory lodowatej wichury lizały ziemię, wycierając kałuże.

Budynki szpitalne dzielnie opierały się wiatrowi. Kurtka Desnos wzdęła się jak żagiel kitesurfera, czarne palto Niémansa łopotało niczym piracka flaga.

Już w szpitalu przeszli przez patio i otwarte galerie. To miejsce po trosze przypominało zapomniany basen z lat trzydziestych, a po trosze miniaturowy Palais de Tokyo. Doszli lewym skrzydłem do zamkniętych drzwi, jak poprzednio. Desnos pchnęła skrzydło. Zatrzymali się przed schodami.

- To w suterenie – powiedziała.
- Skąd wiesz?
- Od Zimmermanna. Kostnica jest na dole.

Znaleźli włącznik i zeszli. Praca lekarza sądowego jest zwykle cicha, ale tego wieczoru padł chyba rekord spokoju. Na dole ruszyli betonowym korytarzem, gdzie rury i zwisające z sufitu przewody zastąpiły freski. Mijali pojemniki na śmieci i pozostawione byle gdzie wózki. W takim miejscu można było się zajmować już tylko zmarłymi. Na końcu korytarza spod drzwi sączyło się światło. Desnos zapukała. Cisza. Niémans otworzył drzwi.

Kiedy weszli do sali, nie od razu to zobaczyli. Przynajmniej on, glina zaprawiony w boju, z trzydziestoletnim doświadczeniem w sprawach kryminalnych, się nie zorientował. A Desnos...

W głębi pomieszczenia wyłożonego od podłogi po sufit białymi kafelkami z pełną siłą świeciły lampy jak gigantyczne oczy muchy.

Pod nimi stały dwa stoły sekcyjne.

Na tych stołach leżały dwa ciała.

Pierwsze wydało im się niemal bliskie: Jakob, łatwy do rozpoznania – naga, biała bryła okolona czerwienią brody, włosów, owłosienia łonowego.

Drugie też znali: Zimmermann, ubrany, ale w rozchełstanym na piersi białym fartuchu i rozpiętej koszuli, z zakrwawionym torse.

Nie trzeba było być szczególnie przenikliwym, żeby zgadnąć, co wypisano na jego skórze.

Śledczy podeszli w milczeniu, nawet nie myśląc o tym, żeby dobrać broni. O dziwo, nie wydawali się ani przerażeni, ani nawet zaskoczeni. To było raczej tak, jakby porwał ich nurt koszmaru, z którym już nie walczyli.

- Morderca lubi porządek – szepnęła Desnos.

I rzeczywiście, ta pusta kostnica z dwoma nieboszczykami, ułożonymi na metalowych stołach, w świetle lamp, wyglądała jak miejsce ezoterycznego obrzędu albo wystawy sztuki współczesnej.

- Powiedziałbym raczej, że ma poczucie humoru.

Obudził ją pierwszy hałas. A raczej – pierwsza fala...

Przez uchylone powieki najpierw ujrzała własne odbicie w wersji chromowanej, zniekształcone i obsceniczne. Ubrana w tradycyjną sukienkę, leżała skulona na ziemi. Ręce i nogi miała skrępowane taśmą, usta zaklejone. Zupełnie nie w rękodzielniczym stylu Emisariuszy.

Leżała w stalowej kadzi, czymś w rodzaju dużego okrągłego zbiornika na wodę, a lśniące ścianki otaczały ją ze wszystkich stron, zbyt ciasno, zbyt wysoko. To musiała być jedna z kadzi w piwnicach Diecezji.

Nie miała pojęcia, co te łotry jej wstrzyknęły, ale czuła potworne mdłości i gorycz w gardle. Nie była w stanie zebrać myśli. W dodatku migrena zabijała w załączku wszelkie próby refleksji.

Mimo wszystko starała się przeanalizować sytuację. Kadź miała jakieś dwa, trzy metry średnicy i była w pełni szczelna. Czy to znaczy, że zdechnie tu przez uduszenie? Odwróciła się lekko i spojrzała w górę, żeby ocenić wysokość. Co najmniej dziesięć metrów. Jaką pojemność miała taka beczka? Dziesięć tysięcy litrów? Pięćdziesiąt tysięcy? A przede wszystkim – czego? Tak czy inaczej, tlenu na razie jej nie zabraknie.

Nie rozumiała tylko jednego – światła. Skąd się brało? Zmobilizowała wszystkie siły i w końcu na samej górze zobaczyła otwarte okienko. Najwyraźniej w piwnicy paliło się światło, a jego strumień dostawał się tu, wystarczająco silny, żeby rozproszyć ciemności w całej kadzi.

Nagle kolejny strumień chlusnął jej na biodra. Spojrzała w dół. Brunatna, spieniona struga spływała do kadzi, połyskując złotem. No, Ivano, wysił wyobraźnię. Tutaj spływał sok wyciskany z winogron, słycać było nierówny rytm pracy silnika pompy.

W jednej chwili panika rozpedziła z trudem zbierane myśli. Teraz strumień płynął już ciągle. Zbiory z ostatniego dnia łały się na jej

skrępowane ciało.

Jeszcze kilka minut temu miała pod nogami niewielkie kałuże, teraz grząska maź łączyła się, jak podczas przypływu, i atakowała jej unieruchomione członki. Sok, przypomniawszy sobie, że nazywa się go moszczem, otaczał ją, żółtawa piana wciskała się w fałdy ubrania.

„Do diabła, rusz głową!” Teraz sok oblepiał jej kolana, był na szyi, sięgał klatki piersiowej. Leżała z podkulonymi nogami, na boku, i zastanawiała się, czy to najlepsza pozycja. Gdyby przekręciła się na plecy, może mogłaby...

Lepka maź chlusnęła jej prosto w twarz.

Cała ta sytuacja, gdyby nie tak tragiczna, byłaby wręcz śmieszna: Ivana miała utopić się w soku z winogron, chociaż nigdy nie lubiła wina!

Masz dzieci?

Siedzieli pod arkadami otaczającymi patio, na schodach prowadzących do basenu, i czekali na wsparcie. Nie mogli i nie chcieli dotykać niczego na dole ani tkwić przy dwóch trupach. Potrzebowali świeżego powietrza.

Desnos nie od razu odpowiedziała. Pytanie odbiło się echem w długiej, wykładanej ceramiką niecce.

– Tak, dwoje. A co?

– Nic. Masz ich zdjęcie?

Desnos była coraz bardziej zdezorientowana.

– Owszem, mam – szepnęła po chwili.

Wstała i sięgnęła do kieszeni. Teraz, kiedy nad nią stała, pomyślała, że jest monumentalna. W tej geometrycznej scenerii z lat trzydziestych kojarzyła mu się z Ateną z brązu z Porte Dorée, boginią bez ozdób.

W końcu podała mu swój telefon.

Oglądanie zdjęć cudzych dzieci jest wyjątkowo nieciekawe, a mimo to Niémans przez moment przypatrywał się brzdącom, które ledwie rozróżniał. Ta fotografia sprawiła, że sobie pogratulował – na szczęście nie flirtował z nową koleżanką, nie próbował jej podrywać, choć tak właśnie robi wielu mężczyzn na widok bujnych piersi, idąc za prymitywnym, cielesnym instynktem, a nie za tym, co służy budowie życia.

– A pan? – odważyła się zagadnąć Desnos, kiedy oddał jej telefon.

– Ja? Ani żony, ani dzieci.

Odczekał kilka sekund i dodał – pewnie pod wpływem tej scenerii i dwóch trupów pod nimi:

– Jestem sam. Sam ze swoją pracą.

– I ze wspomnieniami.

– Też nie. Pamięć w moim wieku nie zawsze jest atutem.

Desnos włożyła ręce do kieszeni. Zimno zaczynało przykuwać ich do ziemi niczym kolumny wznoszące się wokół patia.

– Jest ta rudowłosa. Znaczy dużo więcej niż partnerka z pracy?

Skinął głową, chowając się aż po czubek nosa w podniesiony kołnierz.

– Jej funkcji nie ma w wykazie stopni policyjnych.

Desnos uśmiechnęła się ze wzruszającą spontanicznością. Wyglądała na rozczuloną i zadowoloną: przebiła zbroję paryskiego gliny.

Milczenie znów się przeciągało. Policjanci mogliby poczuć się jak na obcej planecie, której populację zdziesiątkował wirus, pozostawiając tylko tę architekturę z kamienia i pustki, z cegły i fajansu.

– Co pan o tym myśli?

Drgnął, słysząc pytanie Desnos.

– O czym?

Nie odpowiedziała. Aluzja do dwóch nieboszczyków w suterenie była jasna.

– Myślę, że myliłem się w całej rozciągłości co do Zimmermanna. Uznałem go za durnia, tymczasem to ja jestem tu jedynym durniem. A on był współnikiem Emisariuszy.

– Skąd ten wniosek?

– Za pierwszym razem nie znalazł kamienia, bo wcale nie chciał go znaleźć. Emisariusze na pewno mieli nadzieję, że nie będzie więcej morderstw i że mogą ukryć wiadomość od mordercy.

– Jaką wiadomość?

– MLK i węgiel drzewny.

Hieroglify, ale wciąż bez kamienia z Rosetty... Na głos układał kawałki, które mimo wszystko mógł posklejać.

– Kiedy po raz pierwszy przyszliśmy do Zimmermanna, on właśnie pakował walizki. W rzeczywistości chciał uciec. Zrozumiał wiadomość, tak samo jak pozostali. Tak uważam.

– Dlaczego w takim razie nie wyjechał?

– Nie zdążył. Chciał najpierw zatrzeć własne ślady. Dokumentację medyczną Emisariuszy. To on ich leczył, właśnie tu, w tej niby-

opuszczonej poradni. Anabaptyści pewnie płacili mu bez rachunków, i tyle. Dlatego ubezpieczalnia nigdy o niczym nie wiedziała.

Desnos znów stanęła przed Niémanssem. Jej postura, ta czarna sylwetka o pełnych kształtach, nadal przypominała mu zbyt duży posąg.

– A co zrobiłby w przypadku Jakoba?

– Mówiłby. Po pierwsze, dlatego że nie miał już wyboru, a po drugie, dlatego że był kolejny na liście.

– Ale... Dlaczego morderca miałby się zawziąć właśnie na tych ludzi?

Niémans wstał. Kiedy mówił, jego myśli nabierały kształtu i cała konstrukcja, którą tworzył, wydała mu się solidniejsza, niż przypuszczał.

– Mści się. Samuel, Jakob i Zimmermann zrobili coś strasznego, a morderca ich ukarał. Kiedy poznamy charakter ich winy, dowiemy się, kto jest zabójcą.

– Czy lista winnych... Mam na myśli winnych wśród Emisariuszy... Jest według pana długa?

– Nie mam żadnych podstaw, żeby to określić, ale jestem przekonany, że fresk może nam pomóc w rozwikłaniu tej zagadki.

– Zafiksował się pan na tym fresku, słowo daję. Nie wiem, w jaki sposób...

– Ściągnąłem specjalistę. Wkrótce tu będzie. Pokładam w nim wielkie nadzieje.

– To ten facet, po którego posłał pan samochód?

– Zgadza się.

– Mój człowiek już go zabrał. Ponoć jest... Jak by to powiedzieć... Specyficzny.

Niémans uśmiechnął się pod osłoną ciemności.

– Owszem, można tak powiedzieć.

Pomyślał o Ivanie. Nie udało mu się do niej dodzwonić, więc nie wiedziała o trzecim morderstwie. Ledwie minęła piąta po południu. Spotka się z nią za dwie godziny w Saint-Ambroise. Tym razem bezdyskusyjnie zabierze ją stamtąd, choćby musiał wpakować ją do bagażnika.

– Zauważył pan rany na tułowiu Zimmermanna?

– Co z nimi?

– Cechuje je to samo co rany Jakoba.

Gdyby powiedziała to dwadzieścia cztery godziny wcześniej, Niémans pewnie by ją zbył, ale teraz doceniał jej profesjonalizm. A przede wszystkim zaczął ją poznawać: skoro o czymś mówiła, to z pewnością miała do przekazania coś konkretnego.

– Nacięcia skóry są podwójne. To nie jedno cięcie, ale dwa, bardzo blisko siebie. Moim zdaniem użyto sekatora, który lekko się rozchyła albo ma niesymetryczne ostrza.

– Szukanie sekatora u Emisariuszy to ma być twój trop?

– Nie. Emisariusze mają ich tysiące, żaden nie jest niczyją własnością. Ale może to dodatkowy element układanki. Zabójca mówi nam o winobranii. I trzeba to połączyć z literami, węglem drzewnym i freskiem.

Niémans położył jej ręce na ramionach i się uśmiechnął.

– Nadajemy na tych samych falach.

Nie zdążył nic dodać. Posiłki nadciągały. Syreny wyły w ciemnościach. W tym dźwięku posępne jęki łączyły się z wyniosłą obojętnością.

Kiedy znów zobaczył maksymę żandarmów na samochodach, pomyślał, że ma już dość tego odgrzewanego dowcipu.

Gdzie on jest? – spytał Niémans, wchodząc na posterunek żandarmerii.

– Czeka w biurze na pierwszym piętrze – powiedział mężczyzna, który przywiózł Érica Aperghisa z klasztoru. – Słowo daję, to oryginał! Wiedział pan, że chodzi boso? A ten zapach...

Niémans mógłby powiedzieć mu o Aperghisie wiele innych ciekawych rzeczy, znacznie bardziej pieprznych, ale poprzestał na pokiwaniu głową i poszedł na górę. Zostawił Desnos na miejscu zbrodni – zaczynała nabierać w tym wprawę.

Oblat spokojnie na niego czekał, siedząc na krześle. Nie miał ani kawy, ani szklanki wody. Nawet nie zdjął palta, a raczej peleryny. Wierny sobie, przypominał starożytnego anachoretę siedzącego na wierzchołku góry i odpornego na zło, jak otaczające go węże i skorpiony.

Nie zmienił się. Wychudzony tak, że można było policzyć jego kości, szary jak ścierka, której nie płukano od tygodni, miał czarne paznokcie, guzowate dłonie, brodę sztywną od brudu... Można byłoby wziąć go za kloszarda, gdyby nie szlachetność rysów, która natychmiast nakazywała zaliczyć go do grona eremitów, ascetów, uduchowionych mistyków.

Harmonia łuków brwiowych i oczu, szlachetny nos i piękny krój ust – ta twarz byłaby doskonała, gdyby nie wyniszczyły jej narkotyki, uzależnienia, posty, umartwianie się, ekstaza... Jego piękno wzbudzało podziw, z jakim patrzy się na antyczne ruiny.

W dodatku znaczna część jego twarzy była zakryta. Czoło znikało pod czarną futrzaną czapką podobną do sztrajmłu ortodoksyjnych Żydów. Broda oplatała policzki, podobna popielatym lianom z lasu, który pochłonął Angkor.

- Jak się masz, Éric?
- Dobrze.
- Jak minęła podróż?

– W samochodzie żandarmerii.

Niémans uśmiechnął się, podając mu rękę. Kościste palce Aperghisa zdobiły pierścienie nasuwające myśl o pustyniach Orientu albo azjatyckich bazarach.

– Po co mnie wezwałeś? Dla ciebie złamałem śluby milczenia.

– Ja złamałem wiele ślubowań, żeby ratować twoje jaja.

– Mów.

Bez zbędnych wstępów Niémans opowiedział mu całą historię. Morderstwa. Znaki. Emisariusze. Mówił szybko, bardzo szybko. Wiedział, że samotnicze życie Érica czy raczej Antoine’a nie odbiło się negatywnie na jego żywym intelekcie.

– Zawsze pakujesz się w skomplikowane sprawy – stwierdził przybysz.

Niémans wcale nie uważał, by egzystencja samotnika, który przeżył liczne przedawkowania, udręczanie się i pielgrzymki bez butów, była najprostszą, ale nie miał czasu na dyskusję.

– Emisariusze tworzą bardzo interesującą grupę religijną – zaczął.

Cztery morderstwa w niespełna tydzień to faktycznie nie była błahostka. Ale Antoine mówił o czym innym. Wyrzucał z siebie mnóstwo informacji znanych tylko nielicznym. Anachoreta był, by tak to ująć, wtajemniczony przez Boga. W dziedzinie religii i tekstów sakralnych żadna biblioteka ani komputer nie dostarczyłyby wiedzy, jaką on mógł przekazać w ciągu kilku minut.

– Wiele grup religijnych pracuje nad zbawieniem duszy. Podążają śladami Boga, wiodąc życie bez zarzutu.

– Właśnie to robią Emisariusze.

– Nie tylko. Uważają też, że ich ciała zostały zbawione.

– Nie rozumiem.

– Powszechnie przyjmuje się, że nazwa „Emisariusze” odnosi się do rygorystycznego trzymania się zasad, będącego przykładem dla innych. Tymczasem to drugorzędny cel ich misji. Są Emisariuszami w fizycznym sensie tego słowa. Ich przesłaniem jest ich ciało.

– Postaraj się być bardziej klarowny.

– W szesnastym wieku chrzest przemienił ich fizycznie. Łaska boska była jak napromieniowanie. Zostali ocaleni i odziedziczyli

obowiązek stworzenia czystego, nowego rodu. To jak reboot Adama z Pięcioksięgu Mojżeszowego.

Policjant słuchał w skupieniu – Antoine nie miał zwyczaju powtarzać tego, co już powiedział.

– Postanowili, że będą się reprodukować w dosłownym znaczeniu tego słowa. Że przez pokolenia będą dążyć do tego, by stać się jednym i tym samym stworzeniem. Jeśli wolisz, nazwijmy to klonami.

– Wybrali kazirodztwo, żeby przekazywać zawsze to samo DNA?

– Dokładnie tak. Hodowcy dobrze znają taką technikę. Kiedy chcą rozwinąć określoną cechę, na przykład rasy koni, najlepszym sposobem pozostaje zapłodnienie klaczy przez jej źrebaka.

– Ale takie związki prowadzą do wad rozwojowych, do chorób.

– Tak, ale potomstwo, które pozostaje, ma czyste DNA.

– Prawo zakazuje kazirodztwa.

– Wasze prawo. Emisariusze nic sobie z niego nie robią. Nawiasem mówiąc, nikt nie wie, kto tam jest kim. Ich prawdziwe dane osobowe są utrzymywane w tajemnicy, a genetycznie są sobie już tak bliscy, że kazirodztwo to u nich naturalny sposób rozmnażania się.

Należało dotrzeć do tej trzymanej w tajemnicy genealogii. Do zdegenerowanego drzewa, którego gałęzie skręcały się i plątały jedne z drugimi. Niémans był pewien, że w jego koronie kryje się motyw mordercy.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Wystarczy się na tym trochę znać. Te informacje są dostępne. Pewien człowiek wszystko usystematyzował w minionym stuleciu.

– Otto Lanz?

Rzucił to nazwisko bez chwili namysłu.

– To człowiek, który był ich mesjaszem, ale i demonem. Nakłaniał ich do zawierania związków w coraz bliższej rodzinie. Kazirodztwo stało się powszechnie obowiązującą zasadą.

Z krótkiej rozmowy z tym niebiańskim kloszardem Niémans dowiedział się o Emisariuszach więcej niż od przyjazdu do Brason. Powinien wcześniej się do niego zwrócić i zacząć od tego spotkania.

Ale teraz musiał przejść do konkretnych zdarzeń.

– Te związki między krewnymi z pewnością doprowadziły do dziedzicznych chorób genetycznych, do wad wrodzonych. Wiesz coś o tym?

– Nie. W takich kwestiach są bardzo dyskretni.

– Prawdopodobnie ustaliliśmy, kto był ich lekarzem.

– Znam cię. Raczej się nie mylisz.

– Ten konował to ostatnia ofiara mordercy.

Miał nadzieję, że rozbudzi zainteresowanie rozmówcy, przypominając mu, że to sprawa kryminalna. Ale równie dobrze mógłby próbować przesunąć Górę Oliwną.

– Te morderstwa mają związek z ich chorobami genetycznymi – nie poddawał się.

– Co masz na myśli?

– Staramy się to wyjaśnić, a ty możesz mi pomóc.

– Nie jestem ani policjantem, ani lekarzem. Po prostu powiedz, czego dokładnie ode mnie oczekujesz.

– Czy litery MLK z czymś ci się kojarzą?

Antoine udzielił mu podobnej odpowiedzi jak Kosynski. Mówił o rdzeniu zachodniosemickim. O spółgłoskach, które oznaczają „króla”, „bycie królem”, ale dopiero w kontekście lub sąsiedztwie samogłosek nabierają konkretnego sensu.

– Najlepiej byłoby znać kontekst tego użycia. – Eremita pokiwał głową.

– A węgiel drzewny? – próbował rozczarowany Niémans.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Niémans zorientował się, że w pośpiechu pominął ten wątek.

– Czy w Biblii wspomina się o węglu drzewnym?

– Węgiel może być karą Bożą.

– To znaczy?

– W Księdze Psalmów czytamy: „Pan bada sprawiedliwego i występnego, nie cierpi Jego dusza tego, kto kocha nieprawość. On sprawi, że węgle ogniste i siarka będą padać na grzeszników...”^[16].

– To wszystko?

– Owszem.

– Czyli nie jest to materiał o jakimkolwiek znaczeniu symbolicznym?

– Nie.

– A czy w Biblii jest jakaś wzmianka o kamieniu w ustach?

– Nie.

Niémans zdecydował się sięgnąć po zdjęcia ofiar.

– Co możesz o tym powiedzieć?

Antoine przybrał charakterystyczną dla siebie pozę. Głowę trzymał lekko odchyloną, jakby spoglądał na rozmówcę z góry. Książę nędzarzy, wędrowni, modlitwy.

Zmiażdżone szczątki Samuela. Krwawy napis na torsie Jakoba. Zwłoki Emisariusza i lekarza sądowego leżące na stołach sekcyjnych w kostnicy w Brason. Żaden z tych obrazów chyba nim nie wstrząsnął. Przekładał fotografie luźno, miękko, a pierścienie na jego palcach raz po raz stukały o stół.

– Powtarzam ci, że nie jestem ani gliną, ani lekarzem. Czego oczekujesz?

Niémans otworzył drugą teczkę, tę ze zdjęciami sklepienia Saint-Ambroise.

Najpierw widoczne freski.

– Banalne sceny nowotestamentowe – stwierdził Antoine. – Przypuszczalnie z osiemnastego wieku. Nic ciekawego.

Niémans pokazał mu ukryte dzieła.

I wtedy stał się mały cud. Kiedy Lehmann ujrzał twarze potępieńców, doznał wstrząsu. Nawet Niémans i Desnos zareagowali, jakby dostali obuchem po głowie. Ale Antoine nie był ani zaszokowany, ani zaskoczony. Wydawał się zachwycony. Te podniosłe obrazy przypadły mu do gustu. Można powiedzieć, że były malowane dla niego. Teraz nareszcie poruszał się po znanym sobie terenie.

– Zdjęcia rentgenowskie?

– Pod widocznymi malowidłami, tak.

– Czyli te z osiemnastego wieku są fałszywe.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ te namalował Otto Lanz.

Na twarzy Niémansa pojawił się uśmiech. Teraz policjant już był pewien, że słusznie postąpił, wyciągając anachoretę z klasztoru i zmuszając do złamania ślubów milczenia.

– Widziałeś je już kiedyś?

– Nie, ale znam inne jego prace.

A zatem dzieła Ottona Lanza można było gdzieś obejrzeć. Niémans zbyt pobieżnie zapoznał się z tą postacią, a teraz było już za późno. Cóż, nareszcie miał pod ręką źródło wiedzy. Źródło krystalicznej wody na środku pustyni.

– Tu naśladował styl późnego średniowiecza – ciągnął oblat. – Te ciała, te twarze to jednak dzieła jego pędzla. Nie mam co do tego wątpliwości.

Niémans położył dłonie na fotografiach.

– Jestem przekonany, że Lanz ukrył w tych freskach jakieś przesłanie, wiadomość. Myślę, że ta tajemnica jest motywem morderstw, a przynajmniej może nam pomóc w zrozumieniu motywacji zabójcy. Chcę, żebyś rozszyfrował ukryte znaczenie tych scen.

Antoine zebrał zdjęcia, po czym i ułożył je w pierwotnej kolejności w teczce.

– Czy ten pokój zamyka się na klucz? Nie chcę, żeby mi przeszkadzano.

Znów spojrzął na zegarek: dziewiętnasta dwadzieścia, a Ivany wciąż nie było. Pomyślał, że może musiała zostać dłużej w winnicy. Mówił sobie, że inni zaciągnęli ją na pożegnalny kieliszek po winobranii. Zastanawiał się, czy nie siedzi przy Rachel, pocieszając ją i próbując jeszcze pociągnąć za język.

Myślał i mówił sobie wszystko poza tym, co było najbardziej prawdopodobne: że została zdemaskowana i uwięziona. A może nawet gorzej. Klął, sam w tę zimną noc, krążąc przed kaplicą Saint-Ambroise.

Dobry Boże, jeśli coś jej się stało, nigdy sobie tego nie wybaczy. Zgoda na jej powrót do tego domu wariatów po czterech trupach to już nie był błąd zawodowy, a szczyt głupoty i nieodpowiedzialności.

Na wszelki wypadek jeszcze raz do niej zadzwonił. Nie odebrała. Teraz żałował, że wcześniej dzwonił do niej dwukrotnie.

Jeśli Ivana wpadła w łapy Emisariuszy, to te łotry widziały jego numer, a może nawet udało im się go zidentyfikować.

Rozłączył się i zadrżał. Ten zakątek naprawdę był ponury. Ekipa kryminalistyki i żandarmi porzucili kościół tak jak grabieżcy grobowców zostawiają sprofanowane sanktuarium.

Ulegając przesądnemu lękowi, nie wracał do samochodu, chociaż to pozwoliłoby mu się rozgrzać. Obawiał się, że odchodząc stąd choćby na chwilę, mimowolnie przyzna, że Ivana nie przyjdzie. A to równałoby się pozostawieniu jej na pastwę nocy i śmierci.

Uniósł policyjną taśmę i wszedł do kaplicy. Wewnątrz wcale nie poczuł się lepiej. Przeciwnie. W tej świątyni czatowały uśpione lęki, które w każdej chwili mogły się rozbudzić.

Nagle zadzwieczał telefon i Niémans drgnął, jakby spomiędzy gruzu wypęzła żmija.

Spojrzął na ekran – to tylko Desnos.

– Znalaziono te pańskie zwłoki – powiedziała bez słowa wstępu.

– Jakie zwłoki?

– Tego faceta, Marcela. Robotnika, o którym mówiła pańska agentka, ta wtyczka z Posiadłości.

Uraziło go to określenie. Ivana nigdy nie była agentką. I na pewno nigdy nie była wtyczką.

– Gdzie?

– W górnym biegu Lauchenbachrunz, strumienia, który...

– Wiem, gdzie to jest.

– O.

– Jesteś na miejscu?

– Jadę tam. Przesłać panu namiary na GPS?

– Przecież powiedziałem, że znam tę okolicę.

– Gdzie pan teraz jest?

– W kaplicy. Już jadę.

Pobiegł do samochodu. To odkrycie było jak zapadnia, która otworzyła się pod nim. A więc naprawdę istniał ten trup z obciętymi palcami i zmasakrowanymi szczękami, człowiek, którego uduszono jego własnymi jelitami. To oznaczało, że Ivana wpadła w sidła grupy sfanatyzowanych morderców, przerażonych wizją powrotu „bestii”. Das Biest.

Najważniejsze stało się teraz to, żeby jak najszybciej ją stamtąd zabrać, zanim ci obłąkańcy się z nią porachują. Mimo wszystko jeszcze się wahał. Siłowe wejście tej nocy równało się zaprzepaszczeniu ich szans, także szans Ivany, na odkrycie prawdy.

Zdecydował się na ostatnią zwłokę – najpierw uda się na miejsce odkrycia ciała, w nadziei, że Ivana lada chwila się odezwie.

Znał Lauchenbachrunz, rzekę wypływającą z jeziora Lauch na wysokości ponad tysiąca dwustu metrów. Emisariusze ukryli ciało ofiary na górze, ponad trzydzieści kilometrów od Posiadłości, licząc, że zasypie je śnieg i nikt nie znajdzie go do wiosny.

Z dużą prędkością minął winnice, potem skręcił w D430 w dolinie Guebwiller i jechał pod górę, do stacji narciarskiej Markstein. Wokół niego świerki tworzyły dwie zwarte ściany. Na ciemnych zboczach pojawiły się już pierwsze ozory śniegu, który mienił się w blasku księżycy jak masa perłowa.

Kręta droga wciąż pięła się w górę. Od czasu do czasu Niémans zerkał na szybę po stronie pasażera. Odbijała się w niej jego twarz –

blada, nierzeczywista, poznaczona sinymi plamami śniegu. Drzewa też robiły swoje, smagając tę szklaną wizję drapieżnymi cieniami.

Wiara Emisariuszy musiała w końcu ich zgubić. Zrobiliby lepiej, ukrywając zwłoki na swojej ziemi, tam nikt by ich nie znalazł. Ale to ciało było ofiarą. Padliną „światowego”...

Niémans nie był pewien, czy rozumuje logicznie, jednak w miarę jak tragedia narastała, czuł się coraz silniejszy, wkraczał na znajomy teren. „Śmierć i przemoc mają wiele poziomów, ojczulku, ale zawsze to droga bez powrotu, wiodąca do piekła”.

Wreszcie czarno-biały krajobraz ustąpił zimnoniebieskim blaskom. Znajome światła, których odbicia widział na haussmanowskich kamienicach, na popadających w ruinę składach, pustych peronach, w mrocznych lasach... Samochody żandarmerii stały przy drodze departamentalnej, a każdy błysk ich świateł odrywał go od materialnego świata.

Żandarmi zabezpieczali teren, otaczali taśmą świerki, jakby pakowali w pęczki gigantyczne szparagi. Ci ludzie na długo zapamiętają tegoroczny listopad.

Niémans zaparkował na poboczu, pięćdziesiąt metrów przed ich wozami. Musiał pokazać odznakę, bo pojawiło się tu sporo nowych. Wszedł między drzewa, kierując się w dół, nad rzekę. Lasem miotały konwulsje – wciąż wiał silny wiatr. Wtórował mu szum strumienia, narastający jak pomruk wstrząsu sejsmicznego.

Nad rzeką czekała na niego Desnos otoczona przez żandarmów i grabarzy. Niczego jeszcze nie dotykali. Sceneria była niesamowita. Poza zasięgiem migających niebieskich świateł wozów żandarmerii panowanie odzyskała ciemność w swej nieskażonej postaci, rozpełzająca się między kamieniami i drzewami niczym czarodziejski tusz – ciężki, powolny, jedwabisty.

Zwłoki unosiły się na wodzie, przyciśnięte do brzegu przez silny nurt. Utknęły między kępami roślin a omszałymi kamieniami. Głowa uwięzła w skalnym zagłębieniu, ciało kołysało się łagodnie, a wnętrzności rozciągały się, porywane przez prąd.

Niémans popatrzył na tę twarz, już obrzmiałą po godzinach zatopienia. Emisariusze z pewnością ukryli ciało wyżej, na brzegu, a ono zsunęło się do wody. Ukląkł i uniósł dłoń denata nad lodowatą

wodą: palce były obcięte. Potem szybko rozchylił usta: były bezzębne.

Wstał i potoczył wzrokiem po rzece. Inni żandarmi przetrząsali okolicę. Pomyślał o metodzie ślimaka, o której mówiła Desnos, ale to już nie była pora na wygłupy.

Odłączył się od grupy, przeszedł kilka kroków, potykając się o kamienie. „Ivana”. Nie patrzył na Marcela ze szczególną empatią, przecież nawet go nie znał, ale nogi uginały się pod nim na myśl, że jego mała Słowianka jest w szponach takich bydlaków. Czy i ją odnajdą w rzece?

Za jego plecami zsunęły się kamienie i z chlupotem wpadły do rzeki. Desnos stała już obok niego. W jego mózgu męczeństwo Marcela wybuchło jak bomba. Szopa oświetlona żarówką. Emisariusze z papieską powagą bawili się szczypcami i sekatorami...

– Ile eskadr tu ściągnęłaś?

– Trzy. Gdybyśmy chcieli więcej, trzeba by pomówić ze Schnitzlerem.

– Zbierz wszystkich. Jedziemy do Emisariuszy.

– W jakim celu?

– Odnaleźć Ivanę.

– Kogo?

– Moją partnerkę. Zniknęła.

– Ale... Co z Marcelem?

– Mam gdzieś Marcela! Priorytetem są żywi. Nie uczyli cię tego w szkole żandarmerii?

Ivana przypuszczała, że kadź będzie się napełniać coraz szybciej. A może po prostu miała zaburzoną percepcję czasu.

Tak czy inaczej, wciąż jeszcze żyła. Udało jej się uwolnić z więzów. To nie było wielkie zwycięstwo, ale przynajmniej stanęła, żeby opóźnić utonięcie. Kilka razy upadła, bo narkotyki Emisariuszy miały długofalowe działanie. Zasypiała na kilka sekund albo minut – wystarczająco, by obudzić się z tym winogronowym paskudztwem w ustach.

Teraz była zanurzona po pas. Nogi drętwiały jej z zimna i jeszcze zmagająca się z sennością, ale przytomniała i wstawiała, opierając się o ścianę.

Może sprawiło to zmęczenie, a może rozpacz – Ivana nie miała już nawet siły panikować. Poddała się stoicyzmowi i fatalizmowi, mimo to próbowała co jakiś czas się zastanawiać nad sposobem wydostania się z tej wielkiej beczki. Soku było coraz więcej i więcej. Wypływał z rury w rytm pracy pompy, przy jej przerażającym dźwięku, który dobiegał zza ściany.

Szukała oczywiście jakiejś klapy, wyjścia w swoim zasięgu. Nie znalazła niczego takiego, tylko otwór spływu, chyba solidnie zabezpieczony, no i okienko na samej górze. Niedostępne.

Kiedy poczuła, że metry sześćcienne cieczy zaczynają ją unosić, wpadła wreszcie na pomysł. Bardzo prosty. Musiała pływać, a przynajmniej unosić się na powierzchni, dopóki poziom soku nie osiągnie szczytu, pozwalając jej wyśliznąć się przez okienko. Ale moszcz był gęsty jak złociste błoto, toteż z trudem poruszała rękami i nogami. Przy takim wysiłku ryzykowała, że straci siły i opadnie na dno...

Na plecy. Musiała położyć się na plecach.

Przypomniała sobie lekcje fizyki i chemii: „W słodkiej wodzie człowiek się nie unosi, bo jest cięższy od swojej objętości w tej

cieczy, ale w słonej wodzie morskiej staje się lżejszy od takiej objętości...”.

Wielokrotnie próbowała wydobyć kończyny dolne, żeby położyć się na powierzchni. Za każdym razem zanurzała się jeszcze bardziej. Wyciśnięte winogrona oblepiały jej biodra, wsysały ją...

Nic z tego... A jednak przy ostatniej próbie – bardzo powolnej i bardzo ostrożnej – zdołała ułożyć się na ukos i w końcu, ponad wszelką wątpliwość, unosiła się na powierzchni. Jeszcze odrobina wysiłku i leżała już całkiem prosto, z rozłożonymi ramionami.

Mijały minuty. Były tylko się nie poruszać, być jak najlżejszą, utrzymać pozycję rozgwiazdy... Zamknęła oczy i zaczęła żyć nadzieją: w tym tempie za dziesięć minut znajdzie się na górze i będzie mogła chwycić się obrzeża okienka. Ale jeszcze nie wygrała. Przy najdrobniejszym ruchu znów się zapadała. Tylko dzięki pełnej mobilizacji, dzięki silnej woli udawało jej się rozluźnić, odprężyć, okiełznać tę niestabilną maź, która ją unosiła.

Miała dziwne wrażenie, że myśli wyciekają z jej głowy jak krew w trakcie krwotoku – ustami, nosem, uszami. Nie była w stanie żadnej utrzymać. Było to na swój sposób przyjemne, a na pewno – oszałamiające. I trochę przypominało doznania po narkotykach. Ten nagły stan nieważkości...

Była coraz wyżej.

Jeszcze niespełna minuta, a będzie mogła wyciągnąć rękę i chwycić się klapy. Potem podciągnie się i wyjdzie z tej śmiertelnej pułapki. Ale właśnie wtedy wszystko ustało.

Pompa już nie drgała, tafla moszczu przestała wirować.

Ivana osłupiała. Patrzyła na otwór, który nagle stał się nieosiągalny. Emisariusze nie napełnili kadzi po brzegi. Pozostawili około metra między wiekiem a cieczą. Prawdopodobnie chodziło o jakieś fizyczne czy chemiczne procesy, o których nie miała pojęcia.

Bez namysłu wyprostowała się i próbowała unieść. Osiągnęła przeciwny rezultat – zanurzyła się aż po szyję. Kaszląc i plując, znów położyła się na powierzchni, rozpaczliwie machając rękami. Kreśliła szerokie linie, obracała się w tej lodowatej mazi, ale nie mogła się unieść na więcej niż kilka centymetrów.

Spróbowała się wydostać, skręcając się, lecz i to skończyło się zanurzeniem. Nie chciała się pogodzić ze swoim losem i utonąć. Zanurzona po usta, wyprężyła się, zgięła, poruszając tak, żeby wrócić na powierzchnię i podjąć kolejną próbę. Chciało jej się krzyczeć, ale moszcz zalewał jej usta.

Pedałując w gęstej cieczy, opierając się o metalową ściankę, prostowała się, kulila, obracała... Na próżno – za każdym razem opadała. Utonięcie było bliskie, niechybne...

A kłapa się oddalała...

Nie! W ostatnim desperackim „skoku” zdołała chwycić ręką brzeg okienka. Wyjąc, wyciągnęła drugą ręką z moszczu. Już trzymała się okienka oburącz.

Była ocalona.

Niémans pędził w ciemnościach w stronę posterunku. Jego rozkazy: przeszukać Diecezję, przesłuchać wszystkich Emisariuszy, podjąć szeroko zakrojone poszukiwania Ivany z wykorzystaniem zdjęć, które należy pokazywać robotnikom sezonowym i każdemu, kto mógł przechodzić w pobliżu. Skończyła się zabawa w chowanego. Zaginęła oficer policji kryminalnej, odnalezienie jej stało się bezwzględny priorytetem. Wszyscy musieli skupić się teraz na drobnej rudowłosej kobiecie. A on czekał na wszystkie, nawet na pozór nieistotne informacje.

Trzeba było wrócić do Posiadłości, potrząsnąć tymi borsukami w odświętnych ubraniach i ich robotnikami od winobrania, grożąc aresztem albo oskarżeniem. Puścić do winnicy psy, opróżnić kadzie, przetrząsnąć każdą kiść. Wyciągnąć z łóżek wszystkich mieszkańców Posiadłości, nie pomijając dzieci i starców. Do wszystkich musiało dotrzeć, że skończyła się maskarada, a Emisariusze nie mają już żadnej władzy na swoich ziemiach. Co do ich grand cru 2018, to mogli je sobie wsadzić w d...

Ale w rzeczywistości była to tylko gadanina. Żeby przeprowadzić operację na taką skalę, bez udziału sędziego śledczego czy nawet z nim, potrzebne było błogosławieństwo prokuratora. I dlatego Schnitzler pofatygował się na posterunek. Niémans natknął się na niego przy wejściu.

Zamknęli się w biurze. Desnos i Niémans przedstawili mu sytuację, a raczej – rachunki: trzy trupy w jeden dzień – kto da więcej? Przy okazji policjant próbował wytłumaczyć, że istnieją dwa fronty zabójców – morderca z węglem i inni.

– Jacy inni?

– Sami Emisariusze.

– Po co mieliby zabijać robotnika sezonowego?

Niémans natknął się na wiele przeszkód – nie chciał wspominać o „wielkiej tajemnicy” Wspólnoty (nie miał zresztą pojęcia, co to za

tajemnica). Nie odważył się też powiedzieć o siedzącym na pierwszym piętrze anachorecie, który miał mu dać klucz do rozwiązania zagadki.

Najważniejszą informacją była infiltracja Ivany Bogdanović, trzydziestodwuletniej poruczniczki policji o umiarkowanym doświadczeniu. Policjantki, która zniknęła w jaskini lwa.

– Jak mogłeś mi zrobić coś takiego? – wrzasnął Schnitzler.

– Ze względu na sytuację to była najlepsza metoda.

– Wprowadzić tam policjantkę, nie mówiąc mi o tym? Nie mówiąc o tym nikomu? Naćpałeś się czy co?

– To podstawowa zasada infiltracji – przekonywał Niémans. – Tajemnica...

Schnitzler wstał. Miał na sobie pomięty, poplamiony garnitur. Bardzo zły znak: w tym zamieszaniu prokurator zapomniał o dress codzie.

– Nie, stary. Starzejąc się, zapomniałeś, jakie mamy zasady. Nie można robić takich numerów bez zgody przełożonych.

– Kiedy do mnie dzwoniłeś, nie byłeś nawet pewny, czy doszło do zabójstwa. A do końca winobrania zostało tylko kilka dni. Gdybym ci o tym powiedział, musielibyśmy załatwić całą papierologię i stracilibyśmy mnóstwo czasu.

– A rezultat jest taki, że twoja partnerka zaginęła.

– Nie zaginęła – obruszył się Niémans. – Tylko nie przyszła na nasze spotkanie.

– A tobie nie udało się z nią skontaktować!

– Nie odbiera telefonu. Ale to też o niczym nie świadczy, ponieważ w Posiadłości nie wolno używać telefonów komórkowych.

Schnitzler usiadł i chwycił się za głowę.

– Ja chyba śnię...

Niémans miał tego dość. Marnował tu czas, tłumacząc się jak kapral przyłapany na przewinieniu.

– Zatwierdzasz moje rozkazy czy nie? – spytał ostro.

– A mam jakiś wybór?

– Trzeba znaleźć Ivanę.

Prokurator machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „Radź sobie, jak chcesz”.

Zaraz potem się jednak ocknął, wyprostował się w fotelu i spytał:

– A śledztwo? Przypominam ci, że zasadniczo dotyczy czterech morderstw, a nie żadnego niepokojącego zniknięcia.

– Jestem na dobrym tropie – blefował Niémans.

– Co to za trop?

– Daj mi czas do świtu.

Schnitzler wolno kiwał głową. Jego poczciwa, wymuskana twarz pomięła się jak papier, który lada chwila miał wylądować w koszu.

– Jutro rano mam konferencję prasową... – powiedział szeptem. – Dla własnego dobra daj mi do tego czasu jakieś konkrety.

– Możesz na mnie polegać.

Niémans wyszedł, nie oglądając się ani nawet nie zamykając za sobą drzwi.

Parking był zimny i srebrzył się jak tafla lodu.

Policjant zabrał kluczyki do najszybszego samochodu tutejszej żandarmerii, renault mégane III RS, należącego do ERI (grupy szybkiego reagowania). Dwieście sześćdziesiąt pięć koni pod maską pozwalało osiągnąć sto kilometrów na godzinę w 6,3 sekundy i rozwinąć prędkość do dwustu sześćdziesięciu kilometrów. Właśnie tego potrzebował, żeby przemierzać Posiadłość, nadzorując poszukiwania.

Ta noc była albinosem. Biała trawa, pozbawione pigmentu świerki – wszystko wydawało się odbarwione, oślepięte, wystraszone przez długie światła mégane. Niémans nie trzymał się drogi – on zanurzał się w tym jasnym tunelu, który prowadził go z drugiej strony nocy tam, gdzie eskadry żandarmów miały rozkopać mrowisko Emisariuszy i wyrwać z ich rąk uwięzioną.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że w krajobrazie zaszła jakaś zmiana. Przeszedł na światła mijania. Pejzaż odzyskał mroczny realizm, ciemność stała się gęsta i czarna, a potem wolno przeszła w sepię. Lasy, pola, winnice rdzewiały, zabarwiały się ochrą. Ta tajemnicza korozja dokonywała się, przemieniając brązy w miedź, atrament w krew...

Niémans jechał, nie zwalniając. Gałęzie drżały, pnie nabrały połysku, cienie dygotały... Niebo zaczynało się złocić, rdza rozpaliała

się pod winoroślami. Wszystko nabierało łagodnej, ciepłej barwy lampionów, które dzieci robią ze skórki pomarańczy.

I wtedy zrozumiał.

Ognie.

Emisariusze rozpoczęli swoje świętowanie, rozpalając potężne ogniska w czterech rogach każdej parceli. Iskry wirowały w powietrzu, lasy stawały się gąbkami nasączonymi żywicą. Cała okolica znalazła się pod kopułą złocistej poświaty.

Niémans zaklął pod nosem. Jak mogli im na to pozwolić? Cokolwiek zdarzyłoby się w tej cholernej Posiadłości, wszelkie odstępstwa od panujących tam zasad i obyczajów były niewyobrażalne. Zwłaszcza że te obyczaje były doskonałą metodą na pozbycie się dowodów i zatarcie obciążających śladów.

Odruchowo znów zerknął na okno pasażera: teraz jego twarz siekały na kawałki iskry, które upstrzyły noc. Wyglądała jak szklana maska, obnażająca strach i rozpacz.

Kiedy znowu spojrział przed siebie, zdążył już tylko wcisnąć pedał hamulca. Samochód niemal stanął dęba i obrócił się na wiejskim asfalcie.

Drogę zagradała mu jakaś postać. Kobieta, mokra od stóp do głów, jakby uratowała się cudem z topieli. Oblepiona fałdami sukni, zataczała się, a jej twarz i włosy czymś ociekały.

Niémans włączył długie światła i przyjrzał się jej uważnie.

Ile trzeba czasu, żeby uwierzyć w taki cud?

Ale tego cudu nie analizowały ani jego oczy, ani mózg, tylko serce, intuicja czy jakaś inna forma percepcji, której nazwy nie znał.

Tą kobietą, zataczającą się na drodze niczym topielica wyrzucona na brzeg przez lepkie fale, postacią rodem z koszmarnego snu, była Ivana.

Mieli nazwiska, czyny, okoliczności obciążające. Mimo to Ivana nie chciała aresztować Rachel i jej bandy. I słusznie. Bo byłby to najlepszy sposób na przerwanie śledztwa, a wówczas morderca, który zagrażał Emisariuszom, nigdy nie zostałby wykryty. Jedyne, co mogli uzyskać, to mea culpa za usiłowanie zabójstwa na osobie Ivany Bogdanović i – być może – przyznanie się do zabójstwa Marcela, robotnika sezonowego.

I na tym by się skończyło.

Oprawca Samuela, Jakoba oraz Zimmermanna rozpląnąłby się we mgle, a Niémans i Ivana nawet nie poznaliby motywów jego działania.

Morderca polował na fanatyków, którzy nie cofnęli się wobec tej sytuacji przed użyciem przemocy. W tej jednolitej czerni policjanci zgodnie uznali, że najważniejsze jest odkrycie tajemnicy, bez względu na to, czy kryje się ona we fresku, w przeszłości sekty, czy w matactwach dziwnego lekarza.

Teraz młoda Słowianka brała prysznic, a Niémans rozmyślał. Nie o śledztwie. O niej.

O mało jej nie stracił i nawet nie zdając sobie z tego sprawy, na nowo pogrążył się w nicości. Z tą pamiętną śmiercią, którą już poznał, a która zabiła go w korycie rzeki, w Guernon.

Do tej sprawy można było podejść na dwa sposoby.

Ivana była jego protegowaną. Po raz pierwszy uratował ją, kiedy zabiła tego śmiecia, swojego faceta, żeby nie pozwolić mu na wstrzyknięcie heroiny ich własnemu, wówczas czteroletniemu synowi. Po raz drugi ocalił ją, otaczając opieką, a potem zmuszając, żeby zdała maturę, a w końcu wysyłając do szkoły oficerów policji. Potem wyrwał ją z nudy, która ją zżerała w komisariacie w Wersalu, proponując, by dołączyła do jego brygady – Centralnego Biura do Walki ze Zbrodniami.

To było jej miejsce.

Ale ten medal miał dwie strony.

Postępując w ten sposób, Niémans ocalił samego siebie. Powrócił z piekła – piekła zbrodniarzy, ale i własnego, wewnętrznego, zamkniętego dla innych i naznaczonego brutalnością dorównującą tej, którą zwalczał. W Iwanie znalazł swoją drogę, cel egzystencji. To ona, pojawiając się w jego życiu, wydobyła go z otchłani. To ona pozwoliła mu się odrodzić.

Siedząc w holu posterunku, uśmiechnął się do siebie, rozczulony szumem prysznicza za drzwiami szatni. Wyobraził sobie Ivanę – mały marmurowy posąg w stylu Degasa, oczyszczający się z winogronowej skorupy i odzyskujący biel oryginału. Poczuł się szczęśliwy.

Teraz miał ją przy sobie. Razem ruszą na front. Zagrożenie przeszło na drugą stronę – to oni mieli odtąd „terroryzować terrorystów”, jak mawiał poczciwy stary Pasqua. Gliniarz, który powrócił ze spluwą, i młoda kokoszka karmiona najlepszym ziarnem.

– Już jestem gotowa.

Podniósł oczy i zobaczył ją, w ciuchach, które znaleziono dla niej na posterunku. Coś przypadkowo zostawionego, coś zarekwirowanego, może nawet ubranie jakiejś samobójczyni. Czerwona kurtka z potrójnymi białymi pasami na ramionach, czarne spodnie do joggingu – sportowy łańch zużyty do granic wytrzymałości. Całość była mniej więcej w jej wróbelkowatym rozmiarze i pasowała do pociągłej buzi o policzkach pałających po gorącej kąpieli.

– Idziemy? – ponagliła, chwytając kaburę, którą jej podał.

Wsunęła do niej sig sauera SP2022, przyniesionego przez Niémansa, pamiętając, by przedtem wprowadzić nabój do lufy. Miał tylko nadzieję, że zabezpieczyła broń.

Patrząc na nią teraz, poczuł kłujący strach. Była jak odbezpieczony granat – gotowa wybuchnąć. Zabili jej kumpla. Topili ją w tonach winogron. A – niemal prywatnie – okłamali, zdradzili, zniszczyli to, na co miała nadzieję wśród tych pingwinów: odrobinę spokoju dla jej pokaleczonego ducha. Teraz w pionie trzymała ją tylko żądza zemsty.

Policjant nie miał najmniejszego pojęcia, jakie będą dalsze działania, ale nie odważyłby się jej do tego przyznać. Była północ,

a oni tkwili w dziurze, na dnie wulkanicznego krateru, gdzie wszystko płonęło. Mieli cztery trupy, sfanatyzowaną dziewczynę na czele szwadronu śmierci, mordercę mszczącego się na Emisariuszach, który sam był przez nich poszukiwany, bo im zagrażał. A wszystko to działo się bez nich, ale pod ich nosem.

Zastanawiał się, jak wyjaśnić sytuację tej małej furii, kiedy z kłopotu wybawił go dźwięk telefonu.

- Jestem w merostwie Brason – usłyszał głos Desnos.
- Nawet nie pamiętał, jakie rozkazy jej wydał.
- Co tam robisz?
- Podążam tropem Zimmermanna.
- Szukasz jego aktu ślubu?
- Chyba właśnie odkryłam prawdę.
- To znaczy?
- Niech pan przyjedzie. Pokażę panu. Tak będzie łatwiej.

Do merostwa mieli dwa kroki, jednak pojechali tam samochodem: Ivana ledwie trzymała się na nogach. Nawet nie jęknęła, nie poskarżyła się ani słowem na to, co przeżyła w kadzi, ale jej organizm nie potrafił już sprostać sile woli.

W uliczkach Brason noc miała smak spalenizny. Wszędzie unosił się popiół. Rozpalone do czerwoności niebo ponad dachami nie pozostawiało wątpliwości: na zboczach doliny płonęły ogniska.

Niémans jechał wolno, słuchając Ivany, która bezbarwnym głosem opowiadała mu o ostatnich godzinach. Najwięcej mówiła o dziwnym szpitalu w Diecezji, gdzie leczono niepełnosprawne dzieci ze Wspólnoty. Jej zdaniem było ich sporo.

Słuchał w skupieniu. To było wspaniałe potwierdzenie jego hipotez, a także wyjaśnień Antoine'a. Zawierając małżeństwa między sobą, Emisariusze tworzyli rodzaj czystej rasy, ale także pokolenia chorych, zdeformowanych dzieci. Kto leczył tę małą społeczność? Oczywiście Patrick Zimmermann, choć Ivana nigdy o nim nie słyszała od adeptów kazirodu.

W archiwum merostwa Brason nie kryły się żadne niespodzianki. A już na pewno nie zadziwiał jego wystrój. Jak zwykle była to sala w suterenie, pełna szaf, oświetlona przykurzonymi plafonierami. Rzędy półek ugięły się pod tysiącami wypchanych teczek. Pewną odmianą było to, że nie wszystkie miały ten sam kolor. Najwyraźniej przez lata używano takich, jakie były akurat pod ręką: czerwonych, niebieskich, zielonych. Zdarzały się najrozmaitsze kolory, w dodatku bez żadnego porządku.

Nawet po tej krainie papieru snuła się groźna woń dymu.

Niémans i Ivana szli przez salę – dozorca dał im klucze, chcąc jak najszybciej znów się położyć. Stéphane Desnos była na samym końcu pomieszczenia, gdzie stał tylko długi stół. Otoczona stertami teczek, chyba wybierała interesujące ją karty.

Dość długo nie widział jej w świetle, toteż teraz uderzyło go silne zaczerwienienie na jej twarzy. Desnos wyglądała tak, jakby połknęła latarkę. Prawdopodobnie był to wynik przemarznięcia, stresu albo podniecenia spowodowanego odkryciem istotnych informacji.

Niémans w kilku słowach przedstawił sobie panie. Spodziewał się pojedynku amazonek, ale się pomylił. Wystarczyło jedno spojrzenie, by panie się porozumiały i zawarły przymierze oparte na solidarności („czas dopaść tego starego, upartego kozła”).

Niémans natychmiast zwrócił uwagę na kontrast, ale nie między kobietami, tylko między ich dwójką a Desnos, która zdjęła kurtkę i została w grubym niebieskim swetrze. Na jej tle Niémans i Ivana wyglądali jak dwa parchate psy. On – cały ubłocony, ona – ubrana jak osiedlowy chuligan, w niepasujących do siebie kurtce i spodniach.

– Co znalazłaś?

Desnos odsunęła się i wskazała na rozłożone na stole dokumenty.

– Niech pan sam spojrzy.

– Nie mam czasu na zgadywanki.

Kapitan westchnęła.

– To akty zgonu. Wszystkie wystawił i podpisał Patrick Zimmermann.

– Co z tego? – spytał Niémans, podchodząc bliżej.

– Większość zmarłych to dzieci do trzynastego roku życia. Dzieci ze Wspólnoty.

Ivana okazała się szybsza od Niémansa. Sięgnęła po jedną z kartek.

– To na pewno dzieci, o których ci mówiłam.

Desnos spojrzała na nich pytająco, więc Niémans gestem polecił Iwanie, by wyjaśniła, o czym mówi. Ivana w kilku słowach zrelacjonowała wizytę w tajnym szpitalu w Diecezji i wspomniała o problemie chorób recesywnych.

Niémans również przeglądał dokumenty – lista niemieckich nazwisk mogłaby obudzić walkirie.

– Skoro te dzieci były chore – stwierdził – to nic dziwnego, że nie żyły długo. Ale mamy potwierdzenie, że Zimmermann był ich „lekarzem rodzinnym”.

– Oczywiście, proszę jednak zwrócić uwagę na daty zgonów.

Kiedy spojrział na piąty dokument, zrozumiał.

– Śmierć następuje zawsze w listopadzie – dodała Desnos. – Zimmermann nie tylko leczył te dzieci, ale też poddawał je eutanazji.

Niémans obserwował kapitan Desnos, która przeistoczyła się w Mater dolorosa. Łzy płynęły jej z oczu i tworzyły perełki na swetrze. Nie zwracała na to uwagi. Po prostu płonęła.

A zatem Emisariusze pozbywali się odpadów. Dążąc do genetycznej doskonałości rasy, usuwali dzikie gałęzie, niepożądane rezultaty związków spokrewnionych osób.

Dlaczego nie zabijali ich tuż po urodzeniu? Kobiety rodziły w Diecezji. Żadne legalne władze nie czuwały nad „hodowlą” dzieci. W tej sytuacji łatwo było znaleźć usłużnego bydlaka, który zająłby się brudną robotą. Łajdaka w stylu Patricka Zimmermanna...

Nie, oni jednak czekali, aż dzieci urosną i dojrzeją. Co więcej, podejmowali ryzyko, zabijając je zawsze w tym samym terminie. Dlaczego?

Niémans odkaszlnął. Nie wiedział. W głowie miał pustynię, po której grasowały tylko skorpiony i jadowite pająki.

– To w związku z winobranieniem – odezwała się Ivana.

Krucha, zdeterminowana, odzyskała nareszcie energię. Była taka jak on, najsilniejsza czuła się w starciu z makabrą.

– Po zakończeniu zbiorów – wyjaśniła – usuwają zepsute kiście, niezdatne winogrona. Tak samo postępują z potomstwem. Odcinają złe, jałowe pędy, żeby zacząć nowy sezon, który ma być czysty, doskonalszy. Najlepsze wino Emisariuszy to ich dzieci.

Ivana trafiła w sedno. Ale nadal nie mieli żadnych dowodów. Postawienie tego typu oskarżeń musiało zakończyć się porażką. Dzieci, które co roku umierają w tym samym okresie? Emisariusze znaleźliby wyjaśnienie, wykorzystując jako autorytet zmarłego lekarza, któremu można włożyć w usta, co tylko się chce.

Niémans znów czuł się jak silnik, który się dławi i zacina. Zawsze gdy pojawiał się ważny element i mechanizm zaczynał pracować, zaraz znów się zatrzymywał, bo brakowało mu paliwa albo energii. A jednak mimo marazmu byli coraz bliżej mordercy.

Tu zabijało się dzieci.

A to był piekielnie silny motyw.

Najwyraźniej rodzice nie chcieli dalej prowadzić tej eugenicznej gry i postanowili się pozbyć sprawców zła.

Te rozmyślania przerwał dźwięk telefonu Desnos. Odebrała i słuchała w milczeniu. Jej pąsowa twarz nie zdradzała żadnych emocji. Po krótkiej chwili podała telefon Niémansowi.

– To do pana.

– Do mnie?

W ułamku sekundy rozpoznał głos rozmówcy.

– Odkryłem szyfr, którego szukałeś – powiedział Aperghis.

– To znaczy?

– To, co kryje się we freskach.

Emisariusze nie lubią obrazów. Są im przeciwni. Bóg jest niewypowiedziany. Bóg jest niewidzialny.

Ivana patrzyła na mężczyznę, który rozmawiał z Niémanssem, całkowicie ignorując ją i kapitan Desnos. Kolejny przekłety mizogin w przebraniu mnicha – a może odwrotnie. Nie była nawet pewna, czy należał do jakiegoś zakonu. Facet w futrzanej czapce, z brodą sadhu.

– Ta historia z freskami nie współgra z ich kulturą. Ani trochę. Toteż skupiłem się na jedynym, co ich interesuje: na niewidzialnym.

Wydawało się, że niejaki Éric Aperghis, zwany także Antoine'em, pozwala mówić swojemu głosowi – bez wysiłku, bez emocji. Ivana nie mogła oderwać oczu od jego rąk. Paznokcie miał czarne jak tylna ściana pieca węglowego, a te pierścienie na każdym palcu kojarzyły jej się ze świecidełkami sprzedawanymi na straganach na Goa.

– To, co jest tu ważne, to nie malowidła Ottona Lanza, lecz to, czego nie namalował.

Rozłożył przed sobą cztery fotografie, tworząc z nich krzyż i zostawiając dużo wolnego miejsca pośrodku.

– Skoncentrowałem się na ukrytych obrazach z tego zniszczonego sklepienia. Jeśli dobrze zrozumiałem, to głównie one cię interesują.

– Zgadza się – powiedział Niémans, żeby okazać, że pilnie słucha.

– Lanz po raz pierwszy ukrył swój sekret pod fałszywym malowidłem, ale dodatkowo schował go też w samym pierwotnym fresku.

– To znaczy?

– Cztery motywy nawiązują do scen opisanych w Genesis, pierwszej księdze Starego Testamentu. Dlaczego trzymać się tej księgi, zamiast czerpać inspirację z Księgi Hioba albo z Nowego Testamentu? To tam kryje się pierwsza wiadomość, a przynajmniej pierwszy element systemu.

Zakrzywionym palcem wskazał na górną część krzyża.

– To rozdział drugi Księgi Rodzaju: Adam i Ewa.

Ivana wyczuwała niemal agresywne zniecierpliwienie Niémansa. Ta przeklęta negatywna energia biła od niego, promieniując na cały pokój. Na razie asceta nie powiedział im niczego odkrywczego.

– Na lewo od krzyża Lanz ukazał wieżę Babel, czyli jedenasty rozdział Genesis.

Nikt nie raczył nawet spojrzeć na zdjęcie.

– Na wprost – ciągnął Antoine – mamy dwudziesty siódmy rozdział: opowieść o rywalizacji Jakuba z bratem. I wreszcie na dole śmierć Racheli, o której opowiada rozdział trzydziesty piąty.

– Tylko tyle się dowiedziałeś? – Niémans nie wytrzymał. – Rzeczy, o których wiemy od początku?

– Cierpliwości, zaczekaj...

Znów przesunął palcami po zdjęciach, jakby rozkładał karty tarota.

– Wybór tych opowieści nie jest logiczny. Niektóre, jak śmierć Racheli, nie są praktycznie nigdy ukazywane w kościołach. Nie znam też innego miejsca na świecie, gdzie na tej samej ścianie czy sklepieniu namalowano by je wszystkie.

– Co z tego wynika?

– To nie one są przesłaniem. Ono kryje się w liczbach.

– W liczbach?

Ivanę przebiegł dreszcz. Ten skostniały Święty Mikołaj znalazł rozwiązanie. Słowa Rachel: „Ważne nie jest to, co zostało namalowane, ale to, czego nie ma. Nigdy nie odkryjecie naszego sekretu”.

– Rozdział trzeci Genesis, potem jedenasty, dwudziesty siódmy i wreszcie trzydziesty piąty. Wybierał motywy z co ósmego rozdziału.

– Czy liczba osiem coś oznacza?

– Absolutnie nic.

– Éric, do kurwy nędzy, wrzuć drugi bieg.

Oblat uniósł ręce, prosząc tym gestem o spokój. Był niczym klepsydra, w której ziarna piasku łagodnie się przesypują.

– Wysłuchaj mnie – powiedział. – Powtarzam, że sceny z fresku zostały wybrane z co ósmego rozdziału, poczynając od upadku

człowieka. Ale przecież nawet dziecko zauważyłoby, że między drugim a trzecim obrazem ta przerwa to nie osiem, tylko szesnaście.

– Czyli?

– Brakuje jednego rozdziału. Etapu, który składa się na system, ale nie został przedstawiony przez Ottona Lanza.

– CZYLI?!

Antoine dotknął czubkiem palca pustego miejsca na przecięciu belek krzyża.

– Brakujący obraz w centralnej części fresku powinien pochodzić z dziewiętnastego rozdziału Księgi Rodzaju.

– O czym opowiada ten rozdział?

– O zniszczeniu Sodomy i Gomory.

– Jaki to mogłoby mieć związek z Emisariuszami?

– Ta część historii nie ma żadnego, ale jest ciąg dalszy...

Niémans pochylił się, kładąc wyprostowane dłonie na stole. Ivana dobrze знаła tę pozycję – na ogół przybierał ją, żeby nie dołożyć podejrzanemu.

– Wykrztuś to wreszcie, do jasnej cholery!

Choć absolutnie nic na to nie wskazywało, Antoine gwałtownie poderwał się z miejsca i zamarł z rękami splecionymi na piersi i spuszczoną głową, jakby się modlił.

– Ten dalszy ciąg to historia Lota.

Teraz mieli poznać kolejny fragment Starego Testamentu.

– Lot był bratankiem Abrahama. Wraz z żoną mieszkał w Sodomie. Pewnego dnia udzielił gościny aniołom przysłanym przez Boga. Wieczorem mieszkańcy miasta przyszli zobaczyć gości, których najpewniej chcieli zgwałcić. Lot stanął w ich obronie. Zaproponował nawet w zamian swoje dwie córki. Ale tamci nalegali, więc Bóg pokarał ich ślepotą. Ostrzegł Lota, że na Sodomę oraz Gomorę, sąsiednie miasto, spuści deszcz ognia i siarki. Lot z córkami i żoną ledwie zdążyli uciec. Niestety, ta ostatnia odwróciła się, by popatrzeć na miasto w ogniu, i zamieniła się w słup soli...

Antoine krążył teraz po pokoju, wymachując palcem wskazującym jak kaznodzieja.

– Nie wolno im było oglądać się za siebie, patrzeć na gniazdo zepsucia, jakim była Sodom, ani na karę bożą... Wszystko to było

już wyłącznie w rękę Boga.

Niémans zrobił krok w jego stronę – miał wielką ochotę chwycić go za kołnierz i nim potrząsnąć.

– Musisz być cierpliwy, Niémans – powiedział spokojnie anachoreta. – Potem Lot schronił się z dwiema córkami w grocie. Pewnej nocy dziewczęta, zaniepokojone, że w tej odludnej okolicy nie znajdą mężów i nie będą miały potomstwa, upoiły ojca i doprowadziły go do spółkowania z nimi. Z tych kazirodczych stosunków miały się zrodzić dwa ludy: Moabici i Ammonici.

Niémans uderzył pięścią w stół. Ivana i Desnos aż podskoczyły.

– Co nas to wszystko obchodzi?

Antoine uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Czyżby ludy zrodzone z kazirodztwa z niczym ci się nie kojarzyły?

Niémans stanął przed Antoine’em.

– Wiadomo, że Emisariusze uprawiają kazirodztwo, i to od stuleci. To obrzydliwe, niemoralne, nazywaj to, jak ci się podoba, ale ten cały Lot to za stara historia, żeby mogła być motywem zbrodni. Chwytasz?

– Pozwól mi skończyć. Lot jest dla nich swoistym wzorcem. Ściśle mówiąc, uważam, że Emisariusze utożsamiają się z jednym z dwóch ludów zapoczątkowanych przez jego córki: z Ammonitami. A przynajmniej to wzór, który Otto Lanz chciał im wskazać poprzez ten... nienamalowany fresk.

– Dlaczego właśnie Ammonici?

– Ponieważ czcili boga imieniem Moloch, a po hebrajsku to imię zapisuje się jako MLK.

Ivanę przeszył dreszcz: doszli do tego. Naprawdę odkryli tajemnicę.

– Czy Moloch – spytał Niémans – to ten, któremu składano w ofierze dzieci?

– Dokładnie tak.

Ivana doznała olśnienia.

– Czy Biblia opisuje sposób, w jaki składano te ofiary?

– Przez ogień.

Niémans wydawał rozkazy na parkingu przed posterunkiem. Natychmiast zmobilizować wszystkie jednostki straży pożarnej. Te z Brason, z Guebwiller, z Colmar. Wygasić ogniska i sondować zgliszcza w poszukiwaniu ciał. Ocalić tych, których jeszcze się da. A potem wpakować za kraty tych łotrów i niech tam gniją, dopóki nie zdechną.

W smrodzie gęstniejącego z każdą chwilą dymu żandarmi patrzyli na siebie z niedowierzaniem. Ale nie było już czasu na wyjaśnienia. Opadający na nich deszcz popiołów wyraźnie o tym przypominał.

Gdy wszyscy biegli do samochodów, Ivana chwyciła Niémansa za ramię.

– Przed chwilą coś mi się przypomniało.

– Co?

– Wieczorem widziałam, jak Emisariusze nosili przez pola worki z węglem drzewnym, żeby rozpalić ogniska. To właśnie oznacza kawałek węgla w ustach. Wskazówka od mordercy, byśmy odkryli rodzaj ofiary.

– Nie mogłaś się ocknąć trochę wcześniej?

Odpowiedziała mu bladym uśmiechem.

– Wybacz, Niémans, w głowie mąci mi się jeszcze od tego soku z winogron.

Przez chwilę patrzył na nią uważnie i poczuł się tak, jakby przeglądał się w lustrze. Dużo już widzieli w tym pieprzonym życiu gliniarzy, on znacznie więcej niż ona, ale oboje przekroczyli próg tolerancji.

– Chodź, pojedziemy samochodem.

– Nie.

– Co znowu?

Popioły wirowały nad nimi.

– Mam inny pomysł. Pozwól mi działać.

Niémans otworzył usta, ale tylko nałykał się gęstego dymu. Gorzki smak węgla zaatakował mu gardło i zniechęcił go do rozmów. Twarz Ivany w ciągu kilku sekund poczerniała od sadzy, jak twarz górnika z dawnych czasów. On pewnie wyglądał podobnie.

– Za kogo ty się uważasz? – spytał w końcu.

– Za policjantkę, która dziś w nocy o mało nie zdechła. Za policjantkę, która od pięciu dni tkwiła w tym bagnie i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ocierała się o szaleńców. A poza tym uważam się za twoją partnerkę, która wypełniła swoje zadanie i ma pełne prawo podjąć własny trop.

– Zaczynasz się robić naprawdę upierdliwa – warknął, biegnąc już do auta.

Popioły zakryły dewizę żandarmów: „NASZE ODDANIE...”.
Nareszcie.

Dopadły go wyrzuty sumienia. Odwrócił się, żeby skinąć Iwanie ręką albo przynajmniej się do niej uśmiechnąć.

Ale ona już zniknęła.

Ivana odzyskała swój telefon komórkowy. Jedną ręką trzymając kierownicę, w drugiej miała aparat i nareszcie czuła, kim naprawdę jest. W tej chwili na monitorze wyświetlała się trasa do szpitala w uśpionym Brason.

Desnos pożyczyła jej samochód. Udzieliła jej też krótkich odpowiedzi na kilka pytań. Ivana wpadła na ten pomysł, słuchając wyjaśnień Anoiné'a: to w poradni Patricka Zimmermanna należało szukać nazwiska zabójcy anabaptystów. Albo przynajmniej informacji, które pozwolą go zidentyfikować.

Skupiona na drodze, obserwowała rozżarzone drobiny, które zdawały się lecieć do świateł samochodowych jak ćmy. Niebo aż po horyzont było różowe, malinowe, fioletowe, jakby pojawiła się na nim zorza polarna zrodzona w piekle.

Nie obawiała się, wiedziała, że Niémans z żandarmami i strażakami dotrze do tych ognisk. Ale była to zbędna operacja. Jej mentor zapomniał o najważniejszym: tej nocy nie zostanie spalone żadne dziecko. Morderca zgładził Samuela, Jakoba i Zimmermanna, żeby nie dopuścić do złożenia ofiary.

Nie tak trudno było wyobrazić sobie profil podejrzanego czy też podejrzanych: rodzina Emisariuszy, która postanowiła zatrzymać spiralę zbrodni, ponieważ w tym roku na czarnej liście znalazło się jej dziecko. Rodzice wybrali najradykalniejszą z metod, eliminując bezpośrednich spadkobierców Ottona Lanza i torpedując pogańską ceremonię popiołów.

Na skraju miasta zobaczyła szpital, zespół brzydkich, surowych budynków. Klocki, które wyglądały jak przyklejone do czerwonego nieba. Styl z dawnych plakatów.

Kiedy wysiadła z samochodu, zorientowała się, że woń spalonej zieleni i drewna doścignęła ją nawet tutaj. Drobne iskry, jak ogniste owady, przysiadły na jej ubraniu i kąsały materiał. Ivana nerwowym

ruchem, jakby opędzała się od komarów, próbowała je strzepywać, a potem pobiegła do głównej bramy kompleksu.

Przeszła przez hol wykładany beżowymi kafelkami, wyjęła z kieszeni plan, który naszkicowała jej Desnos, i skierowała się na patio, zgodnie z opisem kapitan przypominające porzuconą pływalnię i otoczone kolumnadą.

Galeria po lewej. Wędrowała po tej zapomnianej świątyni, po antycznej budowli pogańskiego boga, któremu służyli obdarzeni tajemną mocą kapłani. Otto Lanz był pierwszym z tych niewidzialnych strażników. Po nim przyszli lekarze szarlatani, cisi ofiarnicy – aż do Patricka Zimmermanna.

Na końcu galerii drzwi otwierały się na schody. Ivana odważyła się wejść po chwili wahania. Tu już nie ścigała jej woń spalenizny, niemal natychmiast jednak poczuła inną woń – formalinę, zapach śmierci.

W głębi znajdowały się kolejne drzwi odgródzone policyjną taśmą. Wsunęła na dłonie nitrylowe rękawiczki – kolejny prezent od Desnos – i nacisnęła klamkę, a potem włączyła latarkę i weszła.

Szara, wyłożona glazurą i terakotą sala, z zaciekami na spękanych w rogach ścianach, mieściła dwa stalowe stoły sekcyjne. Przez małe okienko widać było płonące stosy. Niebo wyglądało jak dżem pomarańczowy.

Omiotła snopem światła to ponure miejsce i uświadomiła sobie, że trzęsie się jak galareta. Mimo determinacji konała ze strachu. Nogi uginały się pod nią, a w pewnym momencie musiała nawet oprzeć się o stół na kółkach, żeby nie upaść. Zapomniane przybory zabrzęczały. Narzędzia do otwierania zwłok, do cięcia kości...

To tutaj Emisariusze przywozili terenówką niewinne dzieci, niczego nieświadome, może nawet cieszące się z tej wycieczki. Ofiary, które układano na tych stołach, żeby wstrzyknąć im środki letalne albo anestetyki. Ze wszystkich sił modliła się, żeby to była szybka eutanazja, ale coś mówiło jej, że obłąd Emisariuszy kazał im palić dzieci żywcem.

Zrobiło jej się niedobrze. To już nie było śledztwo w sprawie jednego albo kilku zabójstw, ale w sprawie ludobójstwa, celowej i świadomej eliminacji określonej kategorii istot ludzkich.

Rozejrzała się w poszukiwaniu drzwi – nie było stąd innego wyjścia. Wróciła na korytarz i znalazła drogę w lewo. Nagle jej obawy się wzmożyły. Ale właściwie czego się bała? Oni wszyscy byli już martwi. W każdym razie – tercet przywódców. A pozostali prawdopodobnie dorzucali teraz do ognia albo toczyli regularną bitwę ze strażakami i żandarmami, którzy wkroczyli do winnicy.

Poprzewracane krzesła tarasowały korytarz. Przechodziła nad nimi, minęła prowizoryczny wychodek, potem jakieś pomieszczenie po lewej, wykorzystywane jako śmietnik, i kolejne – salę w terakocie, bez żadnych sprzętów i bez okna. W końcu po prawej zobaczyła drzwi. Być może właściwie, bo zamknięte na klucz. Metal. Nie miała szansy ich wyważyć, zwłaszcza że przez te cholerne krzesła nie było nawet miejsca, żeby wziąć zamach. Wyciągnęła broń i wycelowała w zamek, cofając się jak najdalej, żeby uniknąć rykoszetu.

Jeden strzał wystarczył, by zamek ustąpił. Gdy pchnęła drzwi, poczuła zapach przypalonego metalu. Od razu wiedziała, że znalazła miejsce, którego szukała – laboratorium o powierzchni około czterdziestu metrów kwadratowych. Glazura. W głębi okienko, jeszcze mniejsze niż w sali sekcyjnej. Środek pomieszczenia zajmowało łóżko z siennikiem, a po lewej stało na ukos małe politurowane biurko.

Za biurkiem znajdowała się biblioteczka z zakratowanymi drzwiczkami. Tuż obok, w oszklonej szafce, leżała kolekcja przyborów chirurgicznych z minionych stuleci: skalpele, pęsety, nożyczki.

To, co ją interesowało, znajdowało się na prawo od łóżka. Duża lodówka, jak w supermarkecie, zajmowała miejsce wzdłuż całej ściany. Na półkach stały fiołki, flakony i słoiki, których zawartość zaczynała się psuć.

Była pewna, że są to środki, które Zimmermann podawał małym chorym, żeby ich uśpić albo zabić. To ich szukała. Miała nadzieję, że znajdzie coś, co pozwoli jej ustalić nazwiska dzieci skazanych tej nocy.

Podeszła bliżej. Zarodki, narządy, tkanki, ale także środki chemiczne, które mogły uśmiercać. Otworzyła drzwiczki. I wtedy pomyślała: „Koło się zamknęło”. Das Biest. Bestia była tu, przed nią.

Nie miała najeżonej kolcami paszczy, jak w jej śnie. Ani cielska porośniętego jedwabistym włosiem. Była o wiele silniejsza. Krążyła w duszach Emisariuszy i prowadziła ich dzień za dniem. Nadawała kierunek ewolucji Wspólnoty.

W końcu znalazła. Trzy probówki zamknięte korkami, opatrzone naklejkami, jak w każdym szpitalu. Wypisano na nich nazwę leku – thiopental, jego skład (pentothal R, thiopental R), dawkowanie, datę przydatności...

A pod spodem, odręcznie, imię. Dwa pierwsze nic jej nie mówiły, ale trzecie było jak uderzenie w twarz: JEAN.

Jean, syn Rachel i Jakoba, nieruchome dziecko, które widziała w szpitalu, zanim i jej podano środek nasenny.

Rachel była tą morderczynią.

To ona pozbyła się biskupa Samuela, reżysera Jakoba i kata – Zimmermanna. Ta, która na pozór broniła Wspólnoty i żyła w niej w doskonałej harmonii, oszukała wszystkich. Prowadziła podwójną grę z Ivaną, udając polny kwiat. Udawała przed Emisariuszami, którzy myśleli, że szuka mordercy. Ale ona dążyła do zupełnie innego celu. Chciała po prostu ocalić swoje dziecko. A przy okazji ujawnić prawdę, zostawiając tropy wskazujące na doroczne ofiary.

Ivana ujrzała tę okrągłą twarz o promiennych oczach i ten zabawny uśmiech, któremu towarzyszyło kiwanie głową. To ona roztrzaskała czaszki łotrów, włożyła im kawałki węgla drzewnego do ust, wycięła litery na torsie....

W pewnej chwili uszy Ivany musnął szept. Ktoś tu się modlił. Za jej plecami.

Odwróciła się, ale było za późno.

Od razu ich poznała – dwóch olbrzymów, którzy dopadli ją w szpitalu dla dzieci. Można by rzec: Dupont i Dupont w słomkowych kapeluszach, o szerokich barach. Stali po drugiej stronie łóżka, nienagannie ubrani. W skupieniu, z przymkniętymi oczyma, cicho zwracali się do Boga. W dniu, w którym przyjmowali chrzest w Lauch, prawdopodobnie na ich twarzach malowała się podobna pogoda ducha, podobna ekstaza.

W rękach trzymali prymitywne narzędzia do uprawy winorośli: jeden miał nóż ogrodniczy i niewielką piłę, drugi kołek do sadzenia i zakrzywiony sierpak.

Zanim rzuciła latarkę, by wyciągnąć spluwę, sierpak spadł na jej dłoń i przeciął jedną z żył. Fala bólu przeszła ją jak piorun. Latarka potoczyła się po posadzce. W jej świetle Ivana zobaczyła tryskającą krew, która lała się przez rozdartą rękawiczkę. Próbowwała jeszcze chwycić broń, ale obolałe palce nie usłuchały. Sig sauer upadł gdzieś w ciemnościach.

A napastnik już wyciągał kołek do sadzenia. Padła na podłogę, żeby uniknąć ciosu. W rozpędzie mężczyzna utknął po łokieć w szklanej szafce. Ivana skuliła się na posadzce, zaciskając palce na prawej dłoni, żeby zatamować krwawienie. Potem schowała się pod łóżkiem. Cierpienie rozbijało ją od środka jak kule pachinko.

Pod lawiną szkła i deszczem formaliny buciory zabójców krążyły po sali. Łajdacy pochylali się, gięli w pół, szukając jej. Dyszeli jak woły. Ivana przesuwiała się z jednej strony na drugą, starała się trzymać poza zasięgiem sierpaka i piły, które rozcinały ciemności.

Podniosła odłamek szkła i wymierzyła w nogę jednego z napastników. Ostrze wbiło się w łydkę, ale skaleczyło także jej rękę. Ta dłoń wyglądała teraz jak ociekający krwią ochłap mięsa wciśnięty w rękawiczkę chirurgiczną. Zapominając o bólu, pomogła sobie drugą ręką, żeby docisnąć szkło, które pękło na pizczeli napastnika.

Zawył, po czym odskoczył. Wykorzystała chwilę przewagi, żeby wytoczyć się spod łóżka z siennikiem i wstać. Przez ułamek sekundy chwiała się na nogach. Zatraciła zmysł orientacji. Nie widziała nic poza latarką leżącą w kałuży i sylwetką drugiego osiłka, który już na nią nacierał.

Sierpak i kołek do sadzenia. Skuliła się za biurkiem. Tamten wyciągnął ręce. Błat był za wąski, żeby mu przeszkodzić. Z całej siły pchnęła mebel, a sama cofnęła się i utknęła, zablokowana przez biblioteczkę. Mężczyzna wymachiwał rękami jak w kiepskim filmie grozy. Zobaczyła, jak jego broń błyska w powietrzu raz, potem drugi. Przy trzecim pośliznęła się na jakimś mazistym narzędziu, który wypadł z potłuczonego słoja.

Upadła na plecy, rozdzierając kurtkę o kratę biblioteczki. Brodacz już okrążył biurko. Próbowwała się podnieść, znów się pośliznęła, spróbowała jeszcze raz, opierając się o szafkę stojącą obok biblioteczki. Szkło się potłukło, posypały się stare narzędzia chirurgiczne.

To był sposób.

Biodrem znowu pchnęła biurko, które uderzyło napastnika w uda. Zyskała sekundę. Pochyliła się, żeby chwycić nożyczki, i spojrzała w górę: mężczyzna mierzył w nią kołkiem do sadzenia. Zastygł w pół gestu.

Błyskawicznie wbiła mu w szyję ostrze. Gdy się cofał, widziała pierścienie wystające z zakrwawionego ciała.

Prostując się, patrzyła, jak pada. Obcasem docisnęła nożyczki, aż poczuła, że ich ostrza uderzyły o posadzkę. Z ust mordercy toczyła się krwista piana.

Przez ułamek sekundy Ivana wierzyła, że już po wszystkim, że wygrała. Ale jakaś ręka złapała ją za włosy i pchnęła na półkę z fiolkami i słojami.

Uderzając o potłuczoną szybę, pomyślała, że ma rozciętą twarz. Zaraz potem odwróciła się, stając oko w oko z wrogiem. Nóż ogrodniczy. Piła. Odruchowo próbowała osłonić głowę, ale jej ręka ani drgnęła.

Tym razem było po niej.

Zamknęła oczy. Nie była w stanie sklecić nawet jednej myśli.

Strzał odbił się echem od fajansowych ścian i wszystko ucichło. Nie czuła żadnego nowego bólu, żadnego rozdarcia ciała.

Bała się otworzyć oczy. Już jako dziecko nigdy nie chciała się łądzić, wierzyć w mirażę ani gruszki na wierzbie, zresztą w tej chwili nie pamiętała ani zwrotów, ani przysłów.

W ciemnościach jednak rozbrzmiał głos:

– Ty naprawdę masz mnie za starego durnia.

Niémans wsunął broń do kabury i włączył światło. Ivana z jękiem osłoniła oczy. Tymczasem on podszedł do zdewastowanych półek i zaczął szukać jakiejś fiolki albo butelki. Wybrał jedną i nałożył okulary na czoło, żeby odczytać informacje z etykiety. Odstawił ją, wziął następną i znów prześledził skład, jak aptekarz.

Jeszcze w szoku, mokra od krwi i formaliny Ivana snuła dziwaczne refleksje: „Niémans nie jest stary, tylko ślepy”.

Kategorycznym tonem kazał jej usiąść, delikatnie usunął podartą rękawiczkę i obficie polał antyseptykiem obie rany – tę po wewnętrznej stronie dłoni i tę na wierzchu. Ivana nawet nie krzyknęła – nie miała już na to siły.

– Czasami bywam powolny, ale w końcu zrozumiałem – szepnął Niémans. – Pozbywając się trzech przywódców, zabójca zastopował działanie systemu. Tej nocy inni Emisariusze nie zakończyli obrzędu. Zresztą jestem gotów się założyć, że większość nigdy o tym nie wiedziała. Ta makabryczna eugenika pozostawała tajemnicą kilku obłąkańców.

Ivana nie wiedziała, co powiedzieć – rozumowała tak samo godzinę wcześniej. Teraz nie mogła się uwolnić od myśli o własnej śmierci, tak bliskiej, wręcz oczywistej kilka sekund temu.

– I jeszcze coś – ciągnął, odrywając pas koszuli, żeby zrobić z niej bandaż. – Znaleźliśmy ten szpital, o którym mi opowiadałaś. Brakowało tylko jednego dziecka.

Spuściła oczy i ku swemu zaskoczeniu zauważyła obok jednego z ciał próbówki z imionami ofiar. Przetrwały to, co się tu stało.

– To Jean, syn Rachel – podjął, owijając płótnem rękę Ivany. – Najpierw myślałem, że gdzieś się pali, ale potem doszedłem do wniosku, że matka go stamtąd uprowadziła po zabiciu tych trzech śmieci. Uciekła z nim. To cała historia...

Kiedy skończył ją opatrywać, podziękowała skinieniem głowy i podniosła próbówkę z imieniem Jeana.

– To koktajl przygotowany dla niego na dzisiejszy wieczór – powiedziała. – Pomyliłeś się.

– To znaczy?

– Trzeba znaleźć moją broń – szepnęła Ivana.

Oboje pochylili się nad posadzką zalaną krwią, w której nurzały się ciała. Równocześnie zobaczyli sig sauera moczącego się jak dziecięca zabawka w czerwonej kałuży.

Niémans wytarł go, potem sprawdził lufę i zamek. Dopiero wtedy podał broń Ivanie. Zwróciła uwagę na jego dokładność i ostrożność – palec wskazujący stale nad spustem.

Ivana bez ceregieli chwyciła pistolet i szybko go schowała.

– Wiem, dokąd poszła Rachel.

Gdy tylko spojrzała na tę szopę, utwierdziła się w przekonaniu, że zgadła.

Budynek z ciemnoczerwonego drewna, kryty cynkowaną blachą, ciemny jak przestrzeń kosmiczna, był idealnym schronieniem dla Rachel.

– Co to takiego? – zapytał Niémans, który już zdążył dobyć broni.

– Żłóbek małego Jezusa – szepnęła i ruchem głowy wskazała na glocka. – Schowaj to. Tu nie będzie ci już potrzebny.

Niémans usłuchał, lekko zawstydzony. Zbliźali się do szopy z powagą, z której sami nie zdawali sobie sprawy. Ivana pchnęła wrota i od razu zauważyła w półmroku młodą kobietę siedzącą na szarej drewnianej ławce. Tej samej, na której siedziała ona, kiedy anabaptystka obmywała jej nogi.

W powietrzu wciąż unosiła się woń odchodów, maszyny i narzędzia stały tam, gdzie poprzednio. A ptaki poderwały się do lotu jak na sygnał. Tej nocy jednak, jeszcze bardziej niż wtedy, wnętrze i belki z surowego drewna pod dachem przypominały nawę kościoła. Miejsce pierwotnego kultu, gdzie najprostsze słowo, a nawet cisza wystarczą, by dać wyraz wierze.

Rachel nie była sama.

W jej ramionach spał Jean.

Można by skojarzyć ją z piętą, lecz Ivana pomyślała o fotografii Eugene’a Smitha, która tak nią wstrząsnęła, gdy była nastolatką, Tomoko Uemura in Her Bath. Zdjęcie japońskiej matki kąpiącej dziecko, które urodziło się zdeformowane na skutek skażenia Zatoki Minamata rtęcią.

Ujrzała tu tę samą harmonię, tę samą słodycz, osiagającą święte piękno arcydzieła. Potęga miłości, promienna, olśniewająca, ostatecznie przewyciężająca podłe ciosy życia.

Podeszli – Niémans z ręką na glocku.

Rachel zobaczyła ranę Ivany.

Emisariuszka chyba cieszyła się, że ją widzi. Z jej oczu znów wycierało to radosne porozumienie z pierwszych dni ich znajomości. Przede wszystkim jednak wcale nie wydawała się zdziwiona, że Ivana uniknęła niechybnej, zdawałoby się, śmierci.

Niémans, znów zbyt stereotypowo, oznajmił:

– To już koniec, Rachel.

Nie sięgnął po kajdanki, ale to niewiele zmieniało. Rachel wysunęła rękę spod głowy Jeana – dziecko głęboko spało, ufnie wtulone w fałdy czarnej sukienki. Kobieta położyła palec na ustach.

– Proszę go nie budzić. Tak trudno mi było go uśpić...

Zerknęła na Ivanę. Policjantka, choć wzbraniała się przed tym, poczuła wielkie szczęście i głębokie uspokojenie, jakich doznała, gdy ta młoda kobieta myła jej nogi.

Potem Emisariuszka zwróciła oczy na śpiącego syna. Uśmiech błędził po jej twarzy, jakby śniła o tym utulaniu, dokładnie w tej sekundzie...

– Jakob obiecał mi, że nigdy nie złoży Jeana w ofierze – dodała szeptem.

Wydawało się, że chce nabrać tchu, jednak w rzeczywistości próbowała przełknąć coś, co ją dławiło. Dopiero w tym momencie Ivana zrozumiała, że Rachel płacze.

– A pan? Ma pan dzieci? – spytała, unosząc głowę.

– Nie.

– Przykro powiedzieć, ale zawsze kochałam Jeana bardziej niż moje dwie córeczki. A właściwie to on zawsze potrzebował więcej miłości.

Zaczęła go łagodnie kołysać.

– Nie mówię tak dlatego, że jest bardziej kruchy i słabszy, ale dlatego, że on zna tylko miłość. Jego dusza to czyste światło... A ja zawsze starałam się stanąć na wysokości zadania. Niewinność jest dla istoty ludzkiej ciągłym wyzwaniem. Przy nim zbliżam się do Pana, do tej nieskalanej błogości, która jest przeciwieństwem natury człowieczej.

Jej twarz się wykrzywiła. Oczy przygasły, jakby ze stalowego pióra skapnął na nie ciemny atrament.

– Dlatego chociaż Jean jest skazany, będzie żył do ostatniego dnia, który da mu Bóg. Pod moją opieką.

Ivana była wzruszona, ale Niémans najwyraźniej nie dał się nabrać.

– Przez te wszystkie lata – rzucił – nie przeszkadzały pani ofiary z innych dzieci.

Rachel uśmiechnęła się pobłaźliwie przez łzy. Niémans przedstawiał tę kwestię zbyt prymitywnie, zbyt brutalnie.

– Samuel i Jakob mówili, że te dzieci są ceną, jaką musimy płacić za nasze plony.

– Mówi pani o winie?

Zaśmiała się, tym razem już pogardliwie.

– Mówię o naszej krwi. Czystość naszej rasy umacnia się kosztem eliminacji genów recesywnych. Co roku musimy palić nasze odpady, czyli te ułomne dzieci. To w pewnym sensie pozwala nam wydawać na świat okazy... udane.

Kobieta odchyliła głowę i zamknęła oczy. Mimo młodego wieku miała już w sobie wiele cech dobrego kaznodziei, z gatunku tych, którzy z ambony albo wzgórza potrafią porwać za sobą tłumy.

– „Powiem Żeńcom: Zbierzcie najpierw chwast i powiążcie go w snopki na spalenie; pszenicę zaś zwieźcie do mego spichlerza”^[17].

– Jak mogłaś się godzić na takie potworności? – Ivana nie wytrzymała.

– Przychodzi taki moment, kiedy wiara oznacza po prostu posłuszne wypełnianie rozkazów.

– Kto wiedział o składaniu ofiar? – spytał Niémans.

Chciał odnaleźć wszystkich winowajców, jak na prawdziwego policjanta przystało.

– Jakob, Samuel, Zimmermann i kilku innych. Podam wam nazwiska.

Ivana podchwyciła tę informację.

– Zimmermann robił to dla pieniędzy?

– Nie. Był jednym z nas. Na pewno jednym z najbardziej wartościowych. Zgodził się mieszkać wśród „światowych”, żeby zdobywać substancje potrzebne do wypełnienia naszej misji.

Ivana znów miała przed oczyma „dziewczynę z perłą”, choć wiedziała już, że ta perła to ziarno czystego szaleństwa. Rachel nie dostrzegła problemu w odcięciu Marcelowi palców ani w dorocznym prowadzeniu na stos ofiarny garstki dzieci, skoro służyło to Ordnung i Gelassenheit.

– Od ilu pokoleń trwa ta makabra?

– Od Ottona Lanza.

Ivana знаła odpowiedź, ale ona też była policjantką z krwi i kości. Postawienie kropki nad i jest zawsze konieczne, nawet jeśli sprawia to ból podobny do tego, jaki wywołuje przybijanie ciała do krzyża.

– Uczestniczyłaś w obrzędzie?

– Woziłam dzieci do szpitala.

Ivanę przeszył prąd. Przez sekundę miała ochotę zabić tę bestię. Ale Niémans wyjął z kieszeni probówkę, którą zabrał ze sobą.

– Czy to dawka śmiertelna?

– Nie.

– Czyli dzieci musiały żyć, kiedy składaliście je w ofierze?

– W przeciwnym razie nie byłaby to ofiara.

Oczy Ivany zatrzymały się na jakimś narzędziu – długim kijem z trójzębem na końcu. Uznała, że byłby doskonały do rozszarpania tej twarzy. Niémans jednak, nie odrywając oczu od Rachel, chwycił swoją partnerkę za kołnierz, żeby przytrzymać ją na miejscu. Już sam ten gest ze strony spokojnego człowieka, który zwykł doprowadzać swoją pracę do końca wbrew wszystkim i wszystkiemu, wystarczył, by uciszyć jej gniew.

Opanowanie policjanta było jak lina łącząca alpinistów – Ivana na sygnał musiała po prostu podążać za nim.

– Jest pani gotowa podpisać zeznania? – spytał Niémans, jakby chciał podkreślić, że są już w przedsionku sądu.

– Wypełniłam swoją misję – szepnęła Rachel, gładząc kalekiego syna po włosach. – Trzy demony, które były naszymi przywódcami, nie żyją. W tym roku nie złożono w ofierze żadnego dziecka. I już nigdy żadne tak nie zginie.

Ivana wyrwała się Niémansowi i podeszła do Rachel.

– Tytoń – rzuciła tonem rozkazu.

Po raz pierwszy na twarzy Rachel pojawiło się zdumienie.

Wolno uniosła prawą rękę i wsunęła ją do kieszeni. Czy istniało jakieś ryzyko? Ivana uważała, że nie, ale była gotowa chwycić za broń. „Be my guest”, pomyślała.

Rachel jednak podała jej domowej roboty tytoń, te okropne bibułki i zapalki.

Ivana zabrała jej wszystko i cofnęła się do wrót szopy.

Do świtu było jeszcze daleko, choć ogień rozpałił już niebo pasmami różu. Schwytana w sidła nocy ziemia wydawała się czarna jak nigdy, twarda i skondensowana. Jednocześnie dym nad dogasającymi kręgami ognisk czynił ten pejzaż wrzącym i wulkanicznym.

Ivana zadrżała, próbując się skupić na zadaniu.

– Cholera – zaklęła półgłosem.

Z tą poranioną ręką nie miała szansy zwinąć papierosa. Uparła się jednak i walczyła lewą dłonią.

– Co ty wyrabiasz? – spytał Niémans, podchodząc do niej.

– Robię sobie papierosa.

– Daj mi to.

Zabrał jej małą, pomiętą tulejkę, poplamioną krwią, i z precyzją ją udoskonalał. Po kilku sekundach spomiędzy jego palców wyszedł porządny papieros.

– Przypalić czy co?

Bez słowa chwyciła papierosa sprawną ręką. Trzymając go w ustach, jakoś zapaliła zapalnik Rachel.

Pierwszy mach oparzył jej gardło.

Drugi przyprowadził ją o zawrót głowy.

Trzeci zdołał w końcu przywrócić jej trzeźwość myślenia.

Poczuła, że jej jestestwo powraca do ciała. Nareszcie była znowu Ivaną Bogdanović, trzydziestodwuletnią policjantką w stopniu porucznika, pracującą w biurze centralnym, które przypominało przyczółek piekła.

Potem poczuła odrazę. Paląc ten tytoń, odnosiła wrażenie, że wciąga w płuca samą Rachel, jej krwiożercze okrucieństwo, macierzyński szal.

Rzuciła niedopałek.

– Pamiętasz aleję Pabla Picassa sto pięćdziesiąt jeden w Nanterre? I wieże Aillaud?

– To moja młodość! – odparł z udawaną wesołością Niémans.

– Mówię o tej dziewczynie na dziedzińcu. O tej, która wpakowała cały magazynek w twarz swojego dilera, a przy okazji ojca swojego syna.

Niémans zbliżył się do niej o krok. Stali zwrócenii twarzą do zadymionego horyzontu, jeszcze rozgrzanego od zagaszonych ognisk.

– Do czego zmierzasz?

– Wtedy wzięłaś tę dziewczynę pod swoje skrzydła i zatarłaś obciążające ją dowody.

Niémans patrzył na nią z przerażeniem. Jego pociągła twarz miała w sobie surowość – ale i piękno kościelnej rzeźby. Męczennika, może nawet Chrystusa.

– Chcesz, żebym krył jej zbrodnie?

– Nie. Zastanawiam się tylko, czy jestem od niej lepsza.

Przerażenie na jego twarzy ustąpiło smutkowi. Widać było, że kamień spadł mu z serca.

Położył rękę na jej ramieniu i już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, gdy za nimi rozbrzmiał głos:

– Idziemy?

Odwrócili się i zobaczyli niezwykle obraz. Rachel stała przed nimi w pomiętej, mokrej od łez sukience, z włosami wymykającymi się spod czepka. Przed sobą, w taczce, wiozła Jeana, którego ciało kuliło się we śnie.

Policjanci zrozumieli i rozstąpili się, żeby pozwolić jej przejść.

Ruszyli w drogę. Jazda samochodem nie wchodziła w grę: musieli iść, niczym pielgrzymi, aż do posterunku żandarmerii.

Ivana miała wrażenie, że się rozdwoiła i że obserwuje tę scenę z daleka, jak w kinie.

Wysoki facet, zbyt krótko ostrzyżony, w okularach z ubezpieczalni i czarnym palcie, mała rudowłosa kobieta o wyglądzie chuligana, z obandażowaną ręką, w brudnej kurtce, i młoda kobieta z innej epoki, w organdynowym czepku i buciorach żandarma, wioząca na taczce śpiące dziecko.

Może nie była to procesja stulecia, a już na pewno nie Anioł Pański Milleta, ale coś, co przypominało o wierze i o grzechach, o pobłażliwości i żalu.

I niewątpliwie – o pewnej formie sprawiedliwości.

-
- [1] Ewangelia według św. Mateusza 5,37; cytaty z Pisma Świętego za: Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań 1990. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- [2] Hinduski wędrowny asceta.
- [3] (fr.) żandarmi. Żartobliwe nawiązanie do bohatera francuskiej komediowej serii o przygodach Ludovica Cruchota, w którego postać wcielił się Louis de Funès.
- [4] W wolnym tłumaczeniu: „Proszę bardzo”.
- [5] Ewangelia według św. Mateusza 15,4.
- [6] List do Rzymian 6,23.
- [7] Ewangelia według św. Mateusza 23,11–12.
- [8] 1 List św. Jana Apostoła 2,15.
- [9] Sekta założona w 1955 roku. Jeden z jej późniejszych przywódców, znany jako David Koresh, opierał swoje rządy na bezwzględnym posłuchu i stosowaniu przemocy.
- [10] Ewangelia według św. Jana 15,6.
- [11] (ang.) Z ptakami będę dzielił ten samotny widok.
- [12] Alphonse de Lamartine, *Samotność*, przekład Marii Grzędzielskiej, w: *Antologia poezji francuskiej*, t. 3, Warszawa 2000, s. 72.
- [13] Ewangelia według św. Mateusza 5,3.
- [14] Ewangelia według św. Mateusza 6,28.
- [15] Księga Jozuego 1,18.
- [16] Księga Psalmów, Psalm 10,6.
- [17] Ewangelia według św. Mateusza 13,30.